



Sensacja

Groteska

Absurd

A w tym
wszystkim
- Marlena
z nożem
w głowie...

LIRA
WYDAWNICTWO

ANDRZEJ F. PACZKOWSKI
W GROBIE
CI DO TWARZY

ANDRZEJ F. PACZKOWSKI

W GROBIE
CI DO TWARZY


LIRA
WYDAWNICTWO
WARSZAWA 2019

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2019

© Copyright by Andrzej F. Paczkowski, 2019

Projekt okładki: Magdalena Wójcik

Ilustracja na okładce i na stronach tytułowych rozdziałów:

Jacek Gawłowski

Zdjęcie autora: © prywatne archiwum

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora

Redakcja: Ewa Popielarz

Korekta: Anna Gidaszewska

Skład: Klara Pereplyś-Pajak

Producenci wydawniczy: Marek Jannasz, Anna Laskowska

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze






Warszawa 2019

ISBN: 978-83-66229-31-0 (EPUB);

978-83-62519-32-7 (MOBI)



www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:     

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

Strona tytułowa	
Karta redakcyjna	
Dedykacja	
Prolog	
Rozdział 1. Mamusia	
Rozdział 2. Znaki zapytania	
Rozdział 3. Znikający pacjenci	
Rozdział 4. Ucieczka	
Rozdział 5. Nocna rozmowa	
Rozdział 6. Wizyta	
Rozdział 7. Niepokojące wiadomości	
Rozdział 8. Akcja: zakupy	
Rozdział 9. Przyjaciel	
Rozdział 10. Plan bez planu	
Rozdział 11. W domu	
Rozdział 12. Podśluchana rozmowa	
Rozdział 13. Sytuacja bez wyjścia	
Rozdział 14. Torebka z nieba	
Rozdział 15. Wspomnienie	
Rozdział 16. Prezent	
Rozdział 17. Cmentarz	
Rozdział 18. Pogrzeb	
Rozdział 19. Do widzenia	
Rozdział 20. Kroki na korytarzu	
Rozdział 21. Moje stare ja	
Rozdział 22. Powrót do przeszłości	
Rozdział 23. Konfrontacja	
Rozdział 24. Pożegnanie	
Zakończenie	

*Książkę tę dedykuję
mieszkańcom Wodzisławia Śląskiego,
a szczególnie pani Bożenie Bytomskiej*

Prolog



W pomieszczeniu paliło się jasne światło. Uniosłam powieki, zamrużałam i wpatrzyłam się w oślepiający blask. Podłużna twarz z nosem Pinokia pojawiła się nade mną z uśmiechem, który nie obejmował zimnych oczu.

– Proszę się nie ruszać i nie obawiać, wszystko będzie dobrze. Zaraz będziemy na miejscu.

Światło przed oczami nagle zgasło i zaświeciło się, jakby ktoś bawił się wyłącznikiem.

– Gdzie jestem? – wyszeptałam.

– W karetce pogotowia. Została pani ranna w głowę.

Ranna w głowę? Ja? Niiieee... Nie, bo przecież, nie no, po prostu nie mogłam być ranna i tyle. Gdybym była, coś bym pamiętała, no nie? Ale przecież nic takiego nie mogło mieć miejsca? A może jednak? Nic z tego nie rozumiałam.

Patrzyłam na Pinokia i nie mogłam wyjść ze zdumienia, jak wielki jest jego nos.

– Nie przeszkadza panu?

Zmarszczył brwi, nie rozumiejąc.

– Proszę? – pochylił się jeszcze niżej, żeby mnie dobrze usłyszeć.

Chciałam się odsunąć, żeby mnie przypadkiem tym nosem nie przebił na wylot, ale nie mogłam się nawet poruszyć. Jakbym była sparaliżowana.

– Nos... – udało mi się powiedzieć, a światło zgasło i pojawiło się na nowo. – Czy nie przeszkadza...

Mężczyzna oblał się purpurą. Jakaś kobieta, znajdująca się poza zasięgiem mojego wzroku, roześmiała się. Więc nie jesteśmy tu sami, pomyślałam, próbując się rozejrzeć, ale moje starania zakończyły się niepowodzeniem.

Światło zgasło i zaświeciło się.

– Co się dzieje z tym prądem?

– A co się ma dziać? – zapytał, odchrząknąwszy.

– Ciągłe gasicie światło.

Nagle zdałam sobie sprawę, że bardzo, ale to bardzo boli mnie głowa.

– Co mi się stało? – zapytałam. Nie czekając na odpowiedź, nadludzką siłą podniosłam rękę i dotknęłam głowy w miejscu, skąd promieniował ból. Coś się nie zgadzało, coś było bardzo, ale to bardzo nie tak.

– Proszę nie wykonywać zbędnych ruchów – powiedział szybko Pinokio, przytrzymując moją rękę. – Mogłaby pani coś uszkodzić wewnątrz czaszki. Nie wiadomo, jak głęboko wbił się nóż.

Myślałam gorączkowo. Nóż? Wbił się? Że niby gdzie?

– W-wbił się? – wyjąkałam, a światło znowu mrugnęło.

– Tylko proszę nie panikować – powiedział Pinokio spokojnym głosem. – Ma pani nóż w głowie i na razie

sytuacja wygląda poważnie. Ale proszę się nie martwić. Wszystko będzie dobrze. Niech mi pani zaufa.

Z takim nosem? Miałabym ufać komuś z takim nosem? Nigdy w życiu!

Chciałam krzyknąć, a może nawet krzyknęłam, nie za bardzo pamiętam. Światło zgasło i już więcej się nie zapaliło. Straciłam przytomność.

ROZDZIAŁ 1

Mamusia



Kiedy przebudziłam się w szpitalu, nie wiedziałam, co się dzieje. Początkowo nie wiedziałam też, gdzie jestem. Zapach oczywiście coś mi tam mówił, ale zmysły były na tyle otępiałe, że naprawdę trudno było mi się skoncentrować. Postanowiłam więc poleżeć chwilę, zanim otworzyłam wreszcie oczy. Od razu mój wzrok padł na ogromnego wieloryba ze ślepiami jak talerze i czerwonymi ustami, gotowymi wessać mnie i połknąć w całości. Krzyknęłam rozziewając.

– Ależ ty masz zdrowe płuca! – zaśmiał się wieloryb. – Ale co jak co, na mamusię to chyba krzyczeć nie musisz?

Mamusię? Na jaką mamusię? O co tu chodzi? Kim jest to indywiduum... to znaczy ta kobieta?

– Kim pani jest? – wyjąkałam wreszcie, kiedy się nieco uspokoiłam.

– Żarty się ciebie trzymają, córuniu. Ale matkę

przestraszyłaś, nieładnie tak, oj nieładnie. Ja wiem, że parę dni się nie widziałyśmy i od jakiegoś czasu drzemy koty, ale chyba aż tak bardzo się nie zmieniłam?

A więc to monstrum siedzące obok mnie to moja matka? Dlaczego tego nie pamiętałam? Dlaczego jednak nie umarłam?

– Kim jestem?

Wieloryb znowu się roześmiał. Całe ciało trzęsło się jak galareta. Wyczuwałam z całą pewnością, że ten śmiech był wymuszony.

– Ależ ty masz poczucie humoru, Marlenko. Takiej cię nie poznaję.

Marlenka? Więc jestem Marlenką, okej. A to coś obok to moja matka. Wydaje się to nieprawdopodobne, ale chyba tak jest w istocie. Wygląda jak słoń morski.

Łóżko pod nią nagle zaczęło protestować, zatrzeszczało niebezpiecznie.

– Gdzie jestem?

– Musiałaś się przy tym wszystkim jeszcze mocno uderzyć w głowę! – skwitowała matka. – Ależ tak, przypominam sobie, lekarz powiedział, że jak spadałaś, to musiałaś upaść na głowę, bo inaczej ten nóż by nie wszedł tak głęboko.

Nóż? Jaki nóż? O czym ona gada?

– Co za nóż?

– Ten, co ci się wbił w głowę, córuniu. Przynajmniej raz coś ci się do niej wbiło, tylko szkoda, że to nóż, a nie jakiś potężnie zbudowany, silny i...

Rozległ się krzyk. Rozdzierający. Sama się go

przestraszyłam.

To chyba ja tak krzyczałam.

– Boże, jakie ty masz zdrowe płuca, ale nie wiem po kim. Bo po twoim okropnym ojcu, co zmarł na tuberkulozę, chyba nie. Dziadek też całe życie na płuca narzekał. Kaszlał tak okropnie, jakby chciał je na siłę wypluć. Flegma za każdym razem wydostawała się z jego...

– Nie musi mi pani tego opowiadać – jęknęłam.

– Co za pani? Co oni ci zrobili? Czy ty naprawdę z tego wyjdiesz? Taka blada jesteś i wyglądasz jakoś inaczej. Zupełnie jak nie ty. Gdyby cię Kiełbasa widział, słowo daję, że by cię nie rozpoznał.

W tym momencie do pokoju wszedł Pinokio.

– Panie doktorze! – doskoczyła do niego moja niby-matka, wieszając się na jego ramieniu tak, że aż go zgięło w jedną stronę. – Z nią chyba coś jest nie tak, niech no pan tylko zobaczy. Czy to naprawdę moja córka?

– Przed chwilą mówiłaś, że jestem twoją córką! – krzyknęłam na wieloryba, bo się zdenerwowałam.

Popatrzyłam zupełnie dezorientowana na doktora i na swoją matkę, do której nadal nie mogłam się przekonać, i próbowałam chociaż trochę zrozumieć sytuację.

– Moje drogie panie, proszę się uspokoić – powiedział spokojnie Pinokio, delikatnie zdejmując z siebie wiszącą na nim matkę i ciskając ją subtelnie na stojące obok krzesło. – Stres i kłótnie szkodzą zdrowiu, tym bardziej pani, która dopiero co przeszła skomplikowaną operację.

Jakoś udało nam się dojść do siebie.

– Proszę mi powiedzieć, co zrobiliście z moją córką – krzykliwie zaatakowała doktora matka, wbijając w jego pierś palec zakończony długim paznokciem, pomalowanym na czerwono.

– Nic nie zrobiliśmy. To jest pani córka, przecież nie można powiedzieć, że nie. Podobieństwo jest uderzające, nikt nie śmie w to wątpić...

– O nie! – krzyknęłyśmy równocześnie.

– Wypraszam sobie! – zawołałam, zła, że mógł mnie porównać do tej kupy sadła, siedzącej na krześle, pod którym od tego ugiwały się nogi.

– W żadnym przypadku! – Matka starała się mnie przekrzyknąć i jak zrozumiałam, jej płuca były równie zdrowe jak moje, o ile nie zdrowsze. – Nigdy nie byłyśmy do siebie podobne. Czy ja, panie doktorze, wyglądam, jakbym całe lata nie jadła? Jakbym umierała na suchoty? Jakby mnie wypuścili z Oświęcimia? Czy ja jestem anorektyczką? Strachem na wróble? Ja?

Doktor zmierzył ją wzrokiem.

– Przyznaję, że w tym sensie jednak różnicie się od siebie znacznie...

Odetchnęłyśmy z ulgą.

– Ale nie miałem na myśli podobieństwa waszej tuszy... to znaczy... postawy, tylko rysów twarzy.

– O nie! – zawołałyśmy znowu.

– Chyba nie chce mi pan wmówić, że mam rysy twarzy podobne do niej? Nie mam tyłu zmarszczek ani takich wielkich worów pod oczami!

– Ja zawsze miałam delikatniejszy zarys twarzy i dobrze

wykrojone usta. Córka po swoim niepoprawnym ojcu ma nieco chłopięcą twarz, podłużną, z habsburską szczęką, więc jednak z tym podobieństwem pan trochę przesadził, proszę popatrzeć i przyznać.

– Nie mam habsburskiej szczęki! – wrzasnęłam.

– Ależ masz, moja droga, tyle razy ci pokazywałam.

Czułam, jak mnie powoli zalewa krew.

– Więc i ty musisz mieć taką szczękę! – odpaliłam.

– Nie, bo we mnie się nie wdałaś. Podobna jesteś do ojca!

Doktor machnął ręką, opadły mu ramiona.

– Rozsądźcie panie same. Dla mnie jesteście podobne jak dwie krople wody. Dosłownie. Przyjrzę się pani i uciekam.

Chciałam się podnieść, żeby mu przypomnieć, że nie mogę być podobna do tej kobiety, ale pociemniało mi w oczach i musiałam się położyć.

– Niech pani nie wstaje, to może zaszkodzić – upomniał mnie.

Czułam, jak pot spływa mi po czole. Boże, taki mały wysiłek, a byłam wycieńczona jak po parogodzinnym maratonie.

Doktor poświecił mi latarką w oczy, zapytał, jak się czuję, czy czegoś nie potrzebuję, sprawdził gorączkę, jakbym przechodziła grypę, a potem zapytał:

– Odruchy wymiotne?

– Nie.

– Ból w okolicach głowy?

– Nie.

– Zawroty?

– Nie.

Przyjrzał mi się uważnie.

– Chirurdzy wykonali kawał dobrej roboty. Nóż przeszedł przez kilka nerwów i ważnych naczyń krwionośnych, oczywiście są to struktury, które po naruszeniu mogą spowodować śmierć pacjenta, ale jak widzę, bardzo szybko wraca pani do zdrowia.

– Ma końskie zdrowie – dorzuciła swoje matka. – Po ojcu!

Lekarz nie zareagował.

– To w takim razie zostawiam panie same. Jeszcze się zobaczymy – powiedział i czmychnął.

– Co on ma z tym nosem? – zapytała matka, mrużąc oczy.
– Wielki taki jakiś jak kłamka od zakrystii.

– Chodzisz do kościoła?

– No coś ty! – oburzyła się. – Przecież wiesz, że nie, po tamtym skandalu.

– Nie wiem. Nic nie pamiętam, jakbyś nie zauważyła.

– O Boże, może to i lepiej. Wiesz, czasem pewnych rzeczy lepiej nie pamiętać. Zresztą klecha do teraz tego nie potrafi przeboleć. Tyle mi problemów narobiłaś i całe miasto na głowie. Jezus Maria...

– Ale o co chodzi? – zapytałam, bo to, co mówiła, wydało mi się jakieś podejrzanе.

– O nic. – Odpowiedziała za szybko, więc już byłam pewna, że coś ukrywa. Jednocześnie wyciągnęła z torebki jakąś buteleczkę, wzięła stojącą na stoliku szklanę i przelała do niej zawartość. – Wypij to, jak wyjdę. To ci dobrze zrobi, przepis od prababci, każdego postawi na nogi.

Zignorowałam to, aczkolwiek zauważyłam, że jej głos zaczął lekko drżeć.

– Powiedz mi.

– Nie! – pokręciła głową.

Zacięła się. Zrozumiałam, że nic z niej nie wyciągnę. Będę musiała znaleźć na nią sposób, ale jeszcze nie wiedziałam jaki, ponieważ właśnie teraz musiałam dostać tej głupiej amnezji.

Spróbowałam jeszcze raz.

– Powiedz. Jeżeli to ma coś wspólnego ze mną, to chyba mam prawo wiedzieć?

Mamusia skierowała wzrok w stronę drzwi. Nagle zaczęła się niecierpliwić.

– To ja już jednak pójdę, kochaniutka. Wieczór jest, a do domu dojechać trzeba. Twój brat jest w mieszkaniu sam, a jak on zostaje bez dozoru, to pożałuj Boże. Jeszcze co sprzeda, jak ostatnim razem.

Czyli że nic mi nie powie, okej. Zobaczymy.

– Jak daleko mieszkamy?

Matka zachłysnęła się powietrzem.

– Ja mieszkam niedaleko. – Powiedziała wymijająco, grzebiąc w torebce.

– Jak daleko? – byłam nieustępliwa.

– No właściwie nie tak daleko... To znaczy... Tylko parę minut drogi pieszo.

– Dlaczego nie mieszkam z tobą?

Mama spojrzała na zegarek.

– Muszę iść, naprawdę nie mam czasu.

– Mamo! – krzyknęłam. – Poczekaj! Nigdzie nie pójdziesz,

dopóki mi nie powiesz, gdzie mieszkam! Jak stąd wyjdiesz, to zacznę krzyczeć, rozboli mnie głowa, krew mi się może wyleje do mózgu, a jeśli umrę, to będzie twoja WINA!

Matka już stała przy drzwiach z ręką na klamce. Odwróciła się powoli.

– Ja... Właściwie nie wiem, jak to powiedzieć, ponieważ... Nie wiem, nie rozumiem i...

– Po prostu powiedz. Prosto z mostu. Okej?

Wciągnęła w płuca powietrze.

– Ostatnio mieszkałaś na cmentarzu.

Pociemniało mi w oczach, a kiedy je otworzyłam, mamy już nie było.

ROZDZIAŁ 2

Znaki zapytania



Ona chyba upadła na głowę! Jak mogłam mieszkać na cmentarzu? Przecież nikt nie mieszka w takim miejscu! Nikt. I nagle jakaś lampka zapaliła się w mojej głowie. Ktoś jednak mieszka. Martwi. Jęknęłam. Czyżbym była martwa? Teraz? Wtedy? Ale przecież nie mogłabym cudownie ożyć, aż taka głupia to ja nie jestem – nie trzeba posiadać pamięci, by wiedzieć, że to niemożliwe. Więc o co tu chodziło?

Wyciągnęłam rękę, żeby wypić mieszaninę prababci, na nieszczęście niezgrabnie o nią zawadziłam i szklanka spadła, a zawartość wylała się na podłogę. Od razu też, przywołana odgłosem rozbijanego szkła, do pokoju wkroczyła salowa i zabrała się za sprzątanie, mrużąc coś pod nosem.

Dzień upłynął mi na spaniu. Przebudziłam się dopiero późnym wieczorem.

Wydawało mi się, że nie zasnę tej nocy, ale kiedy światła zgasły, raz-dwa odpłynęłam i przebudziłam się dopiero rano.

Kim ja właściwie jestem? Podniosłam rękę i delikatnie zaczęłam dotykać swojej twarzy, najpierw szczęki, bo mamusia mówiła, że jest w stylu habsburskim, a oni przecież mieli je tak nieładnie wysunięte do przodu. Czyżby i moja taka była? Po dotyku jakoś nie mogłam dojść, czy tak jest, czy nie. Musiałam to sprawdzić w lustrze. Zadzwoiłam po pielęgniarkę. Przyszła od razu. Długie nogi i talia osy, od razu zauważyłam, jaka jest atrakcyjna. Miałam nadzieję, że wyglądam podobnie.

– Dzień dobry – uśmiechnęła się. – W czym mogę pomóc? Coś boli?

Obdarzyłam ją swoim najpiękniejszym uśmiechem. Tak mi się przynajmniej wydawało.

– Bardzo bym chciała chociaż na chwilę spojrzeć w lusterko i...

Twarz pielęgniarki stężała. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Lusterko? – powtórzyła nagle głosem zimnym i niskim.

– Tak, bardzo proszę. Chciałam sprawdzić...

– Chciała? To nie sprawdzi. – Kobieta pokręciła głową. – To nie może być prawda. Ja chyba śnię!

I wyszła, kręcąc głową. Lusterka nie przyniosła.

Nie mogłam zrozumieć jej reakcji. Przecież byłam chora, nie? Czy to takie dziwne, że chory człowiek chce się przejrzeć w lusterku? Gdybym była zdrowa, sama bym po to lustro poszła i nikogo o nic nie prosiła. Dzisiejsze siostry nie nadają się do tej pracy. Nie mają za grosz

poczucia obowiązku, a tym bardziej tego, jak się to mówi... empatii. Dokładnie tak! Myślę tylko o swoich wielkich tyłkach!

To w końcu miałam habsburską szczękę czy nie? Powoli zaczynało mnie to denerwować, a jak się denerwuję, to nie jest dobrze, pomyślałam. Szybko wpadam w zły nastrój, aczkolwiek kiedyś taka nie byłam i... Ale chwileczkę! Skąd wiem, że się szybko denerwuję? Przecież nic nie pamiętam. A jednak mogłabym przysiąc, że to akurat sobie przypominałam. Potrafiłam wybuchnąć jak tykająca bomba. Bez ostrzeżenia.

Oj, jak mnie ta głowa boli! Przeciągnęłam lekko obolałe ciało i... jak mnie nagle coś nie łupnie w samym centrum czaszki! O mało nie zemdlałam. A Pinokio mówił, że nie będzie źle! Kłamca! Ci doktorzy to się dziś na niczym nie znają. Powinni mi dać kogoś normalnego. Najlepiej jakiegoś starszego miłego pana, z siwymi włosami i dobrymi oczami, może z takim małym brzuszkiem, żebym mu mogła bardziej ufać i wierzyć w postawione przez niego diagnozy.

Zadzwoiłam znowu. Powiem im, co o nich myślę, niech wiedzą, jaka jest prawda, jak bardzo tu cierpię i jak mnie oszukują na każdym kroku!

Weszła ta sama pielęgniarka, z założonymi rękami.

– Czego znowu dzwoniła?

– Gdzie jest doktor?

– Nie ma.

– Ale ja muszę z nim porozmawiać.

– Ale powiedziałam, że nie ma.

Na stoliku położyła kubeczek z lekami.

– Co to za leki? – zapytałam ostrożnie.

– Takie, co są przepisane – padła nieprzyjemna odpowiedź.

Siostra odwróciła się na pięcie i znowu zniknęła. Gdybym miała więcej sił, rzuciłabym w nią poduszką. Nawet tego nie byłam w stanie zrobić. Czułam się pobita na każdym froncie. Moje życie legło w gruzach, a ciało odmawiało posłuszeństwa. Lepiej już nie żyć.

Pielęgniarka wychyliła się zza drzwi. Odetchnęłam. A jednak, pomyślałam. Wygrałam. Pacjent zawsze jest górą.

– Niech więcej nie dzwoni, bo i tak nikt nie przyjdzie.

Gdybym nie leżała, opadłabym ze zdziwienia na posłanie. Teraz jedyne, co mogłam zrobić, to zamknąć oczy i zacząć liczyć do dziesięciu. Nic nie pomogło. Gotowałam się w środku tak, że aż zaczęło świzzczeć mi w płucach przy oddychaniu. Przyjdzie taki czas, mówiłam sobie. Przyjdzie czas...

Ból minął, ale pojawił się następny problem. Zachciało mi się siku. Spróbowałam wstać, ale nie udało się. Poczułam, jakby ostrze przeszło moją głowę. Czy oni aby na pewno wyciągnęli mi ten nóż? Może się nade mną znęcają? Robią eksperymenty? Czy mało było takich przypadków w historii szpitala? Przecież nie byłam głupia, dobrze wiedziałam, co tu się mogło dziać w tych białych ścianach!

Zadzwoiłam. Odczekałam cierpliwie swoje. Nic.

Ponownie przycisnęłam guzik dzwonka. Cisza.

Naciskałam bez końca, aż wreszcie nie mogłam już dłużej wytrzymać napięcia. Poczułam, jak pod kołdrą robi się cieplej. Och, jak miło, jak przyjemnie. Rozmarzyłam się, przymknęłam powieki.

Otworzyłam oczy, było mi dobrze. I nagle przyszedł szok. Co ja robiłam? Boże, nie. Tylko nie to. Chyba się nie posikałam? W tym wieku? Zresztą, ile ja mam lat? Dlaczego nic nie pamiętam?

Poczułam się taka bezsilna, że zachciało mi się płakać. I rozpłakałam się nawet, ale wtedy głowa rozbolała mnie jeszcze bardziej. O Boże, to ja już nawet nie mogę sobie pozwolić na łzy. Co mi teraz pozostało? Nic. Leżę tu jak kłoda, sama, opuszczona, bez pamięci i do tego posikana. To już koniec. Umieram.

Ale nie umarłam. Umrzeć miałam parę sekund później, gdy otworzyłam oczy. Wpatrywał się we mnie Pinokio. Uśmiechał się nawet (nie wierzyłam jego sztucznemu uśmiechowi), a ja momentalnie oblałam się rumieńcem i potem. Chciałam zapaść się pod ziemię.

– Domagała się pani widzenia ze mną. Coś się dzieje? Pogorszyło się? Coś ze wzrokiem? Czy głowa bardziej boli?

Patrzyłam na niego i nie mogłam wydusić z siebie słowa. Nagle zdałam sobie sprawę, że wstrzymuję oddech, otworzyłam więc usta i ze świstem, łapczywie, wciągnęłam powietrze.

– Co pani dolega?

– N-nic...

– Jest pani rozpalona! – powiedział, przykładając dłoń do mojego czoła.

– Już wszystko w porządku... – udało mi się wydobyć z siebie.

– A jednak czoło ma pani mokre. Zadzwoń po siostrę, trzeba zmierzyć temperaturę. Niczego nie możemy ignorować.

To był mój koniec. Tak myślałam. Ale nie, jeszcze nie. Koniec miał nadejść za chwilę.

Pinokio spojrział na kołdrę. Podążyłam za jego wzrokiem i serce stanęło mi w piersi. Kołdra robiła się coraz bardziej mokra. Wielkie koło rysowało się wyraźnie w miejscu bioder. Zabijcie mnie. Nie chcę żyć. Błagam, tylko nie to.

Siostra weszła do pokoju, a Pinokio wskazał ruchem ręki na kołdrę.

– Myślałem, że coś pacjentce dolega, i nie myliłem się. Proszę przebrać pościel.

Odwrócił się i wyszedł.

– No to porobiła! – Pielęgniarka skarciła mnie wzrokiem. – Taka stara, a się poszczała.

Rozpłakałam się.

ROZDZIAŁ 3

Znikający pacjenci



Kolejnego dnia przywieziono na salę kobietę około trzydziestki, po operacji. Leżała spokojnie cały dzień i nawet się nie ruszała, ale wieczorem zaczęła się skarżyć, że ma już tego dosyć i chce usiąść. Pielęgniarki latały wokół niej jak szalone. To dziwne, bo przy mnie tak nie skakały, pomyślałam. Kim ona niby jest? Papieżem? Chyba powinna tu obowiązywać zasada równości? Wypróbowałam to i z ciekawości zadzwoniłam. Nikt nie przyszedł. Co za ludzie! Jak tak można?!

– Jutro mnie wypuszczą z tej umieralni – westchnęła, spoglądając na mnie ciekawie.

Może umieralnia to nie najlepsze słowo, w końcu jednak żyjemy, pomyślałam, ale też miałam dość tego miejsca, więc w jakimś stopniu się z nią zgadzałam.

– Myślałam, że po operacji nie wypuszczają na drugi dzień – zauważyłam.

– E tam – machnęła ręką. – Po wycięciu wyrostka robaczkowego puszczają nawet od razu, jak się człowiek uprze.

Nagle zaczęła się śmiać. Przyjrzałam się jej uważniej, nie rozumiejąc powodu wesołości.

– Wygląda pani jak mumia z tymi bandażami na głowie.

– Dziękuję – powiedziałam chłodnym tonem. Głupia baba, pomyślałam, nie będę się do niej odzywała.

Ona, jakby nie zauważyła mojego chłodnego tonu, mówiła nadal donośnym głosem. Podparła się na łokciu i zaczęła mi się przyglądać uważniej.

– Czy ja pani czasem nie znam? Bo wydaje mi się, że skądś się znamy, tylko że te bandaże nie pozwalają mi zidentyfikować twarzy...

– Z pewnością się nie znamy – zapewniłam, układając się wygodniej na łóżku.

– Głowę bym dała, że jednak skądś...

Zamyśliła się chwilę. Mamrotała coś pod nosem, położyła się, potem nagle usiadła, wlepiła we mnie ślepią nie wiadomo który raz z kolei i...

– Wiem! – wykrzyknęła nagle tak głośno, że aż podskoczyłam na łóżku. – Już wiem! Tak! To na pewno pani!

Przyznam, że nawet mnie zaciekała.

– Widziałam panią w telewizji! I to całkiem niedawno!

– W telewizji? – zdziwiłam się. Czyżbym była gwiazdą? Celebrytką? Miałam wielką nadzieję, że jednak nie.

– Tak, to pani!

Podparłam się na łokciu.

– A co robiłam w telewizji?

– Nie pamięta pani? Opowiadała pani o trumnach! Jest pani właścicielką największego w Polsce domu pogrzebowego!

Zachłysnęłam się powietrzem. Co ona wygaduje? Zwariowała? Uderzyła się w głowę? Dali mi tu jakąś wariatkę? Ja i trumny, domy pogrzebowe? Nigdy! Czy ja aby naprawdę jestem w szpitalu, czy w domu wariatów?

– Mogłaby pani przynajmniej nie naśmiewać się z ludzi! – krzyknęłam, siadając na łóżku tak szybko, że zakręciło mi się w głowie, ale teraz było mi wszystko jedno.

– Ależ ja się nie naśmiewam! To pani jest Marleną Kiełbasą! Niech mnie pani nie robi w balona! Gdzie ja mam telefon? Muszę sobie z panią zrobić zdjęcie!

– W tym stanie? – wykrzyknęłam, widząc, jak wydostaje się z łóżka i wijąc się z bólu, podchodzi do mnie. Przeraziłam się, że może wariatka chce mi coś zrobić, i odruchowo się odsunęłam.

– Co pani wyprawia? Niech pani wraca do łóżka!

– O Jezu, jak boli! – narzekała, zbliżając się do mnie i chwytając się za brzuch. – Proszę mi zrobić miejsce, nie widzi pani, że nie mogę ustać na nogach?

Odsunęłam się, a ona usiadła obok, jęcząc.

– Zapomniałam telefonu. – O mało się nie rozpłakała.

– To zrobimy moim. Prześlę pani.

Wolałam zrobić sobie z nią zdjęcie własnym telefonem, bo oczywiście niczego nie miałam zamiaru jej przesyłać.

– Naprawdę? – Jej twarz rozżarzyła się jak żarówka. – Boże, jaka pani dobra, a tyle się o pani mówi...

Znowu zmarszczyłam brwi. Tyle się o mnie mówi? Niby w jakim sensie? Zresztą, chwileczkę, czy ja naprawdę nazywam się Kiełbasa?

Sięgnęłam po telefon, pacjentka nachyliła się, przygniatając mnie bujną piersią, i zrobiłyśmy sobie pospiesznie selfie. Potem ruszyła do swojego łóżka.

– Aua, jak boli, o matko. Co oni mi porobili? Nawet przed operacją tak nie bolało. Chyba mi tam czego nie zostawili, jakichś nożyczek, skalpela, bo to dziś nic nie wiadomo. Ciągłe się czyta o takich sprawach. Ale pani to by się pewnie cieszyła – skamlała dalej. – Bo gdyby się jednak operacja nie udała, to znowu trumnę trzeba by było robić, a zyski z pogrzebów, jak wiadomo, są ogromne. Czasami ludzie zadłużać się muszą, tak się z nich zdziera ostatnie pieniądze. Tacy jak pani to żerują na cudzym nieszczęściu, niestety.

Położyła się i wyglądało na to, że zapomniała o zdjęciu. Ja tymczasem rozmyślałam, spoglądając na nie. Rzeczywiście wyglądem przypominałam egipską mumię. Nie ma co, do twarzy mi w bandażach. Po śmierci każę się zabalsamować. Cienie pod oczami również nie dodawały mi urody.

Odłożyłam telefon na miejsce.

– Co pani miała na myśli, wspominając, że się o mnie tyle mówi? – nie wytrzymałam i zadałam jej to pytanie. W końcu powinnam się dowiedzieć, co się dzieje.

– E tam, jak o wszystkich celebrytach.

– To znaczy?

– Że do kamery to się pani uśmiecha, ale pazury ma pani

ostre. Zresztą, w porównaniu z pani mężem to właściwie jest pani święta, ale...

– Mężem? – wrzasnęłam na całe gardło.

– Z Norbertem Kiełbasą przecież! – zdziwiła się, patrząc na mnie jak na wariatkę.

Norbertem? Chyba nie wyszłam za mąż za kogoś, kto nazywa się Norbert? Boże, zaraz dostanę apopleksji, po co ta kobieta tu leży? Za jakie grzechy muszę słuchać takich potworności? I jeszcze ta „kiełbasa”... To jakaś paranoja.

– Czego pani się tak dopytuje i robi te dziwne miny? – zapytała wreszcie kobieta.

– Bo nic nie pamiętam. Uderzyłam się w głowę!

– Ha ha, dobre sobie – zaśmiała się. – Ma pani poczucie humoru, nie powiem. A w telewizji zawsze taka poważna się wydaje.

Nagle przyjrzała mi się uważnie.

– Naprawdę się pani uderzyła w głowę? To może stąd te bandaż?

– Tak. I straciłam pamięć, gdyby pani chciała wiedzieć.

– O Boże... – Zakryła sobie usta dłońmi.

– Co? – Znowu wlepiłam w nią wzrok.

– Była tu już policja?

– Niby dlaczego?

– Bo przypomniałam sobie, że panią od wielu dni poszukują.

– Mnie???

– Przecież pani zaginęła!

– Ja???

W tym momencie niewiele brakowało, abym zamieniła się w prawdziwą mumię. Bandaże mogły okazać się zupełnie na miejscu. Wiedzieli, co robią, zakładając mi je na głowę.

– No pani, chyba nie ja!

– Jak mogłam zaginać, kiedy tu jestem?

– Teraz już pani pewnie jest odnaleziona.

– Chyba pani mnie z kimś pomyliła. – Pokręciłam przecząco głową.

– Nie. Jestem pewna, że to pani.

– Ale jak pani wycięli ten... te robaczki, to może też coś innego przy okazji naruszyli? Może z tego się pani płacze w głowie?

– Wypraszam sobie! – krzyknęła. – Teraz już mi pani zupełnie przypomina Marlenę. To na pewno pani. Cięty język, uszczypliwości, cała Marlena Kiełbasa. Nawet cienie pod oczami, to też się nie zmieniło.

– Nie jestem uszczypliwa!

– Skąd pani może wiedzieć, skoro straciła pamięć?

– Bo wiem, że taka nie jestem. W każdym razie czuję to.

– Nie może pani czuć, bo mówią, że pani nie ma serca!

– Proszę mnie nie obrażać!

– Mówię to, co się opowiada! Powtarzam.

– To niech pani już nie powtarza. Zresztą, odmawiam rozmowy z panią. Chcę leżeć w spokoju. W końcu jestem w szpitalu. Tu ludzie wracają do zdrowia.

– Ale zdjęcie mi pani podeśle?

– Zastanowię się.

– Jędz. Taka sama jak w telewizji, a niby że miła... –

szeptala do siebie moja dzisiejsza wspollokatorka, kladac sie na boku.

Odwrocilam sie ze zloscia do sciany. W srodku cala az sie trzeslam. Zadzwonilam po pielęgniarkę, aby mi dala cos na nerwy, ale oczywiscie nikt sie nie pojawil. Juz ja jej pokaże, wygrazalam siostrze w duchu. Jak tylko stąd wyjde, zajme sie nią. Zbyt dlugo tu nie popracuje. A jezeli kiedyś bedzie potrzebowala trumny – oczywiscie przy zalozeniu, ze istotnie ta firma nalezy do mnie – moze zapomniec o zniźce!

Po jakimś czasie pojawila sie nowa pielęgniarka i dala mi do wypicia obrzydliwe lekarstwo, po którym od razu poczulam sie znuzona i zasnelam, a kiedy sie ocknelam, lozko naprzeciwko mnie bylo puste. Jakaś kobieta z wielką wprawą w pospiechu zmieniala posciel.

– Wypisala sie? – Wskazalam na lozko.

– Nie.

– Gdzie ją przewieziono?

– Do lodowki.

Nie zrozumialam.

– Gdzie?

– Do prosektorium.

– Po co?

– A po co sie tam wozi trupy? Na diagnostyke przeciez. Pośmiertną.

– Jakie trupy? Przeciez przed chwila jeszcze zyła!

Nie polubilam jej, ale cos mi tu nie gralo.

– Przeszla ciezka operacje. Wystapily komplikacje. Cos tam jej sie w srodku rozlalo. I juz.

Byłam dosłownie zszokowana.

– Ale wyglądała zdrowo! Nawet chodziła po sali!

– No właśnie, pewnie miała leżeć, a nie łązić. Ma za swoje.

Wzdrygnęłam się.

– Mówi to pani takim obojętnym tonem. Jakby tu nie chodziło o ludzkie życie.

– Gdyby pani wiedziała, ile takich przypadków mamy tutaj codziennie, też by pani podchodziła do tego w ten sposób.

– Na pewno nie! – nie zgodziłam się z nią.

– Na pewno tak – odcięła się. – Przynajmniej miejsce dla nowego pacjenta się zrobiło.

– Pani jest potworem!

– A pani kim? Może i pani łóżko do jutra się zwolni?

– Jak pani śmie?

Machnęła ręką i wyszła z pokoju.

Położyłam się, drżąc na całym ciele. Musiałam dojść do siebie. Nadal czułam się bardzo zmęczona. Ile mogło minąć czasu? Godzina? Dwie? Jeszcze był dzień, ale nigdzie nie widziałam zegarka. W końcu przypomniałam sobie o komórce. Podniosłam ją ze stolika i spojrzałam na wyświetlacz. Czwarta dziesięć. Zdjęcie było zrobione o trzeciej. Godzina z ogonkiem. Niby niewiele, a jednak tyle się zdarzyło. Ziewnęłam. Ależ chciało mi się spać. Przecież leżę cały dzień w łóżku, jak to możliwe? Zamknęłam oczy. Pomimo wzburzenia zaistniałą sytuacją znowu zapadłam w twarde sen.

Dzień minął, po nim nastał wieczór i wreszcie, choć czas

wlókł się niemiłosiernie, zapadła noc. Pogaszono światła i wyłączono grające w oddali telewizory, słychać było jedynie od czasu do czasu kaszel jakiegoś chorego czy kroki przemyskającej po korytarzu siostry.

Budziłam się i zasypiałam. Nie potrafiłam przestać myśleć o dociekliwej kobiecie, która rozpoznała mnie z telewizji. Miałam dziwne wrażenie, że coś się tu nie zgadza.

* * *

Kolejny dzień w szpitalu zaczął się jak zwykle bardzo wcześnie. Ktoś otworzył drzwi, zapalił światło. Jęknęłam. To znęcanie się nad ludźmi, przemknęło mi przez głowę. Zresztą, jeszcze śpię, to okropne, że ktoś ma mnie oglądać zaraz po przebudzeniu. Pewnie włosy sterczą mi na wszystkie strony, mam zaspane, czerwone oczy i odcisniętą na policzku poduszkę...

– Proszę zgasić – zawołałam, przysuwając do oczu dłoni. – Jeszcze śpię.

– Nie jest pani na wakacjach. To szpital! – powiedziała pielęgniarka i otworzyła na oścież okno. – Za chwilę będzie obchód, lekarz przyjdzie.

Udało mi się wstać. Doczłapałam do łazienki, wzięłam szybki prysznic i umyłam zęby. Potem wróciłam do pokoju i usiadłam na łóżku.

Przyniesiono śniadanie: kromka chleba z ledwo widocznym kawałkiem masła i kupeczką dżemu. Jezu, pomyślałam, oni nas tu zagłodzą na śmierć. Choć należałam do szczupłych kobiet, wewnątrz czułam,

że mam wilczy apetyt.

– Czy mogę poprosić o jeszcze jedną kromkę chleba? – zawołałam, wychylając się na korytarz.

– Nie może – padła odpowiedź.

Wróciłam z powrotem i zjadłam, co było. Zapiłam herbatą. Tej przynajmniej jest pod dostatkiem, pomyślałam. Sknerusy jedne. Z naszych podatków żyją, a jeść nie dają. To po co płacić składki?

Później przyszedł doktor. Popatrzył w kartę, zadał te same pytania co wczoraj i zniknął. Pielęgniarka zmieniła mi bandaż. Sprzątaczką przysłała i, jakby jej się nie chciało, przemyła gdzieniegdzie podłogę. Zostałam sama.

Ostrożnie wyszłam na korytarz. Ruszyłam w stronę otwartych drzwi na balkon. Zatrzymałam się w pół kroku, słysząc głos doktora.

– Wyobraź sobie, że ten bezdomny przyszedł wczoraj i kazał obciąć sobie palce w ręce.

Pielęgniarka roześmiała się.

– Po co?

– Żeby mógł bez problemu wkładać ręce do rękawiczek. Wyobrażasz sobie?

– Obciąłeś?

– Nie. Szkoda czasu. Zresztą, i tak mi się wydaje, że nie miał żadnych rękawiczek.

– A ta z trójki?

– Ta chuda? – Przysunęłam się krok do przodu, by lepiej słyszeć, bo przecież to ja leżałam pod trójką. – Długo nie pociągnie.

– Jedną nogą w grobie?

Roześmiał się.

– Też oglądałaś wiadomości?

– Wszyscy widzieli. Znana się zrobiła.

– I na co jej to? Dzień, dwa i będzie po niej.

Słyszałam, jak się zaciągają papierosami i wydmuchują dym.

– Wracamy. Obejdę szybko, a ty rób już kawę.

Pospiesznie wskoczyłam do ubikacji. Odczekałam chwilę i wyszłam. Pinokio był dokładnie w sali naprzeciwko mnie.

– Jak noga?

– Boli, panie doktorze – poskarżyła się kobieta.

– To znaczy? – Zaczął przyglądać się zdjęciom.

– Boli, jak stoję na palcach.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Po co pani staje na palcach? Czy pani chce zostać baletnicą?

– No nie, ale...

Szybko przemknęłam obok i wróciłam do pokoju.

Na chwilę przysnęłam, a kiedy się obudziłam, zobaczyłam stojącego w drzwiach wysokiego mężczyznę w czarnym garniturze. Przyglądał mi się uważnie nieprzyjemnym wzrokiem. Gdzieś w tle mignął mi cień Pinokia.

Przymknęłam powieki, jeszcze otępiła od snu, ale jak je otworzyłam, mężczyzny już nie było. Doktor też zniknął.

Przeszył mnie dreszcz.

Szybko o tym zapomniałam, ponieważ przywieziono nową pacjentkę. Musiała brać udział w jakimś wypadku,

bo miała unieruchomioną szyję i jedną nogę w gipsie. Na twarzy pełno zadrapań i siniaków.

W przeciwieństwie do poprzedniczki nic nie mówiła. Wpatrywała się bez końca w okno i nawet na mnie nie spojrzała.

Podeszłam do niej, bo głowa jakoś nie przysparzała mi dziś problemów.

– Dzień dobry. Jestem Marlina.

Cisza. Kobieta nadal patrzyła w okno, dając mi do zrozumienia, że nie chce nawiązywać żadnych kontaktów.

– Co się pani stało? Wypadek?

Teraz wreszcie zwróciła wzrok na mnie. Patrzyła tak, jakbym to ja była odpowiedzialna za to, że się tu znajduje.

– Yucił e z kna.

Miała wybite przednie zęby.

– Słucham?

Znowu powtórzyła to samo.

– Niestety, nie rozumiem pani – powiedziałam cicho. Naprawdę nie wiedziałam, o co jej chodzi. Zresztą bez tych zębów i w kołnierzu wyglądała tak śmiesznie, że o mało nie parsknęłam. Nie dziwiłam się już, że tamta kobieta z wczoraj również się ze mnie śmiała.

– „Wyrzucił mnie z okna”. – Drgnęłam, usłyszawszy głos za sobą.

– Proszę? – Odwróciłam się w stronę wchodzącej pielęgniarki.

– Mówi, że mąż ją wyrzucił z okna.

– Skąd pani wie?

– Bo sam zadzwonił na policję. I przyznał się. Znalaziono ją w kałuży krwi pod oknem.

W głowie mi się nie mieściło coś takiego. Żeby mąż własną żonę w taki okrutny, barbarzyński sposób mógł potraktować? Czy zdawał sobie sprawę, jak ona teraz wygląda? Bez tych zębów?

– To pewnie posiedzi sobie jakiś czas – poklepałam kobietę po lewej ręce. – Będzie miał za swoje. W więzieniu mu pokażą, jak się traktuje damskich bokserów.

Pielęgniarka roześmiała się.

– Z czego się pani śmieje?

– Z pani głupoty – padła odpowiedź.

– Że co proszę? – zapytałam i ze zdziwienia otworzyłam szeroko usta.

– Proszę na nią spojrzeć. To nasza stała klientka. Nie jest tu po raz pierwszy. I pewnie nie ostatni.

– Co nie oznacza, że od razu można mnie nazywać głupią – oburzyłam się, podskakując na łóżku chorej, która jęknęła głośno. – Może po prostu nie znam sytuacji? Co?

– Oczywiście, że tak. Nie myślałam w ten sposób, tak się tylko mówi, no nie?

Odwrociłam się do nowej.

– Wszystko będzie dobrze, niech się pani nie martwi. Po powrocie do domu nie zastanie pani męża i życie wróci do normy. – Znowu poklepałam ją przyjacielsko po ręce.

– Już mówiłam, że... – odezwała się pielęgniarka, ale potem westchnęła i dokończyła spokojniej: – Jest pani naiwna. Jej męża już wypuścili, przed przywiezieniem jej tutaj napisała, że to nie on odpowiada za wypadek.

– Dobry żart! – Pokręciłam głową, pukając się w nią jednocześnie palcem.

– To nie żart, tylko prawda. Ona tak zawsze.

Spojrzałam na kobietę.

– Przecież...

– Kocha go. Niestety.

Wstałam ostrożnie i na palcach wróciłam do swojego łóżka. To nie mieściło się w mojej chorej głowie. Tam się zresztą, oprócz noża, w ostatnim czasie nic nie mieściło.

– Żartuje pani? – wyszeptałam jeszcze, wskazując na leżącą z zamkniętymi oczami kobietę.

W odpowiedzi otrzymałam kręcenie głową i wzruszenie ramion. To by było na tyle, pomyślałam, i jakby na dany znak rozboleła mnie głowa. Przyłożyłam do niej dłoń z cichym westchnieniem. Ból się nasilał, więc poprosiłam o tabletkę, którą za chwilę mi podano. Na szczęście nie było dziś na zmianie nieprzyjemnego smoka, który nie reagował na moje natarczywe dzwonienie. Ta tutaj wydawała się całkiem sympatyczna.

Dzień minął dosyć szybko. Wieczorem dostałam zestaw leków, który z wdzięcznością połknęłam, a kiedy się obudziłam, powtórzył się scenariusz z poprzedniego dnia. Kobiety bez zębów już nie było.

– Co z nią? – ziewnęłam do siostry ścielającej łóżko.

– Ta sama sytuacja.

Zmarszczyłam brwi. Jakiś impuls nakazał mi usiąść.

– Że co? Też ją odwieźli?

Pokiwała głową.

– Ciężki przypadek.

– Ale wyglądała na zdrową, oprócz zębów i tej nogi!

Kobieta popatrzyła na mnie, biorąc się pod boki.

– Pani też wygląda normalnie, a kto wie, co będzie jutro? Albo co się tam w środku za choroba skrywa? – Wskazała gestem mój brzuch.

Odruchowo się za niego złapałam.

– Jestem pewna, że mnie akurat nic nie dolega.

– Phi. – Machnęła ręką. – Wszyscy tacy pewni, a za chwilę nogami do przodu ich wiozą. – I ruszyła do pracy.

Zszokowana poszłam się umyć. Myśli krążyły mi w głowie jak zwariowane. Instynktownie wyczuwałam tu sporo niejasności. Coś mi się w tej sytuacji nie zgadzało i dobrze wiedziałam, że ma to związek z tymi biednymi kobietami, ale...

– Do diabła! – zakląłam.

Dlaczego nic sobie nie mogłam przypomnieć? Cholerna głowa! Jakby w środku była pusta!

Nagle przypomniałam sobie wczorajszego gościa w czarnym garniturze, zaglądnącego do mojego pokoju. Kim on był? Szukał kogoś w szpitalu i przypadkiem zabłądził aż do mnie?

Położyłam się. Minął czas wizyty lekarskiej i śniadanie (tym razem dwie kromki chleba i pasztet, nie no, chyba oszaleję). I w końcu coś mi zaświtało w głowie. Ten facet! Tak. Znałam go! Już gdzieś go widziałam, tylko gdzie? Przypomnij sobie, przypomnij!

Staralam się bardzo, jednak nic więcej nie przyszło mi do głowy, poza dziwnym przeczuciem, że się znamy. Czy

naprawdę coś tu się dzieje, czy tylko ogarnia mnie jakaś chorobliwa paranoja?

Więc dobrze, pomyślmy!

Po pierwsze. Ktoś mi wbił nóż do głowy? Wbił. To nie ulega wątpliwości. Czy chciano mnie zabić, czy był to tylko zbieg okoliczności? Nie wiedziałam, niestety.

Po drugie. Byłam w szpitalu? Byłam. Widziałam dwie kobiety, które powinny stąd szybko wyjść? Widziałam. I obie umarły w czasie mojego snu? Umarły. Jak to możliwe?

Po trzecie. Pojawił się tu dziwny mężczyzna? Pojawił. Miałam przeczucie, że go skądś znam? Miałam. I było to złe przeczucie. To się zgadzało, a więc na pewno nie życzył mi szybkiego powrotu do zdrowia.

Po czwarte i chyba najważniejsze. Straciłam pamięć i nie wiem, kim jestem? Dokładnie tak. Więc byłam ugotowana, bo cokolwiek by się miało stać, nie miałam o niczym pojęcia.

Ach, i jeszcze matka, przypominałam sobie. Czy ona naprawdę była moją matką? Tak twierdziła. Więc czemu się więcej nie pojawiła? Nie zadzwoniła? Nie napisała? O, i po piąte, dodałam jeszcze, według niej mieszkałam na cmentarzu, co oczywiście nie brzmiało zbyt logicznie, ale załóżmy, że ten potwór był moją matką i że mówił prawdę, więc jak mogło do tego dojść? Przecież musiał istnieć jakiś powód!

Pobrali mi krew do badań. Stałam i wyglądałam przez okno, kiedy pojawił się lekarz, którego nie znałam. Miał zmartwiony wyraz twarzy.

– Co się dzieje? – zapytałam.

– Wystąpiły pewne komplikacje – odpowiedział cicho. – Zbadaliśmy pani krew i nie jesteśmy zadowoleni z wyników. Dokładnie mówiąc, pani stan zaczyna być, że tak powiem, alarmujący.

Ugięły się pode mną kolana.

– Przecież czuję się zupełnie normalnie!

Pokręcił głową.

– To zwyczajny stan rzeczy, że czuje się pani w porządku. Jednak w pani ciele dzieją się zadziwiające, nawet powiedziałbym – mrozące krew w żyłach rzeczy.

Zaczęłam dygotać na całym ciele. Moje przeczucia co do dwóch kobiet wydawały się uzasadnione.

– Panie doktorze – zaczęłam powoli, starając się, żeby nie usłyszał hysterii w moim głosie. – Nic mi nie dolega. Jestem pewna – powiedziałam z naciskiem – że jutro stąd wyjdę cała i zdrowa.

– Oczywiście, rozumiem panią i tego pani życzę, ale jednak... – Pokręcił głową. – Damy pani dodatkowe lekarstwa, a rano zobaczymy, co dalej. Proszę się nie obawiać. Wszystko będzie dobrze.

Przełknęłam ślinę. Nie będzie. Widziałam to w jego oczach. Wstał pospiesznie i wyszedł. Znów zaczęłam się trząść jak osika. Powoli zapadał zmrok. Już dawno było po kolacji i cienie kładły się po pokoju długimi smugami. Leżałam z otwartymi oczami i nie mogłam opanować niepokoju. Obok na stoliku znajdowały się leki, które miałam połknąć, ale nie byłam w stanie tego zrobić. Schowałam je więc do kieszeni piżamy.

Nie chcę umierać, pomyślałam. Nie teraz. Nie w tym szpitalu i nie w taki sposób. Może lepiej już by było zostać pożartą przez rekina, wcześniej pływając sobie spokojnie w morzu, lub spaść razem z samolotem, jeszcze by człowiek w ostatnich sekundach coś świata zobaczył! Ale nie tak!

Nie, nie, mówiłam do siebie w duchu. Coś trzeba zrobić. To się tak nie może skończyć.

Pielęgniarka przyszła sprawdzić, czy śpię.

– Za chwilę wrócę i dam pani zastrzyk, żeby się pani mogła spokojnie wyspać.

Wcisnęło mnie w poduszki. A więc to już koniec.

Co robić?

Ratunku!

ROZDZIAŁ 4

Uciezka



P^{st!} Rozejrzałam się niespokojnie po pokoju. Wydawało mi się, że coś słyszałam. Odczekałam chwilę, nasłuchując uważnie. I znowu rozległ się ten sam głos:

– Pst!

To od strony okna! Wstałam pospiesznie, a wtedy coś uderzyło lekko w szybę i upadło na parapet. Spojrzałam na dziwnie wyglądającą rzecz i wzdrygnęłam się. Psia kupa? Ktoś sobie robi żarty?

Wyrzałam, spoglądając w dół.

Jakiś ciemny kształt stał pod drzewem i machał do mnie ręką.

– Marlena? To ty? – usłyszałam.

– Tak! – krzyknęłam cicho.

– To ja!

– Kto?

- No ja!
- Kto „ja”?
- Pamięć straciłaś? No przecież ja!

Chwycałam kupę i rzuciłam w kobietę. Dostała. Otrzepała się prędko.

- Czemu we mnie rzucasz?
- Bo cię nie znam!
- Pamięć straciłaś?
- Tak!

- To mogłaś od razu mówić, jaka jest sprawa, a nie rzucać we mnie gównem!

- Czego chcesz? - Powoli traciłam cierpliwość.
- Musisz stamtąd wiać! Grozi ci niebezpieczeństwo!

Nagle coś za mną się poruszyło. Podskoczyłam jak oparzona, ale nikogo nie było. To tylko na korytarzu ktoś kopnął w krzesło. Znowu się pochyliłam.

- Co?
- Musisz uciekać! - Kobieta machała rękami jak szalona.
- Skąd wiesz? Jak mam ci wierzyć?
- Bo jestem twoją najlepszą przyjaciółką!
- Nic nie pamiętam!
- To dlatego, że straciłaś pamięć. Ale sobie przypomnisz.

Miałam więc jakąś przyjaciółkę? Odetchnęłam głośno. Jednak nie byłam opuszczona i niechciana!

- Spakuj rzeczy, za chwilę po ciebie przyjdę!

Chciałam krzyknąć, że o tej porze tu się raczej nie dostanie, ale zniknęła już w ciemnościach.

Oparłam się o parapet. O kurczę, co robić, zwiewać? A co, jeśli to jakaś wariatka? Pójdę z nią, a ona mnie zabije

za pierwszym zakrętem i będzie po bajce? A jeżeli to naprawdę moja przyjaciółka i właśnie ratuje mi życie? Co robić? No?

Instynktownie podbiegłam do szafki, wyjęłam z niej torbę i wrzuciłam do środka telefon, a potem sprawdziłam, czy mam portfel. Zdjęłam piżamę i ubrałam się w swoją sukienkę. Usiadłam na łóżku i czekałam z rękami splecionymi na kolanach. Jeżeli teraz wejdzie siostra, to po mnie.

Nagle gdzieś od strony korytarza rozległ się kobiecy miły głos, a następnie ogłuszający trzask, potem uderzenie, jakby worek z kartoflami rzucono na ziemię, i szybkie kroki biegnące w moją stronę.

– Marlena? – Ktoś cicho wymówił moje imię. – Wyjdź, bo nie wiem, gdzie dokładnie jesteś!

Szybko wstałam i poszłam w stronę światła. Kiedy ją zobaczyłam, odruchowo zrobiłam krok w tył. To miała być moja przyjaciółka? Ta gruba beczka? Z przetłuszczonymi włosami? I blada, jakby z prosektorium się przed chwilą wydostała? Z pewnością nie. Przecież musiałam mieć chociaż odrobinę klasy! Już raczej wolałabym mieć ulubionego psa niż to, co stało właśnie przede mną i patrzyło rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

– O matko, co oni ci zrobili? – Zakryła ręką usta. Wyglądała jak porażona prądem.

– Jak to co? Przecież żyję. Nic mi nie zrobili.

– Ale nie wyglądałaś aż tak źle, kiedy cię tu wieźli. Te bandażę powodują, że wydaje się, jakbyś była już w połowie mumią. Zdajesz sobie z tego sprawę? I jeszcze te

podkrążone oczy! To naprawdę ty?

Grubaska podeszła na swoich pulchnych nóżkach i dotknęła mnie krótkim paluchem z obrzydzeniem malującym się na twarzy.

– Wypraszam sobie! – warknęłam, odtrącając palec.

– Ale się zrobiłaś drażliwa w tym szpitalu! To już cię człowiek nie może nawet dotknąć?

– A może powinniśmy stąd raczej wiać? Zaraz ktoś przyjdzie i będzie po wszystkim! Nici z mojej ucieczki. Skończę w trumnie.

Gruba rozejrzała się na wszystkie strony.

– Racja. Wiejemy!

Rzuciła się do ucieczki. Stałam chwilę i patrzyłam, jak szybko przebiera nogami, kiedy odwróciła się i zawołała:

– Za mną!

Zaczęłam biec. Po chwili znalazłam się przy recepcji i kątem oka dojrzałam pielęgniarkę leżącą na ziemi.

– Zabiłaś ją? – zawołałam ze zgrozą w głosie.

– Zwariowałaś? Nie jestem morderczynią!

– Ale leży jak kłoda. Martwa, jakby... – Zaczęłam dyszeć, bo nagle zakręciło mi się w głowie. Korytarz wydawał się nie mieć końca, ale na szczęście już dojrzałam wyjście prowadzące do wolności.

– Bo jej porządnie przywaliłam. W końcu mam trochę siły w rękach.

– Nie wątpię – mruknęłam pod nosem, by nie usłyszała, i w tym samym momencie obie rzuciłyśmy się do drzwi. Niestety framugi okazały się zbyt wąskie dla nas dwóch i musiałyśmy się zatrzymać.

– Nie wpychaj się na siłę! – warknęłam, odtrącając ją łokciem.

– Ja miałam przejść pierwsza! – Wbiła we mnie wielką pierś.

– Ale to ja jestem chora!

– A ja znam drogę wyjścia!

– Też bym wiedziała, jak stąd wyjść!

Zrobiła krok do tyłu i podparła się pod boki.

– No to idź. Prowadź!

Odchrząknęłam i poszłam przodem. Wyjście znajdowało się parę metrów dalej. Chwyciłam z zadowoleniem klamkę i... nic. Drzwi okazały się zamknięte.

– Zamknięte – powtórzyłam blada ze strachu, bo oczami wyobraźni widziałam już dochodzącą do siebie pielęgniarkę, nadjeżdżającą policję i zastrzyk, który robią mi na siłę w celu zabrania mnie na skomplikowaną operację, której oczywiście nie przeżyję.

– Mówiłam ci – powiedziała z zadowoleniem na twarzy moja przyjaciółka, nadal podpierając się pod boki. – Proszę, idź. Wydostań się. Pomóż sobie sama, pani Chora Głowo.

Opuściłam ramiona.

– No dobra, co z tymi drzwiami?

– Okej. – Od razu do mnie podeszła. – Są tu jeszcze jedne. Te na noc zamykają, aczkolwiek nie wiem po co, tamte przecież są otwarte.

Pokręciła głową, potem odwróciła się w stronę, z której dopiero co przybiegłyśmy, i postukała się palcem w czoło. Następnie rzuciła się do ucieczki po schodach prowadzących w dół. Miała rację, kolejne drzwi okazały

się otwarte i wyszłyśmy na świeże powietrze.

– Co teraz? – zapytałam.

– Pojedziemy do mnie autem. Przecież cię tu nie zostawię.

– Gdzie mieszkasz?

– Ty naprawdę nic nie pamiętasz? – Przyjrzała mi się uważniej z nadzieją w oczach.

– Nie. Przecież mówiłam.

– To może i dobrze – odetchnęła z wyraźną ulgą. – Chodź. Wsiadłyśmy do stojącego nieopodal samochodu. Usadowiłam się na przednim siedzeniu i zapięłam pasy.

Gruba patrzyła na mnie z otwartymi ustami.

– Co? – zapytałam.

– Nigdy nie zapinasz pasów – odpowiedziała powoli.

– Nie chcę zginąć w wypadku samochodowym.

– Kiedyś było ci wszystko jedno.

– Naprawdę? – Jakoś nie potrafiłam w to uwierzyć. Czy rzeczywiście w ten sposób igrałam ze swoim życiem? Chyba nie byłam aż tak szalona i nieodpowiedzialna?

Przejechałyśmy może kilometr. Moja rzekoma przyjaciółka zatrzymała auto i zgasiła silnik.

– Dobra. To idziemy. Tylko jak już będziemy na miejscu, nie trzaskaj drzwiami.

– Niby czemu nie? Zawsze trzaskam?

– Nie, ale twoja matka zadzwoni po policję.

– Moja matka? Nie miałyśmy przypadkiem jechać do ciebie?

– Mieszkam w tej samej klatce. Dokładnie naprzeciwko drzwi do jej mieszkania.

– Czemu mi nie powiedziałaś?

– A co by to zmieniło?

– Nic.

– No właśnie. Chodź. Tylko cicho, bo ona często przesiaduje w oknie, które na nieszczęście wychodzi dokładnie na tę ulicę.

Staralam się najciszej, jak mogłam, zamknąć drzwi i udałam się w ślad za przyjaciółką. Weszliśmy do obskurnej klatki schodowej. Oczywiście nie było tu windy, więc schodami poszliśmy na ostatnie piętro. Głowa mnie tak rozboleła, że o mało mi nie pękła.

– Nie mogłaś mieszkać gdzie indziej? Przecież dzisiaj da się już żyć zupełnie inaczej. Czy coś ci mówi takie słowo jak winda? Technologia? Dwudziesty pierwszy wiek?

Gruba spojrzała na mnie jak na wariatkę.

– Boli cię głowa? Biedaczko moja. To musi być okropne uczucie.

– Nie bądź taka!

– Jaka? – Zrobiła niewinną minę.

– Złośliwa!

– Nie jestem! – oburzyła się i niechcący podniosła głos.

– Jesteś!

– Właśnie, że nie!

Nagle coś zaszleściło za drzwiami w mieszkaniu obok. Dało się słyszeć szuranie kapci.

– Twoja matka! Prędko!

Gruba pospiesznie włożyła klucz do zamka i wpuściła nas do środka.

– Dlaczego tu wszystko tak wyraźnie słychać? Macie

ściany z papieru czy jak?

– Mieszkałaś tu całe życie, więc powinnaś dobrze wiedzieć.

– Jak mam wiedzieć, skoro nic nie pamiętam?

Westchnęła dramatycznie, patrząc na dziesiątki par butów ze złamanymi obcasami ustawione przy wejściu.

– Dlaczego mi się to przytrafia? Za jakie grzechy?

– Nie musiałaś mnie wyciągać ze szpitala. Wcale nie było mi tam tak źle.

Przeszliśmy do pokoju. Stałam jak wryta i z rozdziawioną gębą patrzyłam na wyposażenie. Cały pokój utrzymany był w kolorach czarnym i czerwonym. Wszędzie walały się różnego rodzaju świecidełka, dziwaczna biżuteria i całe koszyczki przeróżnych kamieni. Karty tarota i inne talie. Szkatułki drewniane pełne bransoletek, łańcuszków, kolczyków. Łapacze snów. Na ścianach wisiały muszelki i afrykańskie badziewie, które z pewnością musiało mieć jakieś znaczenie, ale nie dla mnie. Telewizor na półce z książkami, łóżko i stolik z błyszczącym, kolorowym obrusem. Pełno szmatławców, ustawionych w długich szeregach, gdzie tylko było to możliwe.

– Boże, czy ty jesteś czarownicą?

– Nie, ale ciekawi mnie ezoteryka i takie tam sprawy.

Podeszłam do kart. Wyciągnęłam rękę i już chciałam je wziąć, kiedy usłyszałam cichy krzyk.

– Nie bierz! To moje karty!

– Przecież ci ich nie zjem!

– Wiem. Jakoś nigdy karty nie należały do twoich

ulubionych dań.

Roześmiałam się. Ona też. Wymieniłyśmy porozumiewawcze spojrzenia.

– Karty mogę trzymać w rękach tylko ja, ponieważ są to moje karty. Gdyby chodziło o inne, nie byłoby problemu.

– Niech będzie – westchnęłam i usiadłam na łóżku. – Mogę poprosić o trochę wody?

Woda od razu pojawiła się na stole. Choć moja przyjaciółka była przy tuszy, poruszała się zwinnie i szybko.

– Jak masz właściwie na imię?

– Wanda.

Napiłam się wody i odetchnęłam. Głowa jednak nadal mi pulsowała i nie wiedziałam, co z tym zrobić. Tymczasem Wanda podeszła do telewizora i wyciągnęła z niego koniak. Nalała do dwóch kieliszków i usiadła obok mnie na łóżku, które skrzypnęło ostrzegawczo pod nadmiernym ciężarem.

– Wypij. Dobrze ci zrobi.

Stuknęłyśmy się i wypiliśmy na raz. Zakaszlałam.

– Wiem – powiedziała Wanda. – Nie jest to koniak takiego gatunku, do jakiego jesteś przyzwyczajona, ale i tak pomoże.

– Smakuje mi. I naprawdę działa. – Obdarzyłam ją pierwszym uśmiechem, za który ona odwdzieczyła się tym samym.

– Długo cię tu nie było.

– Naprawdę? Przecież mówiłaś, że jesteśmy przyjaciółkami.

– Tak, ale od kiedy wyszłaś za Kiełbasę, nie miałaś dla mnie zbyt wiele czasu.

– Naprawdę? Aż tak bardzo go kochałam?

– Szalenie. Ale ja wiedziałam, że prędzej czy później się spotkamy.

– Karty ci to powiedziały? – Wskazałam głową leżącą obok talii.

– Tak. Zresztą od początku cię przed nim przestrzegałam. Wiedziałam, że to facet nieodpowiedni dla ciebie.

– To znaczy?

– Że pewnego dnia będzie chciał cię zabić!

ROZDZIAŁ 5

Nocna rozmowa



Zakrztusiłam się, mimo że nic w tym momencie nie
piłam.

– Zabi-bić?

– Zabić. Nie zabibić – poprawiła mnie. – Tak. Czemu
jesteś taka zdziwiona? Przecież jeszcze przed ślubem ci to
mówiłam, ale ty nie słuchałaś.

Przez chwilę zastanawiałam się nad tym, co powiedziała.

– Aha. Więc o to chodzi. Pokłóciłyśmy się?

– Ja się nie kłóciłam. To ty zachowywałaś się
histerycznie. Oskarżałaś mnie, że ci zazdrozczę i że chcę,
byś całe życie była nieszczęśliwa. Krzyczałaś, że go kochasz,
on kocha ciebie i że cokolwiek się stanie, nic wam nie
przeszkodzi w byciu razem.

Poczułam się dziwnie.

– Przepraszam.

– Nie musisz. Przecież wiedziałam, że znowu się

zejdziemy.

– Dlaczego, według ciebie, chciał mnie zabić?

– Nie: chciał, tylko: chce – znowu mnie poprawiła. –
Widocznie zbyt dużo widziałaś.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie. Ale o twoim kochanym mężu od lat mówi
cały Wodzisław. Wiedziałaś, że jest mafiosem?

Znowu się zakrztusiłam, tym razem jednak z wodą
w ustach. Kaszlałam przez dłuższą chwilę.

– Żartujesz? Nie wyszłabym za kogoś takiego!

– Nie? Obrączka na twoim palcu mówi co innego.

– No dobrze, załóżmy, że naprawdę jest mafiosem.
Co z tego? Może jest dobrym i kochającym mężem i...

– I dobrym mafiosem? Opanuj się, Marlina. Przecież nie
masz dziesięciu lat. Zresztą, czy kochający mąż próbowałby
uciszyć swoją żonę?

– Nie mamy dowodów.

– Nie? A co powiesz na to?

Wanda wyciągnęła spod stolika jakiegoś szmatławca
i podała mi go, otwierając wcześniej na odpowiedniej
stronie. Spojrzałam. Widniała na niej wielka fotografia
niezwykle przystojnego mężczyzny w czarnym garniturze
i przyciemnionych okularach.

– Jak zdejmie okulary, nie jest już taki ładny – szepnęła
Wanda.

Przez dobrze dopasowany garnitur można było dojrzeć
doskonale ukształtowane mięśnie. Musiał mieć ze dwa
metry wzrostu. Czarne buty błyszcząły jak opale, a okolona
ciemnymi włosami głowa doskonale współgrała z mocno

zarysowanym nosem i pełnymi ustami. Kapelusz i cygaro były chyba nieodłączną częścią jego garderoby.

– To... to naprawdę mój mąż? – wyjąkałam.

Czułam, że mogłabym się w tym mężczyźnie zakochać nawet teraz.

– Niestety tak.

– Przystojny...

– To tylko opakowanie. Środek Niestety jest gorzki i śmierdzący.

Teraz skierowałam wzrok na stojącą obok niego kobietę, ubraną w czerń, w ciemnym kapeluszu z ogromnym rondem i woalką zasłaniającą twarz. Miała niesamowicie długie nogi, takie żyrafie, szczupłą talię, piersi *à la* Pamela Anderson, błyszczącą kolbę na szyi, a na palcu jednej ręki pierścionek z olbrzymim diamentem. Dwie rzeczy najbardziej zwróciły moją uwagę: jej wymalowane na czerwono usta, mówiące, że kobieta ta łaknie krwi, a przynajmniej takie odniosłam wrażenie, i ręka mojego męża, obmacująca jej idealnie zarysowany tyłek.

– Obłapuje ją! – powiedziała zdziwiona. – Kim ona jest?

– Jego siostrą.

– Naprawdę?

Wanda wybuchnęła śmiechem.

– Żartuję. Mogłabyś wreszcie stać się sobą, bo taka naiwna to mi się jednak nie podobasz. Wydaje mi się, że w tym szpitalu coś ci zrobili z głową. Wymazali ci dysk. Pranie mózgu. No wiesz, coś w tym stylu.

Nagle coś mi zaświtało w głowie.

– Ta kobieta... Wydaje mi się, że ją znam.

– Tak?

– Tak – pokiwałam głową. – Już gdzieś ją widziałam.

Tylko gdzie?

– Może w twoim domu?

– Myślisz, że kochanka mojego męża odwiedzałaby mnie w domu?

– Ciebie nie. Ale jego może tak.

– Coś tu nie gra...

– Już od dłuższego czasu.

– Na nieszczęście nic nie pamiętam i jeżeli ten stan nieświadomości będzie trwał, nie będziemy w stanie nic zrobić.

Wanda się zaśmiała.

– A co byś chciała zrobić, supermenko? Rozwieść się z nim? On się z tobą nie rozwiedzie, on cię po prostu zabije.

Wzdrygnęłam się. Popatrzyłam na nią i przebiegł mnie dreszcz na widok jej głowy.

– Masz przetłuszczone włosy. – Musiałam jej to powiedzieć.

– Wiem, ale co mam z tym zrobić? Taka się już urodziłam.

Spojrzałam na nią z ukosa.

– Z przetłuszczonymi włosami?

– Nie, ale z tendencją do przetłuszczania. Myję głowę codziennie, a i tak na niewiele się to zdaje.

– To myj parę razy, a nie raz.

– Staram się.

– Jakoś ci nie wychodzi.
– Nie bądź uszczypliwa. Zobaczyłaś męża z jakąś siksą i wyżywasz się za to na mnie.

– Wcale nie!

– Wcale tak!

– Nie mówi się „wcale tak”.

– Mówi czy nie, ja tak właśnie chcę mówić!

W pokoju zaległa cisza.

– Nie powinnaś krzyczeć – upomniała mnie.

– To mnie nie prowokuj!

– Sama się prowokujesz. To twój mąż, a nie mój cię zdradza.

– Więc po co mi to pokazałaś? – Walnęłam gazetą w stół.

– Żebyś wiedziała!

– Już wiem, i co z tego wynika?

– Że ma kogoś na twoje miejsce, dlatego chce się ciebie pozbyć. Ale dowodów może być, i pewnie jest, więcej.

Nagle ktoś zaczął uderzać w ścianę.

– Twoja matka! – syknęła Wanda, zrywając się z łóżka. – Mówiłam ci, że trzeba się zachowywać cicho. Ja z nią kiedyś zwariuję! Człowiek nie może nawet we własnym mieszkaniu podnieść głosu.

Popatrzyłam na ścianę, potem na Wandę.

– Może – powiedziałam i przechyliłam się w stronę ściany, uderzając w nią pięścią.

– Zwariowałaś? – Wanda próbowała mnie odciągnąć.

– Nie. Wali w ścianę, to my też!

– Zadzwoń po policję!

– Niech dzwoni!

– Ale policja nie może tu przyjechać!

– Niby dlaczego? To się matka zdziwi, kiedy mnie tu zobaczy.

– Zobaczą, że u mnie jesteś, i będzie po wszystkim. Twój mąż cię znajdzie raz-dwa.

– Przecież to policja! Nie mafia.

– Jesteś pewna?

Zamarłam. Nagle dotarło do mnie, co chciała mi powiedzieć.

– Uważasz, że...

Pokiwała głową.

– O w mordę...

Siedziałam przez parę sekund jak martwa. Cała ta sytuacja przestawała mi się podobać.

– To co teraz zrobimy?

– Pójdziemy spać?

– Nie. Mam na myśli, co zrobimy z tą sytuacją.

– Uzgodnijmy parę rzeczy, a potem położmy się.

– Dobrze.

– A więc: straciłaś pamięć, twój mąż ma kochankę i pokazuje się z nią publicznie.

– Tak, ale to nadal nie świadczy o tym, że chce mnie zabić.

– Wyciągnęłam cię ze szpitala – kontynuowała.

– Tak, ale...

Nagle wróciłam myślami do dwóch kobiet.

– Wydaje mi się, że masz rację. Dwie kobiety, które powinny żyć, nagle umarły. Pewnie ja miałam być następna.

– Tak, ale to jeszcze nie oznacza, że maczał w tym palce twój mężulek. Sprawa może być, że tak powiem, trochę bardziej zagmatwana.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Ja też nie, ale coś się dzieje i obie doskonale zdajemy sobie z tego sprawę.

– Więc co zrobimy?

– Prześpimy się, a rano podejmiemy dalsze kroki.

Wstałam i nerwowo zaczęłam chodzić po pokoju. Zatrzymałam się przy oknie i wyjrzałam na ulicę.

– Wanda! Zobacz!

Wskazałam palcem na stojące pod blokiem czarne auto.

– Kiedy tu przyszłyśmy, jeszcze tam nie stało – powiedziała.

– Jesteś pewna?

– Tak. Czyli już wiedzą, że uciekłaś.

Zadrzałam.

– Skąd mogli wiedzieć, że jestem akurat tutaj?

– Mieszka tu twoja matka, co w tym dziwnego?

– Racja, nie pomyślałam.

– Miejmy nadzieję, że do rana dadzą sobie spokój. Coś mi się wydaje, że to miejsce nie jest bezpieczne. Jeśli przeżyjemy do rana – dodała – musimy stąd zwiewać.

– Dokąd?

– Nie wiem – wzruszyła ramionami. – Będziemy musiały coś wymyślić.

Nie zabrzmiało to dobrze. Z myśleniem u mnie nie było w ostatnim dniach najlepiej. Ale okej, niech będzie. Na dziś starczy rewelacji, pora spać. Rano wszystko będzie

wyglądało inaczej. Lepiej, poprawiłam się natychmiast.
Tak, jutro wszystko będzie lepsze...

ROZDZIAŁ 6

Wizyta



Obawiałam się, że nie zmruję oka i całą noc spędzę, zastanawiając się nad sytuacją, w jakiej się aktualnie znalazłam, ale gdy tylko przyłożyłam głowę do poduszki, zasnęłam kamiennym snem.

Śnił mi się szpital. Widziałam Pinokia zbliżającego się do mnie ze strzykawką w ręku, uśmiechającego się i szczerzącego zęby. „Nie będzie bolało”, mówił do mnie. „Niczego nie poczujesz”. Próbowałam uciekać, niestety, okazało się, że leżę przywiązana do łóżka szerokimi pasami, a usta mam zakneblowane. Demoniczna twarz zbliżyła się na tyle, że bez problemu mogłam dojrzeć przekrwione białka oczu. Igła była tuż przy mojej ręce. W oddali zamajaczył jakiś cień... mój mąż, a w każdym razie wydawało mi się, że to był on. Stał i patrzył, paląc papierosa i ponaglając mordercę. „Skończ to szybko, nie mamy czasu”. Ogarnęła mnie panika, serce biło jak

oszalała, lecz w tym momencie igła przebiła się przez skórę i cała zawartość strzykawki znalazła się w moim krwiobiegu. „Dobranoc”, powiedział doktor. „Śpij spokojnie”. Jego nos wydłużył się do niebotycznych rozmiarów. Zza jego pleców wyłonił się mój mąż i popatrzył na mnie. „Nie powinnaś była się do tego mieszać. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Mam nadzieję, że ci się tam spodoba”. Rzucił we mnie niedopaloną papierosem.

Nagle otworzyłam oczy, cała złana potem. Ciemność wokół sprawiła, że nie wiedziałam, gdzie jestem. Tuż obok mnie coś nieprzyjemnie chrapało, jak stary traktor. Pot spływał mi po skroni i nawet przez to chrapanie usłyszałam, jak jego kropla upada na poduszkę, całkiem zresztą przemoczoną.

Z przedpokoju dobiegł mnie odgłos drapania.

Szturchnęłam Wandę łokciem, ale nic nie pomogło. Chrapała nadal. Wyciągnęłam rękę i cofnęłam ją odruchowo, dotknąwszy tłustych włosów. Mój jęk również jej nie obudził, więc spięłam się i wbiłam jej łokieć w brzuch jeszcze raz, mocniej. Cielsko chrząknęło, mlasnęło i ucichło.

– Co robisz? Masz za mało miejsca?

Nie mogłam się opanować, by jej tego nie powiedzieć.

– Powinnaś umyć włosy!

– Po to mnie budzisz? Zwariowałaś?

– Chrapiesz! – wysyczałam, zła na siebie i na nią, i na całą tę sytuację. Jak dorosła osoba mogła mieszkać w tak małym mieszkaniu? To przecież chore.

– Nie chrapię – oburzyła się. – Nigdy.
– Teraz chrapałaś. Wydawałaś dźwięki jak umierająca samica pawiana.

– Jesteś bezczelna!

– Nie. Tylko mówię prawdę.

– Wypchaj się ze swoimi prawdami!

– Miałam koszmar.

– Kogo to teraz obchodzi? Chcę spać, więc zamknij jadaczkę jeszcze na parę godzin.

– Chcieli mnie zabić!

– Gdzie?

– W tym śnie przecież!

– Ty to jesteś jednak głupia, Marlena. W szpitalu naprawdę coś się z tobą stało. Zaczynam się zastanawiać, czy oni czasem nie wzięli cię tam z powodu jakichś poważnych objawów chorobowych rozwijających się w twoim rozchwianym umyśle.

Nagle znowu coś zaszurało od strony klatki schodowej.

– Jezus Maria – jęknęłam. – Słyszałaś?

– Co?

– Ktoś się tu dobija!

Obie wsłuchałyśmy się w ciszę i rzeczywiście, odgłos dał się słyszeć na nowo. Delikatne szuranie, jakby ktoś szukał czegoś na drzwiach, może klamki.

– Ktoś tam jest! – szepnęła Wanda, przesuwając się w moją stronę, na co jej łóżko ostrzegawczo zaskrzypiało.

– Mogłabyś się nie ruszać? Wystraszyłaś mnie! – To była prawda, o mało nie dostałam apopleksji. Serce waliło mi jak młotem.

Odczekałyśmy chwilę, starając się nie oddychać, co nie za bardzo nam się udawało.

– Czy ja czasem nie mam powikłań sercowych? – zapytałam.

– Skąd mam wiedzieć? I niby po co pytasz?

– Wydaje mi się, że zaraz dostanę zawału.

– Nawet się nie waż! Jeśli odwalisz kitę, wynosisz się z tego domu!

Zamilkłam. Jak dostanę zawału serca, pomyślałam, nie będzie z tym problemów.

Nagle zaskrzypiały drzwi. Od strony ulicy do pokoju wpadała lekka poświata od stojącej na chodniku latarni. Wpatrywałyśmy się jak zaczarowane w klamkę, która zaczęła opadać. Gdybyśmy jej przynajmniej nie widziały! Dlaczego to mieszkanie jest takie małe?, z rosnącą paniką pytałam sama siebie po raz nie wiadomo który. I dlaczego wszystko tu skrzypi?

– Nie wytrzymam – szepnęłam resztką zduszonego głosu, jaki udało mi się wydobyć. – Zabiją nas. Dowiedzieli się, że tu jestem. To koniec.

– Zamknij się! – Wyglądało na to, że Wanda odzyskała zimną krew. – Musimy sprawdzić, kto to jest.

– Nigdzie nie idę! To twoje mieszkanie!

– I co z tego? Sama mogę sobie nie poradzić.

– Z pielęgniarką jakoś ci się udało – zauważyłam.

– Bo była jedna. A co, jeśli ich jest więcej?

– Jestem chora – jęknęłam, nakrywając się kołdrą po nos.

Wanda wyszła z łóżka, co wywołało kolejne rozpaczliwe skrzypienie, i stanęła nade mną.

- Wyłaż, bo ci przywalę!
- Nie odważysz się!
- Chcesz się przekonać?

Zamarłyśmy, bo klamka kolejny raz zaczęła się poruszać. Ktoś po cichu manipulował przy zamku. Odpłynęła mi cała krew z twarzy i już za życia przemieniłam się w żywego trupa. Serce przestało mi bić, nie wyczuwałam pulsu.

- Wyłaż!
- Masz broń?
- Zwariowałaś? Po co?
- Żeby się obronić przed złodziejami!
- Nie zabijam ludzi, jakbyś nie wiedziała.
- Wolisz dać sobie uciąć głowę?
- Może nie będzie tak źle. Może nas tylko zgwałcą i sobie pójdą?

- Niech ciebie gwałcą! Ja jestem chora! O! - Dla efektu postukałam się parę razy palcem w głowę.

- Wynocha z tego łóżka! - Wanda złapała mnie za rękę, ściągnęła kołdrę i rzuciła ją na podłogę.

- Puszczaj!
- Idziemy!
- Ja zostaję!

- Pożałujesz tego! - Pogroziła mi palcem wskazującym. - Już niczego więcej się ode mnie nie dowiesz! Nie powiem ci nawet, gdzie mieszka ta jego siksa, którą chciałaś jeszcze niedawno załatwić.

Za drzwiami nagle coś łupnęło. Obie podskoczyłyśmy niemalże do sufitu i zderzyłyśmy się głowami. Miałam

mroczki przed oczami.

– Ty mnie kiedyś zabijesz – wyjąkałam, łapiąc się za głowę i opierając o ścianę.

– Nie musiałaś tak skakać! Wystraszyłaś mnie!

– Ja?

– Ty!

– Mogłabyś wreszcie... – krzyknęłam, bo już nie wytrzymałam.

– Nie mogłabym!!! – wrzasnęła.

Coś we mnie przeskoczyło. Zalała mnie krew. Dostałam napadu furii.

– To ja ci teraz pokażę, jak potrafię skakać. Patrz!

I zrobiłam dwa kroki w stronę drzwi. Chwyciłam za klamkę, otworzyłam drzwi i nie zdążyłam się odsunąć, kiedy coś wielkiego i ciężkiego wpadło do środka. Obie krzyknęłyśmy przerażone. Echo poniosło się głośno po klatce schodowej. Natychmiast też od strony mieszkania mojej niby-matki rozległ się odgłos grzebania przy zamku.

– Wanda? – wybełkotała kupa czegoś leżąca pod naszymi nogami.

– Zamykaj! – Wanda wyskoczyła z łóżka i na siłę wtaszczyła naszego prześladowcę, czy kim on tam właściwie był, do środka, po czym nogą kopnęła w drzwi. Trzasnęły z hukiem.

– Podłóść! – odezwał się głos mamy na klatce. – O tej porze! Spać nie daje ludziom! Po policję zadzwonię!

– Powiem jej, że to ja – wyszeptałam.

– Zwariowałaś? Przecież nie jesteście w dobrych

stosunkach.

– Niby czemu?

– Bo uważa, że powinnaś się trzymać Kiełbasy za kiełbasę...

Nagle zamilkła i popatrzyła na mnie. Obie zachichotałyśmy w ciemnościach. Kupa szmat pod nami znowu zaczęła się gramolić.

– Boże, kto to jest?

– Wandzia? Masz wódkę? – odezwał się męski głos.

– Ty paszkwilu jeden! – Wanda złapała go z całych sił i zaczęła nim potrząsać tak, że myślałam, że go zabije. Nie zamierzałam być świadkiem morderstwa, więc zareagowałam.

– Zostaw go! Oszalałaś? Przecież jest...

– Pijany! Tak! Jak zwykle. Szmaciarz jeden!

– Kto to?

– Mój chłopak.

– Co? – Wytrzeszczyłam oczy.

– Co „co”? Ja też mogę mieć faceta, nie? Nie tylko ty.

– Nie mówię, że nie. Po prostu jestem zdziwiona i...

– Marlenka? Kochana moja, powiedz jej, żeby mi dała troszeczkę tej wódki, co trzyma w zamrażalniku!

Zrobiłam krok do tyłu.

– Skąd on mnie zna?

Wanda zaczęła się śmiać. Pijany facet przyczołgał się do mnie i zaczął mnie ciągnąć za nogę.

– Puszczaj, łachudro jedna! – Z całej siły go odtrąciłam. – Zabieraj łapy, bo cię kopnę.

Wanda nadal się śmiała jak głupi do sera.

– Co się tak śmiejesz? Zwariowałaś?

– Nie... po prostu, ha, ha, tak się złożyło, zapomniałam, że ty... no wiesz... że ty... twoja głowa, ha, ha...

– Marlenka, zlituj się. Przegadaj tej babie do rozumu. Pić mi się chce.

Znowu się do mnie przybliżył i zaczął ciągnąć za nogę. Kopnęłam go z całej siły, jak ostrzegałam wcześniej. Zawył z bólu.

– Puszczaj, wszarzu! Wanda, opanuj się wreszcie! – Powoli robiłam się naprawdę wkurzona. – Co ten bezdomny tu robi? Śmierdzi wódką! Trzeba się go pozbyć, przecież tak spać nie będziemy!

– Nie... nie będziemy, ha, ha – zwijała się ze śmiechu. – On, po prostu, no wiesz... Jest...

– Kim? – zapytałam ostro.

– Twoim bratem przecież, Marlenka. Pamięć straciłaś czy co?

Zakręciło mi się w głowie.

– Mam brata alkoholika i bezdomnego wszarza? – wyjąkałam, prawdopodobnie blada jak ściana, o którą znowu się opierałam. – W coś takiego na pewno nie uwierzę. Robisz mnie w balona? Naśmiewasz się ze mnie? Zaraz kopnę i ciebie i zobaczymy, kto się będzie śmiał. Nie wiem, w jaką grę gracie, ale żartów sobie ze mnie stroić nie będziecie!

– Jakiego tam zaraz alkoholika. Po prostu czasem lubi więcej wypić. – Wanda wreszcie zdołała się jakoś opanować.

– Nie znoszę alkoholików! – wzdrygnęłam się. – Nie

cierpię!

– Skąd wiesz, przecież nic nie pamiętasz? – zapytała Wanda.

– Po prostu czuję, że tak jest.

– W każdym razie to twój brat.

– Może dla ciebie, bo dla mnie nie.

– Zmieniłaś się. Kiedyś taka nie byłaś – powiedział mężczyzna.

– Niby jaka?

– Okrutna.

– Okrutny to jesteś ty. Łazisz po nocach, straszysz ludzi i masz jeszcze plamę na spodniach – dodałam kąśliwie, bo właśnie ją zauważyłam.

– Wylałem wódkę.

– A ja mam w to uwierzyć. – Pokiwałam głową.

– Dobra. Po co tu przyszedłeś? Nie mogłeś pójść spać do matki? – wtrąciła się Wanda.

– Kiedy ona nie ma w domu alkoholu!

– A ja niby mam? – wrzasnęła i zdzieliła go przez głowę. Stałam i patrzyłam, jak sytuacja nagle odwraca się o sto osiemdziesiąt stopni.

– Zawsze masz tam coś w zapasie, przecież wiem.

– Ale może dla siebie, nie pomyślałeś o tym, draniu?

– Dasz mi?

– Zboczony jesteś, przecież przed tobą stoi twoja siostra. – Teraz Wanda go kopnęła, aż jęknął.

– Miałem na myśli wódkę – skrzywił się.

– Świnia! – Kopnęła go jeszcze raz, a potem poszła do kuchni i wróciła z butelką. – Ale zapłacisz mi za nią!

- Wiedziałem, że masz.
- Ostatni raz! A teraz idź do domu, matka da ci wyćwik.
- Nie mogę zostać? – jęknął błagalnie.
- Nie, bo nie ma gdzie spać.
- Na podłodze? – zapytał z nadzieją.
- Nie i basta. Poszedł! – Wanda otworzyła drzwi i wskazała palcem kierunek.
- Ale kochasz mnie? – dopytywał się, wychodząc na słaniających się nogach.
- Nie!
- Wypchnęła go. Zatrzasnęła drzwi i zamknęła na klucz.
- Twoja rodzina mnie kiedyś doprowadzi do szału. Twoja matka nie daje mi spokoju, niemalże codziennie o coś się czepia. On nie jest lepszy. A teraz jeszcze ty. Za jakie grzechy zostałam tak pokarana?
- Mnie w to nie mieszaj! – zaprotestowałam. – Ja się tu nie wpraszałam.
- Dobrze sobie. Wolałabyś skończyć na cmentarzu?
- Nie! Dałabym sobie radę.
- Z trucizną w żyłach, już to widzę – powiedziała kpiąco.
- Potrafię o siebie zadbać, gdybyś chciała wiedzieć!
- Dobrze, ale opowiesz mi o tym jutro. Teraz idziemy spać.
- Ułożyłyśmy się w łóżku. Przymknęłam oczy.
- Psie jeden! – rozległ się nagle głos mojej matki na klatce schodowej. – Pijany bezbożniku! Do domu, diable jeden!
- Będzie miał za swoje – uśmiechnęła się Wanda.
- Chyba mu nic nie zrobi?

– Nie. Ale jutro będzie chodził jak w zegarku. Już ona ma swoje sposoby.

– Co mu zrobi? – Pobladłam. Jeśli to mój brat, to jednak wolałabym, żeby nikt go nie zabijał.

– Pranie mózgu. W tym twoja matka jest najlepsza. To akurat mogłaś już sobie zapamiętać. To bardzo ważny rozdział twojego życia.

Położyłyśmy się do łóżka. Już po chwili Wanda znowu chrapała, a ja starałam się zasnąć. W końcu się udało.

ROZDZIAŁ 7

Niepokojące wiadomości



Rankiem obie byłyśmy rześkie i całkiem wyspane. Wanda umyła sobie włosy, żeby mnie nie drażniły, a ja w tym czasie zaparzyłam kawę i przygotowałam parę kanapek z pomidorem i cebulą.

Usiadłam na krześle w kuchni. Zza ściany doszedł mnie krzyk mojej matki:

– Nie będziesz się więcej zadawał z tą kobietą! Dobrze widziałam, skąd wczoraj wychodziłeś, mnie nie oszukasz!

Wsypałam do szklanki łyżeczkę cukru i nalałam mleka. Zamieszałam.

– Jesteś taki sam jak Marlina! Na psy zejdziesz, ale czemu tu się dziwić? Wstyd mi jak ona przyniesiesz! Klecha do dzisiaj omija mnie łukiem na mieście!

Drgnęłam. Co ona z tym klechą? Już mi o nim wspominała w szpitalu.

Weszła Wanda.

– Ciii... – Skinęłam w stronę ściany.

– O co chodzi? – zapytała, ale naraz dotarło do niej, że podsłuchuję. – A, zaczęło się? – Podeszła szybko do starego kredensu i wyciągnęła dwa garnuszki. – Masz. Będzie lepiej słyhać.

Zbliżyła się do ściany i przyłożyła do niej kubek. Widziałam po otartej farbie, że precedens ten musiał powtarzać się już wiele razy. Podeszłam i poszłam w jej ślady. Rzeczywiście od razu zaczęłam słyszeć wszystko, jakbym stała między nimi.

– Ty pijaku jeden, ty! Co ja mam z tobą za życie? Ty mnie zabijesz!

– Nie przesadzaj. – To była pierwsza odpowiedź, jaką usłyszałam z ust mojego brata.

– Jeżeli nadal będziesz mi wstyd przynosił i się upijał, to będziesz się musiał wyprowadzić, bo ja nie zamierzam na to patrzeć.

– Pije od lat – szepnęła Wanda, mrugając porozumiewawczo okiem. – I zawsze jest ta sama śpiewka. Nie wyrzuci go.

– Polecisz z domu tak samo jak Marlina!

Drgnęłam. Jak ja? O co jej chodziło? Spojrzałam na Wandę, ta jednak machnęła ręką na znak, że powie mi potem.

– Marlina sama odeszła! – zareagował brat.

– Co ty tam wiesz? A nawet jeśli, to co? Zobacz, jak skończyła! Mieszkanie na cmentarzu sobie zrobiła!

– Gdybyś ją wzięła do siebie, to by na cmentarzu nie spała!

– Przecież nie mogłam jej tu ściągnąć! Ten jej mafioso by nas wszystkich pozabijał!

– Ciebie z pewnością nie! Właziłaś mu do du...

– Nie waż się!

Nastąpiła chwila ciszy.

Postanowiłam odejść od ściany, bo to podsłuchiwanie przestało mi się podobać. Człowiek usłyszy na swój temat dziwne rzeczy, a potem nie ma spokoju.

Wanda dosiadła się do stołu i zaczęła pałaszować kanapki.

– O co chodziło, jak mówiła, że wyleciałam z domu?

– O nic. Ona lubi używać wielkich słów, rozumiesz. Aktorka. Całe życie taka była.

– No, ale mówiła...

– Że wyleciałaś. To stara sprawa. Chodziło jej o to, że sama się wyprowadziłaś, jak miałaś osiemnaście lat. Dokładnie w dniu urodzin. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że jako matka nie dała rady, więc musiała trochę przekręcić fakty. Lepiej dla niej myśleć, że cię wyrzuciła.

– Dobrze, ale co z tym cmentarzem?

– Nie wiem – wzruszyła ramionami. – Pewnego dnia po prostu zniknęłaś i nikt nie wiedział, gdzie jesteś. Potem niby jakaś stara dewotka zobaczyła cię na cmentarzu komunalnym, jak wyłazisz z grobu. O mało nie dostała przez ciebie zawału serca. Odwiozło ją pogotowie, przybył ksiądz i zrobiła się afera. I jeszcze telewizja akurat była na miejscu, bo wandale poniszczyli pomniki, robiąc szkodę na ileś tam tysięcy. Wyobraź sobie, że niektóre groby, te,

co nie miały nałożonych płyt, nawet rozkopali! Ziemia wałała się obok, a oni pozostawili w pobliżu butelki po piwie i, na patyku wbitym w ziemię, kartkę z napisem: „Jestem u Zosi w odwiedzinach, trzy groby dalej!”. Rozumiesz? Cały Wodzisław o tobie mówił.

– No dobrze, ale co ja robiłam w tym grobie? Naprawdę tam mieszkałam?

– Skąd mogę wiedzieć? Tak to wyglądało.

– Zwariowałam?

Wanda pokręciła przecząco głową i napiła się kawy.

– Według mnie po prostu się ukrywałaś.

– Przed policją?

Popatrzyła na mnie jak na wariatkę.

– Przed mężem przecież!

Zamyśliłam się.

– To by nawet miało sens.

* * *

Po śniadaniu przeniosłyśmy się do pokoju i Wanda włączyła telewizor. Akurat trafiła na wiadomości.

– ...zniknęła wczoraj ze szpitala.

– Patrz, mówią o tobie. – Dostałam szturchańca w bok.

– Moja żona znajduje się na skraju wyczerpania nerwowego – mówił przystojny mężczyzna, jak od razu zrozumiałam, mój mąż. – Obawiam się, że może być niebezpieczna dla otoczenia. Ostatnimi czasy borykała się z problemami psychicznymi, czego nie chcieliśmy rozpowszechniać publicznie, jednak w tej sytuacji nie widzę powodu do milczenia.

Patrzyłam rozszerzonymi z zaskoczenia oczami i nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę.

– Marlena Kiełbasa, która od lat na rynkach całego kraju i za granicą znana jest jako kontrowersyjna potentatka wielkiej fortuny, zbitej na usługach pogrzebowych, niedawno została zauważona na cmentarzu, w jednym z grobów. Okoliczności tego zdarzenia dotąd zostały niewyjaśnione. Mieszkańcy Wodzisławia Śląskiego, skąd pochodzi kobieta, są zniesmaczeni i boją się o groby swoich najbliższych.

Kamera przeniosła się teraz na osoby stojące nieopodal.

– Jak mogła coś takiego zrobić? Przecież to czysta profanacja! Nie wyobrażam sobie, aby coś takiego działo się w miejscu wiecznego spoczynku mojego męża – wypowiadała się jedna z oburzonych mieszkanki miasta.

– Powinno się ją zamknąć w zakładzie! – krzyknęła kolejna z zebranych przed kamerą, grożąc pięścią. – Musiała być w zмовie z tymi wandalami!

Reporterka przeszła do stojącego obok mężczyzny.

– Panie doktorze, czy może nam pan powiedzieć coś o pacjentce?

– Pani Marlena jest osobą cierpiącą na nerwicę. Od lat jest pod moją opieką i zażywa silne leki uspokajające. Cierpi na depresję i miewa często koszmary senne, co ma wpływ na jej życie osobiste. Ma również skłonności samobójcze i może być z całą pewnością niebezpieczna dla otoczenia. Każdego, kto będzie miał podejrzenia, że w jego okolicy przebywa podobna do niej osoba, prosimy o natychmiastowy kontakt z policją.

Kobieta wróciła do faceta w kapeluszu. Przyjrzałam się uważniej swojemu mężowi. Musiał mieć ze dwa metry wzrostu i należał do tych przystojnych, pewnych siebie mężczyzn. Choć widziałam jego zdjęcia w czasopiśmie, teraz wydawał się jeszcze wyższy.

– Jak długo pańska żona boryka się z tymi problemami? Czy nie starał się pan jej pomóc?

– Oczywiście, że się starałem, ale Marlenka nie pozwalała sobie pomóc. Należy do kobiet ambitnych i niezależnych, więc ciężko znosi swoją chorobę. Próbowałem ją przekonać do leczenia szpitalnego, ale odmawiała. Jej stan z dnia na dzień się pogarszał, więc wreszcie postawiłem warunek: albo zacznie się leczyć, albo się rozwiedziemy. Następnego dnia, jak wiadomo, zniknęła.

– Czy chce pan coś powiedzieć swojej żonie, na wypadek gdyby teraz oglądała wiadomości?

– Tak. – Zwrócił się do kamery: – Marlenko, kochanie, wróć do mnie. Kocham cię i zapewniam, że zaakceptuję cię taką, jaka jesteś. Wspólnie damy sobie radę. Kocham cię.

– Kłamca! – krzyknęła Wanda.

– Przecież mówi, że mnie kocha! – powiedziałam urażona.

– Trele-morele. Kocha? To zobacz, kto stoi za nim.

Przyjrzałam się i dopiero teraz zauważyłam kobietę w ciemnym kapeluszu z woalką na twarzy.

– Jest ubrana jak na pogrzeb – zauważyła Wanda. – Twój pogrzeb, bo wie, że za chwilę, tak czy siak, będzie po tobie.

– A te słowa o miłości? – pisałam.

– Opanuj się!

Skuliłam się w sobie.

– Masz tu jakiś alkohol?

– Idziesz w ślady swojego brata?

– Nie, po prostu... potrzebuję się napić.

Wandzie nie trzeba było mówić dwa razy. Wstała, poszła do kuchni i wróciła z dwoma kieliszkami i butelką doskonale zmrożonej wódki.

– Nie jestem alkoholiczką – zastrzegła.

– Przecież nic takiego nie powiedziałam.

– Ja tak na wszelki wypadek, gdybyś chciała sobie coś pomyśleć.

– Nalej!

Wypiłyśmy i od razu zrobiło mi się lepiej. Nawet lepiej niż lepiej.

– Polej jeszcze! Jezu, jak dobrze robi mi ta wódka. Czemu jej wcześniej nie przyniosłaś? Zresztą, po co nas faszerują tabletkami, kiedy alkohol ma takie nieocenione właściwości?

– Nie wiem. A jesteś pewna, że możesz pić?

– Niby czemu nie?

– Ten doktor mówił, że bierzesz silne leki i...

Dostała z łokcia.

– Nie jestem wariatką! Nie biorę żadnych leków!

– Skąd możesz wiedzieć? Pamiętaj, że nic nie pamiętasz...

– Nie musisz mi tego ciągle przypominać!

– Nie przypominam, tylko...

– Dawaj tu tę wódkę, cholera jasna! – Wyrwałam jej butelkę z ręki i napiłam się z gwinta.

– To jest od dzisiaj mój lek. Najlepszy, na wszystko. A lekarstw nie biorę, wewnątrznie przecież bym czuła, że biorę, a ja nie czuję, więc nie biorę.

– Jakoś dużo tego „biorę” – powiedziała uszczypliwie.

– Daj spokój. – Zgromiłam ją wzrokiem. – Dobra, lepiej schowaj ten trunek, bo się jeszcze upijemy, a już mi się przyjemnie kręci w głowie.

– W porządku. Więc co teraz? Musimy ułożyć jakiś plan.

– Poczekamy, aż sprawa ucichnie? – zapytałam.

– Ja się do ciebie nowej nie przyzwyczaję – warknęła. – Przecież to ty jesteś działaczką i silną kobietą. Zobacz, co osiągnęłaś. Jaki sukces! Ja ledwo wiązę koniec z końcem. Zawsze chciałaś wyjaśniać każdą sytuację i byłaś do wszystkiego pierwsza. Teraz chcesz czekać? Niby na co? Na trumnę? Bo według mnie twój mężulek już dawno kazał ci ją przygotować i czeka na ciebie w domu.

– No dobra. – Położyłam uszy po sobie. – To w takim razie pomyślmy logicznie.

– Powiem ci, co ja myślę, a potem zobaczymy, okej?

– Okej.

– No więc tak: twój mąż ma jakieś konszachty z warszawską mafią.

– Skąd wiesz?

– Sama mi mówiłaś jakiś czas temu. Postaraj się nie przerywać, bo stracę wątek.

– Dobrze.

– Według mnie coś się tam u was w domu porobiło, a w każdym razie byłaś świadkiem czegoś, czego nie miałaś widzieć. Dlatego chce cię sprzątnąć.

– A może po prostu chce rozwodu?

– Ta chuda szkapa na pewno nie jest powodem do rozwodu, wierz mi, zbyt wiele się naoglądałam w życiu. Tam musi być coś więcej. Biorąc pod uwagę, jak całe życie byłaś wścibska i ciekawska, jak wsadzałaś nos w każdą...

– Wypraszam sobie! – zdenerwowałam się i aż podskoczyłam na łóżku.

– Byłaś taka! Tylko ja byłam twoją najlepszą przyjaciółką. Wszystkie inne od ciebie zwiały, bo miały cię dosyć.

– I tak nie uwierzę!

– Wierz sobie, w co chcesz, taka jest prawda. No więc tak: widziałaś coś, czego nie miałaś widzieć, prawdopodobnie chodzi o coś bardzo, ale to bardzo złego i dotyczy to twojego mężulka. On się boi, że zaczniesz śpiewać, dlatego najlepszym rozwiązaniem będzie ukręcenie ptaszkowi szyjki i...

– Jakiemu znowu ptaszkowi?

Przewróciła oczami.

– Tobie! Mówię o tobie, opanuj się, bo nie wytrzymam. Cokolwiek się zdarzyło, pamiętaj, że jesteś inteligentna, dobrze? Więc nie zachowuj się jak kretynka.

– Jestem inteligentna – przytaknęłam zgodnie.

– A może postarasz się przypomnieć sobie, co widziałaś? Hm?

– Staram się. To nie działa. Nic nie pamiętam.

– To źle. Bo jak nie odzyskasz pamięci, jesteśmy ugotowane.

– Dobrze, co dalej?

– Prawdopodobnie poszukuje cię policja jako niebezpieczną dla otoczenia.

Przeszły mnie dreszcze.

– Jeśli będą cię chcieli znaleźć, najpierw przyjdą do twojej matki. Potem do mnie. Więc nie jesteśmy tu bezpieczne. Powinnyśmy się stąd wynieść i znaleźć jakieś lepsze miejsce.

– Nie ma problemu.

– Jest. Kasa. Bo ja jestem biedna jak mysz kościelna, a ostatnie pieniądze przepiliśmy w wieczór, kiedy cię przywieźli do szpitala...

Spojrzałam na nią, marszcząc brwi.

– Co?

Wanda pobladła. Zmieszała się i spojrzała w inną stronę.

– To znaczy... Mogłam to inaczej ująć... – zamilkła.

– Piłyśmy razem wieczorem, kiedy zdarzyła się cała ta sytuacja z nożem?

– Już mi zaczynasz przypominać starą Marlenę. – Wyszczrzyła zęby w niepewnym uśmiechu.

– Byłyśmy wtedy razem?

– Tak – wyjąkała słabo i nagle zrobiła się czerwona na twarzy.

– Więc wiesz, co się stało? Kto mi to zrobił?

– Nie, nie... Nic nie wiem. Nikogo nie widziałam. Przysięgam. Poszłam do ubikacji, kiedy to się stało. Zanim wróciłam, już miałaś tam ten nóż i...

– Coś przede mną ukrywasz! – Dźgnęłam ją palcem.

– Nie! Nic nie ukrywam.

Zastanowiłam się, przyglądając jej się uważnie. Tak,

z pewnością miała jakąś tajemnicę, ale nie szkodzi, już ja to z niej wyciągnę. Jeśli nie teraz, to potem.

– Dobrze. Mąż mnie chce sprzątnąć. Sama nic nie pamiętam. Matka mnie nie znosi, a brat jest pijakiem. Moja najlepsza przyjaciółka coś przede mną ukrywa. Jakaś siksa czyha już na moje miejsce w małżeństwie. Poszukuje mnie policja, bo z jakiegoś powodu nawet doktor twierdzi, że jestem niebezpieczna dla otoczenia, ale ten pewnie jest opłacony przez Kiełbasę, więc nie powinniśmy się dziwić. Zapomniałaś o jednym. Przecież kiedy byłam w szpitalu, musieli wiedzieć, że tam jestem. Dlaczego mnie wtedy nie zabili? I jeszcze jedno: te dwie kobiety były właściwie zdrowe, dlaczego więc w momencie, kiedy spałam, one sobie spokojnie umierały? Coś tu nie gra. Intuicja podpowiada mi, że w tym szpitalu dzieją się podejrzane rzeczy.

– Odzyskujesz intuicję, to dobrze – westchnęła Wanda, a potem odpowiedziała na moje pytanie: – Może ma to związek z twoim mężem? Nie wiem. To co teraz? – dodała po chwili.

– Idziemy do sklepu. Kupimy jakieś ubrania, a potem stąd zwiewamy.

– Mam nadzieję, że zabrałaś swoją torebkę, jak uciekałyśmy ze szpitala?

– Mam ją tutaj.

– Dobrze. Zamówimy taksówkę i ruszamy: kierunek Kraków. Za godzinę będziemy spokojnie łąziły sobie po sklepach.

ROZDZIAŁ 8

Akcja: zakupy



Na szczęście zrobili nam autostradę do Krakowa, w przeciwnym razie dojechałybyśmy tam może za tydzień – westchnęłam.

- Nie przesadzaj. Autobus jechał jakieś cztery godziny.
- Barbarzyństwo.

Podróż minęła szybko i nim się spostrzegłyśmy, byłyśmy w Krakowie. Ruszyłyśmy w stronę Galerii Krakowskiej, aby jak najszybciej mieć zakupy za sobą.

Wtedy jednak pojawił się mały, niezapowiedziany problem.

– Chwileczkę, muszę kupić gazetę. – Moja przyjaciółka już ustawiała się w kolejce do kiosku. Po chwili dumnie trzymała w ręce najnowszy magazyn plotkarski.

– Najpierw ja. Potem ty – padł rozkaz. Zastanawiałam się, czy naprawdę chodzi jej o kolejność przeglądania czasopisma, i po chwili zrozumiałam, że tak. Wanda

utkwiła w nim swój nos.

Nagle wciągnęła głośno powietrze.

– Riccardo Tisci! Nie mogę uwierzyć, że to zrobił. Madonna padnie trupem, jak się dowie.

– Co się stało?

– Twarz! Boże, spójrz na jej twarz. Ta wielka dupa Kardashian tego nie przeżyje, możesz być pewna! Ten gej, bo na pewno jest gejem, jak wszyscy w świecie mody, chce zrobić coś okropnego.

– To znaczy? – zapytałam, w myślach zastanawiając się, kim jest Riccardo Tisci. I Wielka Dupa Kardashian?

– Naprawdę chodzi im o kampanię reklamową? A nie o jakiś film? Bo przecież do Halloween niedaleko, a nigdy nie wiadomo, co im w głowach siedzi.

Wanda nie przestawała komentować.

– Może to jakaś kampania perfum? Coś w stylu „Potwór z Loch Ness”? A może reklama nieudanych operacji plastycznych? Tak! Wtedy by to nawet pasowało, nie sądzisz? – zadała pytanie, nie czekając na odpowiedź.

Skręciliśmy w jedną z uliczek. Zaczęliśmy iść ukośnie w dół. Stare Miasto już ukazywało nam swoje oblicze, a Wanda chwyciła mnie za rękę.

– Uważaj na psie kupy! Wszędzie ich pełno.

Jakoś nie zauważyłam ani jednej, ale nie zakwestionowałam tego.

– W najlepszym wypadku, Marlenka, mówię ci, mogliby wybrać na twarz kampanii jej tyłek! Mam podejrzenia, że ta część jej ciała może wyglądać lepiej niż cały ten... ten orangutan na zdjęciu. Wydaje mi się, że Givenchy robiło

coś kiedyś z Audrey Hepburn, więc nie wiem, dlaczego teraz tak nisko upadli. Sięgnęli dna. Albo gorzej. To już właściwie piekło.

Parę kroków dalej...

– Jej twarz – mówiła nadal, wpatrując się w czasopismo – jest doskonałym przykładem, że i po ekshumacji człowiek może wyglądać dobrze. Audrey Hepburn przewraca się w grobie!

– Uważaj, gdzie idziesz – zwróciłam jej uwagę, odciągając ją na bok, ponieważ tylko milimetry dzieliły ją od czołowego zderzenia z latarnią.

Nie zwracała na mnie uwagi, pochłonięta artykułem.

– Marlenka, ja ci mówię, że jeżeli naprawdę chodzi o jej twarz, to już lepiej by było, gdyby wybrali ciebie.

Popatrzyłam na nią ze zdziwieniem. Że co niby?

– Dziękuję! – warknęłam, zatrzymując się i czując przemożną chęć, by kopnąć ją w kostkę. – Ty to jesteś jednak miła!

Nie zareagowała, jakby nie zrozumiała, co się przed chwilą stało.

– Bardzo proszę – odpowiedziała pogodnie, idąc dalej.

Stałam przez chwilę osłupiała. Potem musiałam ją gonić.

– Jestem tym oburzona! – zakończyła wreszcie, patrząc na mnie z pytającym wyrazem twarzy.

– Co? – zapytałam.

– Nic nie powiesz? Zupełnie nic?

– Niby o czym? – Zupełnie jej nie rozumiałam.

Popatrzyła na mnie, przymykając powieki, a potem nagle westchnęła i powtórzyła, jak mi się zdawało, swoje

ulubione ostatnimi czasy zdanie:

– Ty to, Marlenka, od tego incydentu z głową jakaś dziwna jesteś. Niby to jesteś ty, a jednak jakbyś to nie była ty. – Zamyśliła się.

– Mam nadzieję, że to jednak jestem ja – powiedziałam z nutą sarkazmu w głosie.

– Nie byłabym tego taka pewna – pokręciła głową i ruszyłyśmy dalej. – Z głową to nie żarty, a ty nawet nie wyglądasz jak ty, mówię ci. Trochę się dziwię, bo twoja matka była przecież ekspertem od prania mózgu, ale zawsze jakoś udawało ci się z tego wyjść. Teraz jednak to wygląda trochę inaczej...

Ruszyłyśmy. Znowu musiałam starać się dotrzymać jej kroku, tak szybko pędziła przed siebie. Nie wiedziałam, jak ona to robi, przecież miała krótsze nogi niż ja!

– Za szybko chodzisz – wysapałam w pewnym momencie.

Teraz to ona się zatrzymała, tak że na nią wpadłam.

– Co się znowu stało? – Kiedy na nią spojrzałam, wystraszyłam się, taką miała minę.

– Z tobą naprawdę coś jest nie tak – powiedziała grobowym głosem, sprawdzając mi ręką temperaturę na czole. – Przecież zawsze narzekałaś, że chodzę strasznie powoli, że włączę się za tobą jak stary, zapleśniały leniwiec i jedynie spowalням tempo. Według ciebie mam nogi jamnika po częściowej amputacji.

Jakoś nie mogłam w to uwierzyć.

– Na pewno nigdy się nie skarżyłam.

– Skąd możesz wiedzieć? Przecież nic nie pamiętasz.

Miała rację. Nic nie pamiętałam.

– No dobrze – westchnęłam. – Teraz uważam, że chodzisz za szybko. Okej? Musisz wiedzieć, że przez parę dni leżałam w szpitalu, spójrz na moją głowę!

– No tak, twoja głowa... – sapnęła. – Lepiej chodźmy. To już niedaleko.

Galeria pojawiła się przed nami jak fatamorgana. Weszliśmy do środka i zniknęły dla świata na dobre dwie godziny. Kupiliśmy nowe ubrania, buty, torebki, a kolejne trzy godziny poświęciliśmy na zmianę image'u – odwiedziłyśmy salon fryzjerski, ponieważ, jak stwierdziła Wanda, widziała na filmach, że zmiany w przypadkach takich jak nasze bardzo pomagają. Trudniej nas będzie rozpoznać. Czyli miałyśmy szansę na parę godzin życia więcej.

Wyszłam z długimi bujnymi włosami, a moja przyjaciółka z krótkimi, w stylu nie za bardzo pasującym jej do twarzy, ale – jak powiedziała – taki był zamiar.

– Czy zasłużyłyśmy sobie na drinka?

Moja odpowiedź była oczywista. Ruszyliśmy w stronę Rynku, a tam, pośród gołębi i w blasku wieczornej zorzy, wypiliśmy szampana.

– Naprawdę wyglądasz bombowo – zachwycała się Wanda. – Gdyby teraz zobaczył cię Kiełbasa, od razu wpadłby w zachwyty. Musisz tylko więcej jeść, bo schudłaś w tym szpitalu.

– Mam nadzieję, że nieprędko mnie zobaczy – zauważyłam. – Wolałabym jeszcze pożyć sobie chociaż trochę. A gruba jestem wystarczająco.

– Trzeba przyznać, że wyglądasz zdecydowanie lepiej niż ten wyżeł, łażący za nim jak cień z woalką na twarzy.

– I co z tego?

– Może okazałoby się, że znowu cię pokocha?

– Ty i te twoje czasopisma! Gdzie wyczytałaś te bzdury? Takie rzeczy się nie zdarzają, to mi mówi moja podświadomość. Jeżeli mąż pewnego dnia zapragnie sprzątnąć swoją żonę, nic go nie powstrzyma.

Wanda westchnęła i machnęła ręką.

– Co ty tam wiesz.

Wypiłyśmy butelkę szampana i ruszyłyśmy w drogę powrotną do Wodzisławia.

Już przed blokiem zauważyłam, że drzwi klatki są otwarte na oścież.

– Nie zamykacie tutaj? Złodziei się chyba nie boicie?

Wanda stanęła jak wryta.

– Zawsze zamykamy.

– Chyba jednak nie – powiedziałam i ruszyłam w stronę drzwi. Weszłam do środka i ruszyłam na górę. Wanda została w tyle. Kiedy doszłam na ostatnie piętro, zatrzymałam się w pół kroku. Drzwi do jej mieszkania były uchylone, a przez szparkę dojrzałam włączone światło. W środku mignęła mi sylwetka mężczyzny w czarnym garniturze. Trzymał w ręce broń.

Ostrożnie zrobiłam krok do tyłu, starając się nie narobić hałasu. Schodziłam, jak tylko potrafiłam najszybciej, zanim nie zderzyłam się z Wandą. Z palcem przyłożonym do ust pokazałam jej, aby była cicho, a następnie wskazałam na górę. Miałam nadzieję, że zrozumie, o co mi chodzi.

Na szczęście okazało się, że mam dosyć inteligentną przyjaciółkę.

Czym prędzej zeszliśmy po schodach i wydostałyśmy się na zewnątrz. Skręciłyśmy za róg i pobiegłyśmy w stronę rynku, taszcząc za sobą torby pełne zakupów.

Na środku placu zatrzymałyśmy się, nie wiedząc, co robić.

– Możemy usiąść na chwilę w ogródku.

– Przecież mogą nas znaleźć!

– Wyglądamy zupełnie inaczej, nawet gdyby tu przyszli, nie zauważą nas. Szukają innej Marleny.

Zastanowiłam się chwilę. Miała rację. Gdzie jest najciemniej? Pod latarnią, oczywiście. Więc czemu nie?

– Chodźmy.

Usiadłyśmy przy stoliku i zamówiłyśmy po piwie.

– Co widziałaś? – szepnęła Wanda, starając się założyć nogę na nogę, ale nie za bardzo jej to szło z powodu zbyt grubych ud, więc zrezygnowała.

– Przeszukiwali twoje mieszkanie. Drzwi zostawili uchylone, dlatego mogłam zauważyć jednego z nich. Miał w ręce pistolet.

Na wzmiankę o broni Wanda zachłysnęła się piwem i poląła nim swoją nową sukienkę.

– Uważaj! – syknęłam. – Nie musisz kaszleć tak głośno! Wszyscy na nas patrzą.

– Kiedy nie umiem przestać. Poleciało w inną dziurkę.

Pokręciłam głową zrezygnowana.

– Już nic ci nie powiem, jeżeli jesteś taka strachliwa.

– Wcale nie jestem, i powinnaś dobrze o tym wiedzieć.

– Według mnie jesteś!

– Nie jestem!

Nagle na rynek wjechała czarna furgonetka. Auto wlokło się powoli wzdłuż całego placu, okrążając go dookoła, czym zwróciło uwagę siedzących. Gdy zatrzymało się koło księgarni Dom Książki, która mieściła się tam od lat, wysiadło z niego dwóch ubranych na czarno facetów. Przeszli powoli obok fontanny i zbliżyli się do naszego ogródka. Zamieniłam się w słup soli. Jeden z nich znalazł się w pewnym momencie bardzo blisko nas, spojrzał w moje oczy i ruszył dalej. Nie wiem, jak długo wstrzymywałam oddech, ale kiedy wreszcie wciągnęłam świeże powietrze w płuca, mocno zakręciło mi się w głowie.

– Zaraz umrę – szepnęła Wanda.

Kopnęłam ją lekko w nogę.

– Nie musisz mnie kopać! – wysyczała przez zaciśnięte zęby, zapominając nagle o strachu.

– To się zamknij!

– Jesteś okropnie histeryczna!

– A ty nie umiesz być ani na chwilę cicho!

– Możemy się dosiąść?

Obie krzyknęłyśmy, bo nie zauważyłyśmy stojących obok mężczyzn w czarnych ubraniach i ciemnych okularach.

– Nie!! – powiedziałyśmy w tym samym czasie.

Spojrzałyśmy na siebie zdziwione i porozumiałyśmy się wzrokiem. Jednak nadawałyśmy na tych samych falach. Przynajmniej od czasu do czasu.

– Czekamy na swoich chłopaków – powiedziała już spokojniej. – Nie byliby zadowoleni, widząc was tutaj.

Wymienili spojrzenia i odeszli do innego stolika. Zamówili po coca-coli i rozglądali się po obecnych oraz po całym rynku.

Minuty dłużyły się nam niemiłosiernie. Niech sobie już pójda, prosiłam Boga w myślach. Jeśli mnie rozpoznają, koniec ze mną. Moje prośby widocznie zostały wysłuchane, bo obaj wstali i odeszli w stronę auta. Przez cały ten czas udawałyśmy, że rozmawiamy o czymś bardzo ważnym, tymczasem nic z tej rozmowy nie pamiętałam.

– Cała się trzęsę – przyznała Wanda.

– To weź się w garść – upomniałam ją, ale sama nie byłam lepsza. Bałam się wstać, bo czułam, że ugną się pode mną kolana.

– Ty! – Nagle wpadło mi coś do głowy. – A co, jeśli to nie jest prawda?

– Co?

– No, to z moim Kiełbasą.

– Możesz się wystawiać trochę zrozumialej?

– Mam na myśli, że on mnie naprawdę kocha, tylko my wymyśliłyśmy sobie jakieś nieprawdopodobne rzeczy? Co, jeśli ta czarna żmija, kręcąca się obok, to na przykład jego siostra? Przecież to nie jest normalne, żebym miała męża mafiosa, nie? W Polsce chyba nie ma zorganizowanej mafii, a my nie jesteśmy przecież we Włoszech.

– Byłam kiedyś na Sycylii i też mafii nie widziałam – stwierdziła obojętnie Wanda. – Czy to oznacza, że jej nie ma?

– Może i tak, w Warszawie? Ale w Wodzisławiu? I do tego mój mąż? Przecież nie byłabym na tyle głupia, żeby wyjść za takiego człowieka!

Wanda westchnęła.

– Muszę ci coś powiedzieć.

Popatrzyłam na nią zdziwiona.

– Dzwoniłaś do mnie. Całkiem niedawno. Zanim zniknęłaś.

– Naprawdę?

– Tak.

– Dobrze, i co z tego wynika?

– Byłaś okropnie rozkojarzona. Z początku pomyślałam, że zwariowałaś, ale to, co mówiłaś, brzmiało całkiem normalnie. Potem pomyślałam, że się upiłaś, bo jak wypaliłaś, że ukrywasz się na cmentarzu, to chyba nie mogłam myśleć nic innego, nie?

– A co w tym niby dziwnego? Że co? Że normalni ludzie ukrywają się w kanałach? Na cmentarzach nie? – zachnęłam się.

– Dokładnie tak – odetchnęła. – Czyli rozumiałaś moje obawy?

– Nie! Właśnie nie rozumiałam! Powiedziałam to z nutą kpiny w głosie, nie wyczułaś tego?

– Nie – pokręciła głową.

– Nieważne – machnęłam ręką. – Mów dalej. Co ci powiedziałam?

– Narzekałaś, że zaraz padnie ci telefon, i dodałaś, że na cmentarzu powinni zamontować kontakty, żeby sobie ludzie mogli doładować w razie czego baterię, i...

– Bosze... – wymówiłam z silnym akcentem na sz zamiast ż. – Czy możesz mi powiedzieć coś konkretnego?

– Przecież staram się dojść do sedna!

– To dawaj! – krzyknęłam, a ludzie znowu zaczęli na nas zerkać.

– Powiedziałaś, że wpadłaś na coś strasznego. Że jak to wyjdzie na jaw, zrobi się afera na całą Polskę. Że jesteś w niebezpieczeństwie, bo byłaś świadkiem czegoś. Nie wiem czego, bo czasami telefon przerywał, taki słaby tam był sygnał. I jeszcze że musisz się ukrywać i pójść z tym na policję, ale jak cię Kiełbasa dorwie, to po tobie.

– To dlaczego nie poszłam na policję?

– Bo tam też ma swoje wtyki.

– I nie mówiłam, o co chodzi?

– Nie. Miałaś mi wszystko opowiedzieć, jak się spotkamy.

– No to jesteśmy w kropce. Nic nie wiemy.

– Wiemy, że chce cię zabić, sama to mówiłaś do telefonu. I jeszcze to, że Pamela...

– ?

– No, ta jego siksa, to ona pociąga za sznurki. I pierwsze, co robi, to wykopie cię nawet spod ziemi, żeby cię sprzątnąć.

– Dlaczego?

– Bo Kiełbasa ma należeć tylko do niej, a ona nie lubi się dzielić.

Znowu westchnęłam.

– Czyli ona naprawdę chce mnie wykończyć?

– A niby po co robiliby cały ten szum w mediach? Nie

ma dymu bez ognia.

– A ty? Wanda?

– Co ja?

– Czy ty w to wierzysz? W to, co ci mówiłam przez telefon?

– Oczywiście!

– Dlaczego?

– Jesteś moją przyjaciółką, to rozumiałe. Nigdy byś mnie nie okłamała. Zresztą, mój szósty zmysł mówi mi, że cała ta sytuacja naprawdę śmierdzi, więc mam pewność stuprocentową.

Zrobiło mi się ciepłej na sercu. Sposób, w jaki cicho wykrzyknęła słowa o tym, że jestem jej przyjaciółką, świadczył o niezłomnej wierze we mnie. To mnie pocieszyło i wlało w moje serce nadzieję.

Niespecjalnie jednak przypadły mi do gustu wieści o moim telefonie do Wandy. Wczoraj miałam jednego wroga, mojego męża, dzień później już dwóch, bo dołączyła do niego jego kochanka. Ilu ich jeszcze jest? I jak wpadłam na tę aferę? Nie mogłam sobie tak po prostu normalnie żyć w spokoju, jako żona bogatego mafiosa? Po co grzebałam w jakichś ciemnych sprawkach? Dlaczego mnie matka nie wychowała na kurę domową, która siedzi zamknięta w czterech ścianach, gotuje dla męża, sprząta i w nocy rozkłada przed nim nogi, nawet jeśli boli ją głowa?

Nagle zaświtała mi pozytywna myśl: za wszystko odpowiedzialna jest moja matka i to, jak mnie wychowała. Nie ja. Ja tylko zachowywałam się tak, jak mi to wpojono

w dzieciństwie. A kto uczy dzieci i formuje ich mózgi? Oczywiście, że matka!

Westchnęłam. Tymczasem z zamyślenia wyrwała mnie przyjaciółka, która dopadła gdzieś jakiegoś szmatławca i pochłaniała zapisane w nim informacje.

– Wiedziałaś, że Beatrice była w tym roku już siedemnaście razy na wakacjach?

– Kto?

– Beatrice! Brytyjska księżniczka. Ta z ogromnymi oczami przecież. Siedemnaście razy! A normalny człowiek nie ma kasy nawet na jedne w roku.

– Nie znam.

– Znasz! Zawsze mówiłaś, że z takimi oczami nie powinna być księżniczką.

Zerknęłam na zdjęcie i rzeczywiście zauważyłam wyłupiaste oczy i mocno uszminekowane usta.

– Naprawdę jest księżniczką?

– Niestety! I nie musi pracować.

Zastanowiły mnie jej słowa.

– A ty? Jaką masz pracę?

– Ja? Przecież nie pracuję od dwóch miesięcy!

– Co się stało?

– To, co zawsze: pokłóciłam się z klientem i mnie wylali. Nie rozumiem głupiego przekonania, że jeśli frajer przychodzi do sklepu, to ma prawo być dla ciebie nieprzyjemny, a ty dla niego nie. U mnie coś takiego nie przejdzie. Nawet gdyby przyszła Beatrice, powiedziałabym jej, co o niej myślę, możesz być pewna.

Uśmiechnęłam się, patrząc, jak nagle jej twarz

poróżowiła, a w oczach pojawiły się błyski świadczące o zdenerwowaniu.

– Zgadzam się – przytaknęłam. – Wszyscy powinni odnosić się do siebie z szacunkiem.

– Powiedz to jakiemuś szefowi – burknęła.

Dopiłyśmy piwo i postanowiłyśmy wrócić do domu. W połowie drogi zatrzymałam się.

– Słuchaj. A co, jeśli oni tam są? Albo zostawili jakieś podsłuchy? Stoją w krzakach i tylko czekają na sposobność, by nas dorwać.

– Nas nie. Ciebie – poprawiła mnie i na chwilę zamilkła.

Na dworze panowała już ciemność, jedynie światła latarni rozjaśniały mrok, ukazując drogę. Pozostawiłyśmy za sobą na wpół opustoszały rynek. Czy ci ludzie nic nie robią, tylko śpią? Nie szkoda im życia? Pozamykani w czterech ścianach jak kury w kurniku.

– Masz rację. Nie powinniśmy tam wracać.

Znowu przeszłyśmy parę metrów i się zatrzymałyśmy.

– Gdzie pójdziemy?

– Do matki?

– Nie, znajdą nas.

– Mam tu jeszcze jakieś koleżanki?

– Nie. Wszystkie zazdrościły ci sukcesu i przestały się z tobą spotykać. Niestety, zostałam ci tylko ja.

– I jestem ci za to wdzięczna – powiedziałam. – Musimy znaleźć jakieś inne wyjście z tej sytuacji.

– Tylko jakie?

– No właśnie.

Stałyśmy i myślałyśmy, a tymczasem minuty uciekały.

Nagle z jednej z uliczek wyjechało auto i skierowało się w naszą stronę. Pędziło jak szalone, jakby chciało nas przejechać. Opuściłam torby ze strachu, Wanda krzyknęła.

To był nasz koniec.

ROZDZIAŁ 9

Przyjaciół



Boże, to oni! – wrzasnęła Wanda i nagle jakby obudziła się z letargu. Zaczęła uciekać w przeciwną stronę. Złapałam torby i rzuciłam się za nią, nie wiedząc, co się dzieje. Światła reflektorów nie pozwalały nam się schować w żadnym zaułku, byliśmy widoczne jak na dłoni. Wpadliśmy oszalałe na rynek i biegliśmy przed siebie. Auto niebezpiecznie zbliżyło się do nas. A potem... stało się to, czego się nie spodziewaliśmy, ale jednak się stało: szpilka Wandy złamała się pod jej ciężarem i kobieta runęła jak długa na bruk ulicy. Widząc, co się dzieje, przeraziłam się – nie miałam możliwości zatrzymania się, bo za mną jechało auto. Jak w zwolnionym tempie widziałam upadającą Wandę. Jej torby, wyrzucone w górę, nagle zawisły w powietrzu. Nie mogąc się zatrzymać, zdecydowałam się na jedyny możliwy krok: przeskoczyłam nad Wandą. Jedna z toreb, spadających teraz z nieba,

wylądowała na mojej głowie. Wanda leżała jak kłoda, a ja opadłam, zdawało się, bezpiecznie, tuż za nią. Ale również moje szpilki nie były zaprojektowane do takich wyczynów, więc złamały się, najpierw jedna, a potem druga, a ja straciłam równowagę i wyłożyłam się obok przyjaciółki jak długa. Kiedy padałam, nie czułam bólu i dopiero potem zrozumiałam dlaczego: gdy obcasy mi się złamały, moje nogi wyrzuciło do przodu, a ja całym ciężarem ciała wylądowałam na Wandzie. Usłyszałam jej zduszone wycie. Próbowwała się spode mnie uwolnić, ale spadły na nas jej torby, a potem jeszcze i moje. Byłam w szoku, bo nie spodziewałam się takiego rozwoju sytuacji. Nagle spostrzegłam, że przed nami stoi ciemne auto, które wcale nie jest teraz czarne jak tamta furgonetka, ale ciemnoniebieskie i właśnie wysiada z niego jakiś facet, chudy jak szczapa.

– Marlina? – odezwał się gardłowym głosem.

– Złaż wreszcie ze mnie! – Wanda nadal próbowała mnie z siebie zrzucić, co jej się zresztą po chwili udało. Klapnęłam pupą na kostkę brukową.

Patrzyłam, jak przyjaciółka przewraca się na plecy i oddycha ciężko, a z jej kolana obficie cieknie krew.

– Marlina? To ty? – znów dotarł do mnie głos owego mężczyzny, który okazał się wysokim przystojniakiem z krótką bródką.

– Ja. To znaczy chyba tak. – Język zaczął mi się plątać, kiedy gramoliłam się, by wstać. – Kim pan jest?

– Nie poznajesz mnie? – Podszedł do mnie i chwycił mnie mocno w objęcia. Potem pocałował w usta. –

Myślałem, że coś ci się stało. Tym bardziej teraz, kiedy mówią o tobie te wszystkie rzeczy w telewizji.

– Przepraszam. – Odsunęłam się od niego trochę niepewnie, bo w jego objęciach czułam się całkiem bezpiecznie. – Straciłam pamięć, niczego nie mogę sobie przypomnieć.

– Naprawdę? Dzwoniłem do ciebie, ale telefon od jakiegoś czasu milczy, chyba skończyła ci się bateria?

Telefon? Kurczę, nie pomyślałam o nim. Muszę go czym prędzej naładować. Przecież mogłam w nim znaleźć jakieś ważne informacje!

– Czy ktoś może mi pomóc wstać? – wtrąciła się Wanda.

Wyglądała komicznie z napuchniętym kolanem i strużkami krwi spływającymi po nodze. Pomogliśmy jej się pozbierać.

– Szczypie jak cholera – zaciskała zęby. – Nie musiałaś na mnie spadać, tylko pogorszyłaś sytuację!

– Nie zrobiłam tego umyślnie!

– Gdybyś nie zrobiła, poleciałabyś na twarz, jak ja. Ale nie, ty musiałaś upaść do tyłu!

Mężczyzna zaczął się śmiać.

– Dobra, wsiadajcie do samochodu. Podwiozę was do domu.

– Nie! – zaprotestowałyśmy.

Popatrzył na nas niepewnie.

– To gdzie mam was zawieźć?

– Do siebie! – wypaliłam, zanim się zastanowiłam.

– Zatrzymałem się niedaleko, w hotelu. Nie wiem, czy będę was mógł jakoś przeszmygnować do środka...

– Zapłacimy za siebie.

– No to wsiadajcie.

Weszliśmy do środka z pewnym trudem. Wanda cały czas skarżyła się na swoje kolano, ale wcisnęła się na tylne siedzenie i zatrzasnęła drzwi.

– Nie musiałaś tak trzaskać, to nowe auto – zauważył mężczyzna.

– I co z tego? – warknęła. – Chciałam mieć pewność, że nie wypadnę w trakcie jazdy. Już dosyć się przez ciebie poobijałam.

I żeby pokazać, jak nie dowierza jego autu, nacisnęła przycisk zamykający drzwi.

Przystojniak pokręcił głową i zapalił silnik. Patrzyłam na trzy obcasy leżące na drodze, ale nie było mi ich żal. Niech sobie leżą. Ruszyliśmy. Wjechaliśmy już w jedną z uliczek, kiedy rozległ się pisk opon i szarpnęło autem.

– Ja cię pierd... – wrzasnął kierowca. – Co za wszarz skończony! O mało gnoja nie przejechałem!

Zerknęłam, by sprawdzić, co się dzieje. Wanda zaczęła chichotać, a ja pobladałam. Mój brat wracał slalomem do domu. Pijany jak bela przeszedł przez ulicę i idąc dalej, podtrzymywał się ścian sklepów.

– Jedź już – powiedziałam. – Ale trochę uważniej. Nie chciałabym tej nocy jeszcze wylądować na komisariacie.

Mężczyzna zacisnął zęby i ze złością nacisnął pedał gazu. Ruszył z piskiem opon, czego nie skomentowałam. Przynajmniej na razie czułam się bezpiecznie i nie musiałam obawiać się obcych mężczyzn, którzy mogli czaić się gdziekolwiek w mieście.

Nie minęło wiele czasu, gdy zatrzymaliśmy się przed hotelem Amadeus, zaparkowaliśmy i weszliśmy do środka. Pięć minut później obie byłyśmy już w pokoju naszego wybawcy, ponieważ za nic nie chciałyśmy spać gdzie indziej.

Wanda obmyła kolano, które na szczęście przestało intensywnie krwawić, a ja rzuciłam swoje rzeczy na podłogę i położyłam się na łóżku. Byłam wykończona po całym dniu. Przymknęłam oczy i na chwilę odpłynęłam. Tymczasem łóżko zaskrzybiało, co dało mi do zrozumienia, że Wanda kładzie się obok mnie. Otworzyłam oczy. Mężczyzny nie było w pokoju, wyszedł, żeby zamówić kolację.

– Właśnie zdałam sobie sprawę, że leżymy w hotelu na łóżku, a za chwilę przyjdzie tu facet, którego nie znamy, i nie mamy pojęcia, po której tak naprawdę jest stronie.

– Przecież mnie poznał!

– A kto cię tu nie zna? Ostatnio kupowałam książkę w księgarni i nawet pani Bytomska o tobie mówiła.

– Kim jest znowu pani Bytomska?

– Właścicielką księgarni przecież! Całe życie kupowałaś u niej książki! No, mam na myśli tamto stare życie, to pierwsze, zanim jeszcze zrobiłaś się bogata. Kiedy jeszcze CZYTAŁAŚ!

– Przestań! – Chciałam ją uderzyć łokciem, ale leżała za daleko i mój zamiar się nie powiódł. – To, że jestem zamożna, nie oznacza, że jestem też trędowata.

Zastanowiłam się przez chwilę.

– Myślisz, że poszedł zadzwonić do mojego męża?

– Nie wiem. – Nagle usiadła na łóżku. – Zmywamy się?

Wtedy otworzyły się drzwi i wszedł nieznajomy. Za nim wtoczył się wózek z kolacją. Rzuciłyśmy się na jedzenie jak głodne wilki. Jeżeli trzeba będzie uciekać, to przynajmniej będziemy miały pełne żołądki, pomyślałam.

– Właściwie jak się nazywasz? – zapytałam.

– Vaclav.

Przestałam jeść i zerknęłam na niego spod oka.

– Że co?

– Vaclav.

Wanda wstała tak szybko, że aż krzesło przewróciło się z łomotem, ale już wyciągała do niego rękę z uśmiechem na twarzy.

– Wanda jestem.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Wiem, jest pani najlepszą przyjaciółką Marlenki.

– Jakieś niepolskie to imię – zauważyłam.

– Bo nie jestem Polakiem. Jestem Czechem.

– Przystojnym Czechem – dodała Wanda, nie odrywając od niego wzroku. Była nim zauroczona.

– Dziękuję – uśmiechnął się do niej, pokazując rząd równych białych zębów.

– Mówisz bardzo dobrze po polsku...

– Uczyłem się polskiego na Uniwersytecie Karola w Pradze.

– Czyli jesteś językowo uzdolnionym człowiekiem?

– Nawet bardzo uzdolnionym. Językowo... – Mrugnął do mnie okiem.

Zaczerwieniłam się, a Wanda zachichotała jak uczennica

pierwszej klasy szkoły podstawowej. Zgromiłam ją wzrokiem.

– A skąd my się znamy? – Przyjrzałam mu się uważniej i musiałam przyznać, że należał do tych przystojniaków z telewizji.

– Jakiś czas temu zobaczyłem twoją reklamę w sieci i postanowiłem, że nawiążemy współpracę. Też zajmuję się sprzedażą tego, co ty.

– ? Czego? Trumien?

– Tak – uśmiechnął się.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby jej o tym przypominać – powiedziała ostrożnie Wanda. – Ona dopiero co wyszła ze szpitala.

– Może mi to odświeży pamięć. Więc co to za reklama?

– Właściwie były dwie, które od razu wycofano. Sądziłaś się miesiącami – zaśmiał się. – Ludzie byli zbulwersowani, ale obrót, jaki przyniosły, był tego wart.

– O czym były te reklamy?

– Pokażę ci – powiedział i wyciągnął telefon. Odpalił YouTube i wpisał nazwę reklamy.

– Zobacz. – Podsunął mi ekranik bardzo blisko, abym mogła dobrze widzieć.

Pierwszy filmik pokazywał idących w kondukcje ludzi, ubranych na czarno, z kwiatami. Weszli do kościoła, a tam na środku stała trumna. Ktoś podszedł, żeby ją otworzyć, i oczom zebranych ukazała się naga dziewczyna... i nagi mężczyzna. Nie ulegało wątpliwości, że kopulują.

– W naszych trumnach czekają cię niezapomniane chwile – powiedział męski głos.

Jęknęłam, przysłaniając usta dłonią. Coś takiego nie mieściło mi się w głowie.

– Mówiłam, żeby jej tego nie pokazywać – odezwała się Wanda. – Jeszcze ją będziemy musieli reanimować.

– Dam radę – wychrypiałam i skinęłam ręką na znak, że chcę obejrzeć drugą reklamę.

Vaclav kliknął kolejny filmik wideo. Spojrzałam na ekran.

Początkowy motyw przedstawiał to samo: ludzi idących na pogrzeb. Tym razem trumna znajdowała się w domu, a w niej – piękna, młodziutka dziewczyna. Nagle drzwi się otworzyły, dziewczyna wstała i zaczęła tańczyć jak baletnica przy akompaniamencie *Walca kwiatów* Czajkowskiego.

– W naszych trumnach możesz poczuć się lekko i przyjemnie – odezwał się kobiecy głos.

Spojrzałam na oglądalność: trzy miliony odtworzeń, podobnie jak przy pierwszej reklamie.

– Mój Boże... – wyszeptałam. Nagle odechciało mi się jeść. Na szczęście Wanda już nalewała wina.

– Wypij. – Przytknęła mi kieliszek do ust.

Wypiłam na raz. Odetchnęłam głęboko i powoli zaczerpnęłam powietrza.

– Jak to się skończyło?

– Wygrałeś proces, oczywiście, jakżeby inaczej. Zrobiłaś coś, o czym mówi cały świat, a że nie zawsze w dobrym tonie, to nie ma znaczenia. To właśnie skłoniło mnie do przyjazdu i poznania ciebie. Chciałem się dowiedzieć, jak wygląda kobieta, która ma jaja, przepraszam, że tak

mówię. Po prostu chciałem nawiązać współpracę.

– I udało się? – Popatrzyłam na niego.

– Jesteśmy w trakcie pertraktacji...

– Na jakim etapie? – zapytałam ostrożnie, nalewając sobie znowu wina. Bicie serca zaczęło przyspieszać.

– Na etapie bardzo posuniętym do przodu, powiedziałbym.

Przełknęłam ślinę i napiłam się wina. Zaczęło mi się kręcić w głowie. Szampan, piwo, wino. Nieźle sobie pozwalałam.

Choć Vaclav był szczupły, miał doskonale wyrysowaną sylwetkę: same mięśnie, bez nadmiaru tłuszczu. Znacznie przewyższał mnie wzrostem, jego dłonie przypominały raczej bochenki chleba, zaś stopy miał jak wielkolud. Mocny i wielki nos, pełne usta, kasztanowe włosy, troszkę przydługie, opadające w dół, jakby już prosiły się o strzyżenie, i ciepłe oczy dopełniały obrazu tej postaci. Miałam ochotę pogłodzić go po brodzie, co mnie przekonało, że nawet jeśli go nie pamiętam, to w jakiś sposób działa na mnie.

Działał też na Wandę, bo patrzyła na niego jak w święty obrazek.

– Czy wiesz, co się właściwie dzieje? – Oderwałam od niego wzrok.

– Wiem jedynie, że twój mężulek coś knuje. Miałaś od niego odejść, ale chciałaś załatwić jeszcze jakąś sprawę. Nie wiem dokładnie, o co chodziło, bo byłaś w tym temacie niezwykle tajemnicza, ale kiedy zaginęłaś, od razu tutaj przyjechałem i cię szukałem. W wiadomościach

powiedzieli, że leżysz w szpitalu, więc od razu obrałem kierunek na Wodzisław. Szukałem cię, byłem nawet w szpitalu, ale cię nie znalazłem. Odwiedziłem twoją matkę, ale nie wpuściła mnie do środka i przez drzwi zawołała, że nie chce mieć z tobą nic wspólnego.

– Taka matka – uśmiechnęłam się z przymusem.

– Na szczęście cię znalazłem. Teraz możesz to wszystko zostawić i pojechać ze mną do Pragi.

– Nie! – zaprzeczyłam kategorycznie. – Tu chodzi o coś więcej i zanim cała sprawa nie będzie zakończona, nigdzie się nie ruszam.

– Grozi ci niebezpieczeństwo! – wykrzyknął. – Chcesz ryzykować własne życie?

– Instykt mi mówi, że muszę to zrobić.

– Ale instykt cię nie ochroni przed kulką!

– Nie musimy od razu histeryzować.

– Może straciłaś pamięć – wyrzucił z siebie nagle – ale nic się nie zmieniłaś. Uparta jak osioł.

– Co w takim razie zrobimy? – ziewnęła Wanda.

– Może pójdziemy spać? – zaproponował. – Rano uzgodnimy plan. Tu nie będziesz mogła zostać. To miasto jest zbyt małe, jesteś widoczna jak na dłoni. To i tak cud, że cię jeszcze nie złapali.

Tymi słowami zakończyliśmy dzień i udaliśmy się do łóżek.

Wcześniej podłączyłam do ładowarki telefon, wyrzucając sobie w myślach, że nie sprawdziłam jego zawartości, będąc w szpitalu, kiedy jeszcze działał.

ROZDZIAŁ 10

Plan bez planu



Rano trochę pobolevała mnie głowa. Czy to się nigdy nie skończy?

– Napij się wina. – Wanda podała mi pełny kieliszek.

– Nie jestem alkoholiczką! – Odsunęłam wino na bok.

– Jak wolisz. Chciałam ci pomóc. – Wzięła je i sama wypiała.

– Nie powiedziałam, że nie wypiję!

– Nie chciałaś, a ja nie mam w powadze się prosić.

Wszedł Vaclav.

– Zdecydowałaś się pojechać do Pragi?

Pokręciłam głową.

– Nie.

– Dobrze. W takim razie zostanę tu z tobą.

– Nie musisz mi pomagać. Dam sobie radę. To moja sprawa.

– Jeżeli dotyczy ciebie, to także moja sprawa. – Podszedł

i pocałował mnie w usta.

W brzuchu poczułam nagle z dwieście motyli, tak przyjemnie mnie załaskotało. Pachniał wodą po goleniu i miałam ochotę rzucić się na niego jak wygłodniałe zwierzę.

Obie z Wandą byłyśmy już odświeżone po porannym prysznicu i właśnie w tej chwili na polecenie Vaclava do pokoju wniesiono śniadanie. Usiadłyśmy pospiesznie na krzesłach przy stole, ja z komórką w ręce. Włączyłam ją, wyświetlił się displej i zażądał kodu PIN.

– Nie znam. – Odłożyłam komórkę na stół.

Wanda popatrzyła na mnie, a potem na telefon. Wzięła go i włożyła mi do ręki.

– Znasz.

– Przecież mówię, że nie znam! Straciłam pamięć!

– Znasz! Po prostu nie myśl o niczym. Wystarczy automatycznie wpisać kod. Przypomnisz sobie. Wiem z własnego doświadczenia.

Spojrzałam na displej z wielkim powątpiewaniem i zbliżyłam palec do klawiaturki z numerami. W końcu postanowiłam zrobić, jak kazała przyjaciółka, i raz-dwa wystukałam kod. Telefon przyjął numer i wdzięcznie udzielił mi dostępu do swoich tajemnic.

– Niesamowite! – wykrzyknęłam. – Naprawdę go pamiętałam!

– To jak z jedzeniem. Pewne rzeczy po prostu wiemy, nawet jeśli wydaje się nam, że straciliśmy pamięć.

Po chwili telefon zaczął wydawać dźwięki świadczące o nadejściu wiadomości. Weszłam do folderu z esemesami

i odczytałam pięć od Vaclava, po których zrobiło mi się ciepłej na sercu, oraz jedną od mojego męża: „Odezwij się, jak to przeczytasz, martwię się o ciebie”.

Potem komórka się rozdzwoniła. Dzwonił mój mąż, zapisany w telefonie jako Mąż. Oryginalne, pomyślałam, ciekawe, jak długo się zastanawiałam nad tym wpisem w kontaktach.

– Dzwoni! – wrzasnęłam, odrzucając komórkę na stół, jakby mnie sparzyła.

– Kto? – Wanda od razu rzuciła się na telefon. – Kiełbasa! Czego może chcieć? Skąd wie, że jesteś dostępna?

– Przed chwilą odebrałam od niego wiadomość, może dostał informację o doręczeniu?

– Porozmawiaj z nim! Zobaczymy, czego będzie chciał.

– Teraz?

Ogarnęła mnie panika. Po chwili już miałam w rękach telefon i przykładałam go do ucha, naciskając przycisk odbioru.

– S-słucham?

– Marlena? Dzięki Bogu, że żyjesz. Gdzie jesteś? Co się z tobą dzieje? Uciekłaś ze szpitala? Dlaczego? Jesteś cała? – zalał mnie falą pytań.

– T-tak, tak, jest w porządku... – odpowiedziałam nieco zdezorientowana. Jego głos był miły, jakby naprawdę się o mnie martwił.

– Gdzie jesteś?

Wanda, słuchająca tego, co mówi, z głową przyłożoną do mojego ucha, natychmiast zaczęła machać rękami.

– Nic nie mów! – wypowiadała słowa, nie wydając

z siebie głosu.

– Marlena? Co się dzieje? Słyszysz?

– Nic się nie dzieje. Po prostu nie wiem, gdzie jestem, i...

– Przyjadę po ciebie! Zapytaj kogoś o ulicę. Wrócimy razem do domu.

– Gdzie?

– Do Warszawy oczywiście.

– No nie wiem...

– Czego nie wiesz? Kochanie, tęsknię za tobą. Nawet nie wiesz, co się ze mną dzieje od czasu twojego zwariowanego zniknięcia!

– Myślałam... – Naprawdę tego nie rozumiałam. Jego głos świadczył o tym, że bardzo się o mnie martwi. Może rzeczywiście tak było? Może sobie tylko ubzdurałam, że chce mnie zabić? Albo może Wanda jest wariatką i wmawia mi rzeczy, których nie ma?

– Co myślałaś? Kochanie, musisz wrócić do domu. Nasze maleństwa się o ciebie martwią.

Maleństwa? Boże, czy ja miałam z nim dzieci? Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

– Maleństwa? – zapytałam niepewnie.

– Tak. Wyją całymimi dniami jak wilki do księżyca. Nie chcą jeść, schudły i nic ich nie cieszy.

– Wyją? – powtórzyłam, nadal nie rozumiejąc, o co mu chodzi. Czy moje dzieci są jakieś nienormalne?

– Dzięki i Nuka, kochanie, twoje pieski, nazwane tak na pamiątkę bohaterów bajki, którą oglądałaś, będąc dzieckiem. Pamiętasz? A... nie pamiętasz, przecież straciłaś pamięć.

Odetchnęłam z ulgą. Więc to psy! Żadne dzieci.

– Gdzie jesteś? W Warszawie? Czy w Wodzisławiu? Dlaczego uciekłaś ze szpitala? Wiesz, że powinien cię zbadać lekarz? To poważna sprawa i nie chciałbym, żeby coś ci się stało. Nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

– P-przyjadę. W-wkrótce przyjadę.

– Marlena? Nie odkładaj...

Zawiesiłam rozmowę, klikając czerwony przycisk. Siedziałam przez jakiś czas cicho, głęboko oddychając. W głowie miałam mętlik.

– Co jej jest? – Wanda zwróciła się z tym pytaniem do Vaclava.

– Marlena? – Chwycił mnie za rękę i pogłodził. – Wszystko w porządku?

– Był miły... – wyszeptałam.

– Kiełbasa? – Wanda otrząsnęła się jak pies, który właśnie wyszedł z wody.

– Tak. Martwi się o mnie. Chce, żebym wróciła do domu.

– Żeby ci zrobić pogrzeb na miarę waszych warszawskich możliwości? Chyba nie zwariowałaś i nie zamierzasz tam pojechać?

– Nie wiem...

– Trzymaj mnie. – Wanda zwróciła się do Vaclava. – Zaraz ją rozszarpię na strzępy.

– Spokojnie. Ona jest w szoku. Tak mi się wydaje...

Moja przyjaciółka wstała.

– Idę kupić sobie jakąś gazetę. Muszę odreagować – oznajmiła i wyszła.

Vaclav nadal trzymał mnie za rękę.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje – zwróciłam się do niego. – Głowa mi pęka. Czuję się, jakby mi ktoś nieustannie robił pranie mózgu. Niczego nie mogę sobie przypomnieć i zaczyna mnie to frustrować. Mam ochotę krzyczeć.

– To krzycz. Wyrzuć to z siebie, to czasami pomaga.

– Nie wiem, czy potrafię – powiedziałam nieśmiało.

– Chodź. – Pociągnął mnie za rękę.

– Dokąd idziemy?

– Do lasu.

Opuściliśmy hotel i po minucie już byliśmy w lesie.

– Zostawię cię tu na chwilę, a ty sobie pokrzycz. Będę stał na skraju.

Odszedł i zostałam sama. Po rozmowie z mężem głowa naprawdę zaczęła mnie boleć, jakby ktoś próbował rozłupać mi ją na kawałki. Nagle ni stąd, ni zowąd z oczu pociekły mi łzy. Chwyciłam się za głowę i zaczęłam jęczeć, skamleć, a wreszcie krzyczeć. Złapałam leżący obok patyk i wymachiwałam nim, tnąc krzaki tak mocno, że aż spadały z nich liście. Dopóki nie opadłam z sił. Stałam potem, ciężko dysząc, i choć ból głowy nie minął, poczułam w sobie lekkość i spokój.

– Miałeś rację – uśmiechnęłam się do Vaclava po wyjściu z lasu. – To naprawdę pomogło.

– Mówiłem ci. Ja też czasem pozwalałam sobie na taką terapię. Nic nie kosztuje, a wiele daje.

Poszliśmy w stronę hotelu.

– Do twarzy ci w takich włosach.

– Dziękuję.

Zatrzymałam się przed wejściem.

– Słuchaj. Czy on naprawdę chce mnie sprzątnąć?

– Tak. To niebezpieczny człowiek. Musisz się mieć na baczności.

– A nie mógł się ze mną po prostu rozwieść?

– Jeśli posiadasz na jego temat niebezpieczne informacje, które mogą go zniszczyć... Nie będzie przebierał w środkach i dla pewności będzie wolał pozbyć się ciebie, niż zaryzykować wszystko.

– Gdybym chociaż wiedziała, o co chodzi!

– Dowiesz się, utrata pamięci w twoim przypadku to pewnie tylko szok po tym, co cię spotkało.

– Lekarze mówili, że nóż niczego ważnego nie uszkodził.

– No właśnie. Miałaś wielkie szczęście.

– Tak...

Objął mnie w pól i przyciągnął do siebie.

– Tęskniłem za tobą.

– Naprawdę? – wyjąkałam, bo przecież nawet nie wiedziałam, czy i ja za nim tęskniłam. Od dotyku jego rąk zaczęły przechodzić mnie dreszcze. Podobało mi się to.

– Naprawdę...

Zbliżył usta do moich i pocałował. Zakręciło mi się w głowie, tak intensywne było to uczucie. Przyłgnęłam do niego jak panierka przywiera do kotleta.

– Już prawie zapomniałem, jak smakujesz. Dobrze, że jesteś cała.

– Nie mów nic więcej... – Przykleiłam się do niego, pozwalając, by wpijał się w moje usta.

Właśnie wtedy za naszymi plecami rozległ się głos

Wandy, wołającej z daleka:

– Musimy zwiewać!

Spojrzelśmy na nią ze zdziwieniem. Biegła na swoich krótkich nóżkach, czerwona na twarzy, wymachując przy tym kupionym czasopiśmem.

– Co się dzieje? – zawołał Vaclav, przyciągając mnie do siebie.

Wanda wreszcie zatrzymała się obok nas.

– Chyba wpadli na nasz trop!

– Co? – zawołaliśmy oboje. Vaclav zaklął.

– Oni... – Nie dokończyła zdania, bo nagle zobaczyliśmy nadjeżdżającą czarną limuzynę, która z piskiem opon zatrzymała się obok nas. Wyszło z niej dwóch mężczyzn, tych samych, których widzieliśmy wczoraj. Podeszli do mnie, wyciągnęli broń i powiedzieli:

– Pojedzie pani z nami.

– Ale... – Spojrzałam bezradnie na Vaclava.

– Żadnych sztuczek, bo to, co trzymam w ręce, nie jest zabawką, i w razie potrzeby na pewno z tego skorzystamy.

– Czego od niej chcecie? – zapytał Vaclav.

Wanda o mało nie zemdląła, stała tam tylko i, trzymając się ściany, ciężko oddychała, ponieważ jeszcze nie doszła do siebie po biegu.

Jeden z mężczyzn zrobił parę kroków w stronę auta i otworzył drzwi.

– Proszę wsiadać, szkoda czasu.

Rzuciłam przestraszone spojrzenie na Vaclava i Wandę i poszłam w kierunku pojazdu.

– Gdzie ją wieziecie? – Vaclav zaciskał pięści, ale był

w tym momencie bezsilny, o czym wszyscy dobrze wiedzieliśmy.

– Nie twoja sprawa – odpowiedział bandzior.

– Właśnie, że moja!

– Ale to nie twoja żona! Więc się nie przejmuj.

Wsiadłam do środka. Drzwi się za mną zatrzasnęły. Jeden z mężczyzn usiadł za kierownicą, drugi również zajął miejsce. Trzasnął drzwiami. Uśmiechnął się do mnie i powiedział do współnika:

– Ruszaj!

Rzuciłam ostatnie przerażone spojrzenie na dwójkę ludzi stojących przed hotelem, zanim zniknęli mi z oczu.

ROZDZIAŁ 11

W domu



Podróż trwała cztery godziny. Przez ten czas wymyślałam tysiące sposobów ucieczki i jednocześnie wyobrażałam sobie, co teraz robią Vaclav z Wandą. Wreszcie furgonetka wjechała przez bramę i zatrzymała się przed okazałym domem. Wyszłam z auta i zadarłam głowę. O matko, pomyślałam, czyj to dom?

Luksusowa willa stała przede mną jak jakiś nowoczesny, kolejny cud świata. Trzy piętra, a każde z nich miało kształt sześcianu. Spiętrzone jeden na drugim, wyglądały, jakby je tak ułożono przypadkiem. Pierwsze piętro zbudowano klasycznym sposobem, ale dwa kolejne były całe ze szkła. Z prawej strony na drugim piętrze stała ogromna czerwona donica, z której wyrastała wysoka palma, przebijająca się przez trzecią kondygnację i wyrastająca ponad dach. Do drzwi wejściowych prowadziła aleja drzew wzdłuż żwirowej ścieżki. Dom był otoczony wysokim, kamiennym

murem z bramą strzeżoną przez kamery. Ogromny ogród pełen był barwnych kwiatów oraz pomników nimf i innych mitologicznych bóstw.

– Gdzie jesteśmy? – zapytałam dwóch mężczyzn, ale wtedy otworzyły się drzwi i pojawił się w nich nie kto inny, tylko mój mąż.

– Marlena! – Podszedł do mnie i objął mnie ramionami.
– Dobrze, że przyjechałaś.

Nie znalazłam się tu z własnej woli i musiał o tym doskonale wiedzieć, ale wolałam tego nie komentować.

Kiełbasa pstryknął palcami i faceci zniknęli z tyłu domu, pozostawiając nas samych.

– Mam nadzieję, że podróż minęła spokojnie?

– Tak, dziękuję – wyjąkałam niepewnie.

Jego ręka spoczęła na moich plecach i weszliśmy do domu, gdzie o mało nie zemdlałam z wrażenia, widząc prowadzące na górę marmurowe schody ze złoconymi poręczami. Rozwidlały się już na samym początku, zataczając koło, pośrodku którego stała prawie czterometrowa naga Afrodyta. Dom lśnił czystością, a obrazy wiszące na ścianach dodawały mu uroku.

– Zaprowadzę cię do twojego pokoju. Odświeżysz się po podróży, a potem spotkamy się tu, w salonie.

Pozwoliłam się zaprowadzić, ponieważ nie wiedziałam, jak trafić we wskazane miejsce i które z mijanych drzwi są tymi właściwymi. Czułam się tu obco i nie na miejscu, ale stylowy dom jednak miał coś w sobie, to musiałam przyznać.

– Kto zaprojektował ten dom?

- Wynajęliśmy najlepszego architekta, kochanie, nie pamiętasz? Oczywiście, że nie – roześmiał się. – Zapomniałem, ty przecież straciłaś pamięć. Uparłaś się na Afrodytę, a ja na obrazy.

Przyjrzałam się nagim piersiom stojącego posągu, nic jednak nie powiedziałam. Skąd mogłam wiedzieć, jakim człowiekiem byłam, kiedy tu mieszkałam?

Przekroczyłam próg pokoju. Mąż pocałował mnie w czoło i, wychodząc, zamknął za sobą drzwi. Usiadłam na skórzanej sofie i rozejrzałam się dokoła. Ściany oczywiście składały się z wielkich szyb, nad którymi znajdowały się karnisze z ogromnymi kotarami, zasłaniającymi dwie z nich. Wszędzie rosły kwiaty. Były tu również ogromny telewizor i półka z książkami. Zauważyłam dwoje drzwi. Jedne prowadziły do łazienki, drugie do garderoby. Jedna ze ścian pokoju okazała się przesuwającym oknem, przez które mogłam zobaczyć tylną część domu, z basenem.

Dom w Warszawie, bo to musiał być ten dom, okazał się właściwie nowoczesną, luksusową twierdzą. Mur otaczający go ze wszystkich stron na wysokość trzech metrów nie pozwalał nikomu niepowołanemu spojrzeć do środka, no chyba że śmiałek wspiałby się na drzewo.

Powoli zasunęłam kotary i przeszłam do łazienki. Zdjęłam z siebie ubranie i weszłam pod prysznic. Puściłam wodę i zamknęłam oczy w przypływie błogości. Zetknięcie wody ze skórą było przyjemne, dzięki temu na chwilę rozmarzyłam się i zapomniałam o całym świecie.

Kiedy otworzyłam oczy, spojrzałam w twarz potwora

i ze zgrozy głośno krzyknęłam, wpadając na mokrą ścianę za mną. Zaalarmowany tym wrzaskiem do łazienki wpadł mój mąż.

– Co się stało?

Niezdolna do wypowiedzenia słowa wskazałam na to, co stało przede mną. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę ze swojej nagości i starałam się pospiesznie zakryć rękami.

– Co ona ci zrobiła?

Mąż podszedł do stojącego dziwactwa i złapał je za ramię.

– Ten Ten nic nie zrobić pani. Ten Ten tylko przyjąć się przywitać.

– Przeraziłaś ją pewnie tym swoim szpetnym wyglądem. Nie powinnaś tu wchodzić bez pytania.

– Ten Ten zawsze dawać ręcznik pani po kąpieli.

– Ale teraz twoja pani straciła pamięć i cię nie poznaje. Wracaj do swoich obowiązków! – Wypchnął ją z łazienki.

Kiedy zostaliśmy sami, zapytałam drżącym głosem:

– Co... kto to był?

– To nasza służąca, Ten Ten. Pochodzi z Chin.

– Wygląda...

– ...jak maskara, tak. Ale to ty zdecydowałaś, że ma z nami zostać. Ja nie chciałem jej zabierać.

– Nie rozumiem.

– Znaleźliśmy ją podczas naszej miesięcznej podróży poślubnej po Chinach.

Rodzina trzymała ją w klatce. Czasami, kiedy pojawiali się jacyś zabłąkani obcokrajowcy, jak my, za pieniądze pokazywano im potwora. Odmówiłaś, ale ja już im

zapłaciłem i poszliśmy popatrzeć. Na jej widok rozpłakała się, a kiedy wracaliśmy, zapłaciliśmy za nią rodzinie spore pieniądze i tak przyjechała z nami. Zamierzałaś jej dać wolne życie, ale Ten Ten nie chciała o tym słyszeć. Wolała ci służyć, więc pozwoliłaś jej zostać w domu.

– Ale... – Nadal byłem w szoku. – Ona ma przecież kopyta!

– To nie kopyta, tylko zniekształcone stopy. Ukształtowane tak przez krępowanie. Od dziesiątków lat już się go nie praktykuje w Chinach, bo prawo tego zakazuje, ale jak sama widzisz, nadal zdarzają się wyjątki.

– To straszne...

– Możliwe, ale już nic nie da się z tym zrobić.

Stałam tak osłupiała dobrą chwilę, zanim dotarło do mnie, co powiedział. Wreszcie poczułam się niezręcznie, więc poprosiłam:

– Zostaw mnie na chwilę samą, potrzebuję się ubrać.

– Dobrze, przyjdź potem do kuchni. Schodami w dół, a potem w prawo.

Skinęłam głową i odszedł. Pospiesznie wyszłam spod prysznicza i włożyłam na siebie nowe ubranie z półki. Nadal byłem zaszokowana tym, co widziałam. Ale już się uspokoiliłam i wyrzucałam sobie w myślach, że nie powinnam robić takich scen. Biedna Ten Ten, co sobie o mnie pomyśli?

Zeszłam na dół. W domu grała cicho jakaś muzyka, co bardzo mi się podobało. Jeżeli mój mąż naprawdę jest mafiosem, można to poznać chyba tylko po jego bogactwie. O ile to wszystko jest kupione za jego

pieniądze. Bo ja przecież też należałam do zamożnych osób, więc kto wie, czy nie wydałam pieniędzy na ten dom ze swojego konta.

Bez problemu znalazłam kuchnię. Siedziała w niej Ten Ten, skulona na krześle i cicho popłakująca. Mój mąż stał oparty o ścianę obok długiego na jakieś dziesięć metrów stołu, zastawionego świeżymi kwiatami, kawą i jedzeniem. Miał skrzyżowane nogi i palił swoje ulubione cygaro. Na głowie, co bardzo mnie zdziwiło, miał kapelusz. W domu?

Najpierw podeszłam do Ten Ten.

– Przepraszam cię za swoją reakcję, Ten Ten. Nie chciałam cię przestraszyć, ale ostatnio choruję i moja głowa nie pracuje tak, jakbym sobie tego życzyła.

Służąca nadal pochlipywała. Wzięłam ją za jej powykręcaną rękę i ucisnęłam lekko.

– Już wszystko w porządku, dobrze? Znowu będzie jak dawniej.

Wreszcie kobieta spojrzała na mnie. Miała ciepłe i dobre oczy, ale jej twarz za dnia mogła wywołać zawał serca nawet u zdrowego człowieka. Cała skóra wydawała się jakby poparzona, usta miała obwisłe, a zęby nierówne i pożółkłe. Wyglądało to tak, jakby ktoś wylał na nią żrący kwas. Na szczęście nie uszkodziło to jej oczu. Zerknęłam jeszcze pospiesznie na jej małe stópki, na których miała specjalne chińskie buciki ze złotawym haftem, i przebiegłam dreszcz. Biedna kobieta, pomyślałam, i zalała mnie fala złości na ludzi, którzy byli zdolni do czegoś takiego.

– Ten Ten szczęśliwa, że pani wróciła do domu –

pociągnęła nosem.

– Ja też jestem szczęśliwa – powiedziałam, aczkolwiek trochę niepewnie, ponieważ do szczęścia było mi daleko. Nadal wisiała nade mną groźba, że nie dożyję jutrzejszego ranka.

– Ten Ten zrobić dla pani herbatę, taką, jaką pani lubić.

Skinęłam głową i podziękowałam jej, a następnie usiadłam za stołem, gdzie czekała już na mnie zastawa i wazon z kwiatami oraz mąż, który zajął miejsce dość daleko, co akurat mi odpowiadało, ponieważ jedząc, nie chciałam patrzeć mu w oczy.

Wkrótce służąca przyniosła mi herbatę, dzięki której zrobiło mi się cieplej w żołądku i na sercu. Nie wiem, co było w środku, ale smakowała wyśmienicie. Powiedziałam to na głos.

– Ten Ten zaparza najlepsze chińskie herbaty – ucieszyła się kobieta, uśmiechając się, co wyglądało raczej, jakby się skrzywiła.

– Dziękuję.

Zjadłam stek z tuńczyka w sezamie z jakimś bliżej nieokreślonym sosem i sałatkę z zielonego groszku w pysznym sosie cytrynowym z nutką chili.

– Może pójdziemy na taras? Napijemy się wina?

Zgodziłam się i zaczęliśmy się piąć po schodach na drugie piętro, a następnie na trzecie, skąd prowadziły schody na dach domu. Zaparło mi dech w piersiach, tak piękny widok rozpościerał się z tego miejsca na całą okolicę. Usiadłam wygodnie w miękkim fotelu. Wiał delikatny wietrzyk, co było bardzo przyjemne. Wokół nas

falowały białe zasłonki, rozmieszczone na całym tarasie.

Mój mąż nalał wina do kieliszków.

– Za twoje zdrowie – powiedział i zbliżył swój kieliszek do mojego.

Skinęłam mu głową i upiłam trochę wina. Jak wszystko w tym domu, również wino było perfekcyjne, co chyba nie powinno było mnie dziwić.

– Oglądałam wiadomości – wypaliłam, zanim pomyślałam.

Popatrzył na mnie uważnie. Przed chwilą ściągnął marynarkę i miał na sobie tylko doskonale skrojoną niebieskawą koszulę, mocno opinającą muskularne ciało i uwydatniającą dobrze uformowane mięśnie. Zauważyłam też fragmenty tatuaży widoczne spod ubrania.

– To dobrze. Obawiałem się, że coś ci się mogło przytrafić w tym stanie.

– W tym stanie?

– No tak. Ostatnio borykałaś się z wieloma problemami naraz, brałaś leki uspokajające, często dochodziło między nami do spięć i wybuchałaś nieoczekiwanym gniewem. Groziłaś nawet, że się zabijesz...

Zastygłam w bezruchu.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. – Założył nogę na nogę i dolał sobie wina. – W ostatnim czasie zmieniłaś się bardzo.

– A czy teraz wyglądam tak samo?

– Nie. Inaczej.

– Może dlatego, że nie biorę leków?

– Nie wiem, ale jeśli ich nie bierzesz, to chyba nie jest

dobrze...

– Na razie czuję się nieźle.

– Pomimo wszystko umówię cię na spotkanie z lekarzem.

Powinien cię zbadać specjalista.

– Przecież czuję się dobrze.

– Pamięć jednak straciłaś. Musisz być pod opieką lekarzy, nie ma innego wyjścia. Chcę dla ciebie jak najlepiej, przecież wiesz.

Przełknęłam ślinę. Wydawał się taki miły, męski i władczy jednocześnie, że nie miałam problemu, by mu zaufać. Jednak z drugiej strony musiałam wierzyć Wandzie, kiedy mówiła mi, że ten mężczyzna chce mnie zabić. Czy normalny facet posyłałby po mnie ludzi z pistoletami?

– Dlaczego od razu nie wróciłaś do domu? – zadał pytanie.

– Nie wiem. Nie wiedziałam, co się dzieje, a potem...

Ucichłam. Co mu miałam powiedzieć? Że bałam się o swoje życie? Co było lepsze – udawać głupią czy też chcieć dowiedzieć się więcej i nie ukrywać prawdy?

Postanowiłam trochę zaryzykować.

– Właściwie...

– Tak? – Nachylił się bliżej mnie.

– W tym szpitalu działy się jakieś dziwne rzeczy...

Uważnie go obserwowałam. Zachowywał kamienną twarz i właściwie nic nie zdradzało jego niepokoju, oprócz tiku pod okiem, który udało mi się zauważyć.

– To ciekawe – powiedział, udając obojętność. – A co to były dokładnie za dziwne rzeczy?

Czy jego głos się zmienił, czy tylko mi się wydawało?

– Umierali tam ludzie.

Rozszerzył oczy ze zdziwienia, a potem nagle odchylił się do tyłu i wybuchnął śmiechem. Kiedy jednak spojrzął na mnie, jego oczy pozostały chłodne, uśmiech nie dotarł do nich, a jedynie wykrzywił usta.

– W szpitalu zdarzają się takie rzeczy, kochanie. Nie wszyscy mają pisane długie życie.

Dokładnie tak, szepnęłam w duchu. A ty dobrze o tym wiesz.

– Rozumiem. Dlatego ja... bałam się, że ja też... i dlatego... rozumiesz?

Znowu się roześmiał.

– Bałaś się, że umrzesz w szpitalu? Cała Marlena! Trumny sprzedajesz i jesteś na rynku starym wygą, ale jak przychodzi co do czego, to na powrót stajesz się tamtą Marleną, którą kiedyś poznałem.

Przysłuchiwałam się jego śmiechowi i lodowaciałam. Coraz bardziej wyczuwałam w nim nieszczerłość.

– Nic na to nie poradzę... – Musiałam coś powiedzieć, zrobić z siebie wariatkę, aby jakoś wyjść z tej sytuacji.

– Dobrze. Ale jak widzisz, jesteś cała i zdrowa.

– Na szczęście tak.

Kątem oka zauważyłam jakiś ruch. Zerknęłam w tamtą stronę i zobaczyłam Ten Ten znikającą za rogiem. Czyżby stała tam i podsłuchiwała?

Po wypiciu lampki wina robiłam się senna. Ziewnęłam.

– Jestem zmęczona. Pójdę chyba na chwilę odpocząć.

– Jak wolisz. Przy okazji – nie będzie mnie na kolacji. Mam pewne ważne spotkanie, którego niestety nie mogę

przełożyć. Wrócę późno wieczorem. Zobaczymy się więc na śniadaniu. W porządku?

– Dobrze.

Odprowadził mnie do mojego pokoju.

– Odpoczywaj.

– Dziękuję.

Zamknęłam za sobą drzwi i usiadłam na łóżku. Zdjęłam buty i położyłam się. Kim ty jesteś?, zastanawiałam się. Nie doszłam do żadnych wniosków, bo po chwili już smacznie spałam.

ROZDZIAŁ 12

Podśluchana rozmowa



Przebudziłam się. Za oknem zapadała ciemność. Już miałam wstawać, kiedy w pokoju wyczułam czyjąś obecność. Krzyknęłam, łapiąc się odruchowo za serce.

– To tylko Ten Ten – usłyszałam słowa dochodzące z kąta. – Pilnuje.

– Mnie pilnujesz? – zdziwiłam się, dziękując Bogu, że to tylko ona, a nie jakiś morderca.

– Tak. – Skinęła głową.

– Czemu, na miłość boską?

– Żeby się pani nic nie stało. Ten Ten nie chce, żeby jej pani znowu zniknęła. Ten Ten się martwić.

Czy ona musi być tak potwornie ohydna? Nie mogłam zrozumieć, co mnie skłoniło, żeby zabierać ją z Chin do swojego domu! Miałam nadzieję, że kiedy zapraszałam gości, Ten Ten chowała się w swoim kąciku, bo chyba normalni ludzie nie przeżyliby szoku wywołanego

spotkaniem z nią. Ja sama o mało nie wyskoczyłam teraz ze skóry!

Od razu, jak o tym pomyślałam, zaczęłam wytykać sobie swoje zaściankowe i głupie poglądy. Nie powinnam być taka okropna i niesprawiedliwa. Jak widać, ta kobieta darzy mnie wielką sympatią i jest mi oddana. Uroda nie świadczy o charakterze człowieka, a ja chyba nie należę do osób powierzchownych?

– Powinnaś spać! – wyszeptałam, zbliżając się do niej na palcach. – Przecież nie możesz tu przesiedzieć całej nocy.

– Ostatnim razem Ten Ten nie siedzieć i pani zniknąć z domu – powiedziała i założyła ręce na piersiach.

– Dzisiaj zostanę w domu, obiecuję.

Służąca tupnęła swoją malutką nóżką.

– Nie. Ten Ten siedzieć.

– Jak chcesz – westchnęłam. – Ale idę teraz do kuchni, bo chce mi się potwornie pić.

– Ten Ten też iść i przygotować chińską herbatę.

Wiedziałam, że opór na nic się zda, więc zgodziłam się i nie protestowałam więcej.

– Dobrze, ale pod jednym warunkiem – powiedziałam.

Spojrzała na mnie z ukosa.

– Zrobisz dwie herbaty i wypijemy je razem.

Nagle w jej oczach błysnęły łzy. Skinęła głową i ruszyła przed siebie.

Dom skąpany był w świetle przygaszonych lamp. Było przyjemnie i romantycznie ciemno, ale nie na tyle, by nie widzieć dokładnie całego wnętrza. Podobał mi się wystrój i tutejsza atmosfera. Idąc po schodach, pomyślałam,

że nigdy w życiu nie wpadłoby mi do głowy sądzić, że mieszka tu mafioso z prawdziwego zdarzenia. A może też i morderca, dodałam i przeszedł mnie dreszcz.

W kuchni również paliło się przytłumione światło. Usiadłam na krześle barowym obok wielkiego stołu, stojącego w pomieszczeniu, i z przyjemnością spoglądałam na krzątającą się wokół Ten Ten. Ta raz-dwa zagotowała wodę, wyciągnęła parę dzbanków, jakieś zioła i herbatki i zaczęła je mieszać, przesiewać, zalewać i cedzić.

Nagle poczułam potrzebę pójścia do toalety.

– Zaraz wrócę – poinformowałam kobietę i wyszłam.

Za progiem stwierdziłam, że nie wiem, gdzie jest łazienka. Zaczęłam błądzić po korytarzu i po kolei ostrożnie zaglądać do pomieszczeń, ale nigdzie nie znalazłam tego, czego szukałam. Idąc po białym, puszystym dywanie, doskonale tłumiącym odgłos kroków, zatrzymałam się, gdy usłyszałam dochodzący z pobliskiego pokoju głos. Drzwi były niedomknięte, a kiedy zerknęłam przez lekko uchyloną szparkę, zauważyłam męża stojącego tyłem do wejścia, z twarzą zwróconą do ciemnego okna i komórką przytkniętą do ucha.

Serce zaczęło mi bić jak oszalałe. Zamarłam, starając się nie wykonać żadnego nieodpowiedniego ruchu. Jeżeli mnie tu zauważy, nie wiem, jak zareaguje.

Choć drżałam ze zdenerwowania, przyłożyłam ucho bliżej drzwi.

– Nasz ptaszek wpadł do klatki. Wszystko idzie zgodnie z planem – mówił. – Obawiałem się większych komplikacji.

Przełknęłam ślinę, co zabrzmiało w moich uszach jak

wystrzał z armaty.

– Nie martw się, kochanie, poczekaj jeszcze chwilę. Niedługo będziemy razem. Obiecuję ci.

Jego głos brzmiał ochryple i nisko.

– Nie obawiaj się. Reszta pójdzie gładko. To tylko kwestia godzin.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Oczywiście rozmowa dotyczyła mojej osoby. Przygotował jakiś szatański plan pozbycia się mnie i nie ulegało wątpliwości, że nie dożyję następnego dnia.

– Nie wydaje mi się... – zamilkł na chwilę. – Nie. Tym razem się nie wywinie.

Nagle zapragnęłam stamtąd uciekać, i to w szaleńczym pędzie. Instykt nakazywał mi brać nogi za pas.

– Oczywiście, kotku. Po wszystkim pojedziemy na twoje wymarzone Bali...

Odwrociłam się i pobiegłam na palcach z powrotem do kuchni. Jeszcze chwilę temu odechciało mi się wszystkiego, nawet herbaty, ale kiedy poczułam zapach świeżo zaparzonych ziół, nie mogłam odmówić.

– Pyszna! – zachwycałam się z mocno bijącym w piersi sercem. – Jesteś mistrzynią w przygotowywaniu herbaty. Teraz doskonale rozumiem, dlaczego cię tu zabrałam. Mieć cię w domu to znaczy posiadać skarb.

Ten Ten uśmiechnęła się do mnie serdecznie i skłoniła głowę. Biła z niej taka pokora, że wydawało mi się to aż niewłaściwe, ale wychowano ją w zupełnie innym świecie, więc nie powinnam się dziwić.

Nagle do kuchni wkroczył mój mąż. Na jego widok

wypuściłam z rąk kubek z herbatą, tak się przestraszyłam niespodziewanego wejścia. Patrzyłam, jak gorąca ciecz spływa ze stołu na podłogę. Ten Ten od razu rzuciła się do sprzątanania.

– Nie śpisz?

– Miałam zły sen – skłamałam.

– Mogę się dołączyć? – Wskazał na stojący na stole czajnik.

– Proszę.

Usiadł, a Ten Ten nalała nam herbaty.

– Taka brzydka, a taką dobrą herbatę robi – powiedział, kręcąc głową. – Nie rozumiem.

– Uroda chyba nie ma z tym nic wspólnego?

– Jednak gdyby zaparzała ją kobieta wielkiej urody... rozumiesz?

– Nie. – Pokręciłam głową i wezbrała we mnie złość. Nagle wypaliłam, nie zastanawiając się nad tym, co robię: – Powinieneś coś o tym wiedzieć.

Popatrzył na mnie, a jego oczy błysnęły złowrogo, czego nie potrafił zamaskować.

– Do czego pijesz?

Poczułam chłód w piersiach.

– Twoja przyjaciółka też nie należy do piękności, a jednak ci się podoba.

– Jaka przyjaciółka? – Jego głos stał się lodowaty. Gdzie się podział kochający mąż?

– Chyba nie muszę odpowiadać na to oczywiste pytanie? Wstał.

– Nic się nie zmieniłaś, prawda?

Milczałam.

– Pamela z tą sprawą nie ma nic wspólnego.

– Wydaje mi się, że wprost przeciwnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że ma większe jaja od twoich.

Podszedł do mnie bardzo blisko. Na swojej skórze, tuż przy szyi, czułam jego oddech.

– Co ty możesz wiedzieć o moich jajach? – wyszeptał.

– Może więcej, niż ci się wydaje? – odparowałam.

– Na twoim miejscu uważałbym na to, co mówisz, kochanie. Mężczyźni nie lubią wygadanych kobiet, nie zapominaj.

– Dziękuję za przestrożę. I ja również mam jedną dla ciebie: nie wszystkie kobiety są głupie, niektóre potrafią też myśleć!

Zmierzył mnie nieprzyjemnym wzrokiem.

– Powinnaś pójść spać. Jesteś zmęczona, a wtedy zawsze robią ci się wory pod oczami.

Wstałam i spojrzałam mu w oczy. Oboje wiedzieliśmy, że w tym momencie karty zostały wyłożone na stół. Opadły zasłony i nie było już potrzeby odgrywania przybranych na siłę ról.

– Dobranoc.

Skinął głową i odszedł pierwszy, po chwili znikając za drzwiami. Dopiero gdy weszłam do swojego pokoju i usiadłam na łóżku, zaczęłam się bać. Dlaczego nie trzymałam języka za zębami? Czy ja naprawdę zwariowałam? Igrałam z ogniem i niewiele brakowało, żebym się oparzyła. Prędzej czy później będę musiała

ponieść konsekwencje swojej głupoty i niewyparzonej gęby. Serce tłukło mi się w piersi, a w brzuchu ścisnęło, jakby żołądek starał się strawić połknięty kamień.

Nie zasnęłam już do rana. Ten Ten przyszła wkrótce i usiadła na swoim miejscu. Widziałam, jak podrzemuje cicho, i było mi jej żal. Była taka krucha, a jej nóżki tak malutkie, że ogarnęła mnie matczyzna potrzeba opiekowania się tym stworzeniem. Obudziłam ją i wskazałam łóżko, na którym mogłaby się położyć, ale odmówiła.

W pewnym momencie wpadłam na jeszcze jeden pomysł. Pospiesznie zeszłam na dół, otworzyłam drzwi frontowe i zbiegłam po schodach. Przebiegłam alejką do bramy i spróbowałam ją otworzyć. Nawet nie drgnęła. Po chwili pojawiło się dwóch strażników z bronią.

– Czemu ta brama jest zamknięta?

– To dla bezpieczeństwa mieszkańców posiadłości – odpowiedział jeden.

– Proszę ją otworzyć.

– Niestety, nie możemy, proszę pani.

– Jak to nie możecie?

– Pan Kiełbasa zabronił.

– Jestem właścicielką tej posesji! Otwierać!

– Przykro mi. Szef powiedział wyraźnie: nikt nie może wejść na teren posesji i nikt nie może z niego wyjść. Nawet pani.

– To jakieś kpiny czy co? Bawicie się ze mną w pierwszego kwietnia?

– Niestety nie. Wykonujemy tylko swoją pracę.

– Już niedługo, tego możecie być pewni!

Zawróciłam w stronę domu. Mój mąż stał w oknie i uśmiechał się, wzruszając ramionami i bezradnie rozkładając ręce. A niech cię diabli, pomyślałam i weszłam do domu. Jeżeli chcesz ze mną grać w tę grę, to pogadamy inaczej!

Ze złością wspięłam się schodami na górę i runęłam na łóżko. Do diabła! Byłam więźniem we własnym domu! Jak mogłam dać się tak wkręcić, przecież ten chory człowiek nie miał litości i jeżeli ta jego wywłoka Pamela zapragnęła go dla siebie, zabije mnie bez sentymentu. Zresztą, jak się domyślałam, i tak wszystko jest zaplanowane już od dawna. Pewnie nowy dzień da mu możliwości, na które czekał. Na tej cholernej posesji mógł mnie zabić lub więzić do końca życia. Nikt się tu nie przedostanie, żeby mnie uratować czy chociażby pochować w grobie moje ciało. Przeklęty drań! Musiałam jak najszybciej przypomnieć sobie swoje poprzednie życie – bez informacji o własnym ja i tkwiących w zakamarkach mózgu tajemnicach byłam do niczego. Przeraziła mnie trochę ta zmiana mojej osobowości, łaknęłam jego krwi, ale nie mogłam się teraz wycofać. Gdzieś w głębi mnie siedziała ukryta inna osoba, która tylko czekała na wyzwolenie. Więc niechże wyłazi, mówiłam do siebie w myślach, i niech pokaże wreszcie, na co ją stać!

Złapałam leżącą na łóżku poduszkę i rozszarpałam ją paznokciami. Pierze wyleciało i rozniosło się po całym pokoju. Waliłam poduszką, gdzie się dało, aż wreszcie ległam zmęczona na posłanie. Leżałam tak i patrzyłam

na opadające, przypominające śnieg, płatki.

Nie potrafiłam zmrużyć oka.

Pierwsze promienie słońca przedostały się przez okno przed szóstą. Wstawał nowy dzień. Prawdopodobnie mój ostatni.

ROZDZIAŁ 13

Sytuacja bez wyjścia



Dzięki i Nuka nie odstępowały mnie na krok. Śmiałam się, starając się je odgonić. Lizały mnie, gdzie tylko się dało, i czasami czekały radośnie.

– Moje kochane – wołałam uszczęśliwiona. Nie ulegało wątpliwości, że psy należały do mnie i za mną przepadały. Jak mogłam zapomnieć o takich maleństwach? A jednak do wczoraj nie pamiętałam o ich istnieniu.

Norbert zatrzymał się przed otwartymi drzwiami. Stał tak, wpatrując się w psy z dziwnym wyrazem twarzy, a następnie poszedł dalej.

Zostawiłam psiaki i zeszłam do kuchni, bo zaczynało mi już nieprzyjemnie burczeć w brzuchu. Zabrałam się za przygotowywanie jedzenia, ale zaraz, nie wiadomo skąd, pojawiła się służąca i odciągnęła mnie od blatu.

– Ten Ten zrobi śniadanie – przekonywała, ale ja nie chciałam się poddać. Postanowiłam być nieugięta.

– Nie. Będiesz siedziała, a ja dla ciebie zrobię śniadanie.

Skrzywiła się, co miało oznaczać, że się uśmiecha. Przeszły mnie dreszcze, bo nie potrafiłam jeszcze przyzwyczać się do tej szpetnej twarzy. Postanowiłam w duchu, że muszę jak najprędzej sprawdzić stan swojego konta bankowego i, jeśli będę miała wystarczające pieniądze, sfinansować jej kurację u lekarza, który mógłby dać kobiecie nadzieję na nową twarz. Każdy człowiek powinien mieć szansę na szczęśliwe życie. A oblicze, które ona musiała nosić, nie mogło przynieść jej nic dobrego.

– Ten Ten nieprzyzwyczajona do siedzenia. Ona lepiej zrobić śniadanie – protestowała jeszcze.

– Basta! – powiedziałam do niej, wciskając ją znowu w krzesło. – Siedź! To moja prośba. I rozkaz – dodałam jeszcze na koniec, gdyby nie zechciała usłuchać.

Na szczęście poddała się, a ja zachodziłam w głowę, skąd w niej tyle uporów. Przecież Chińczycy nie należą chyba do tych trudnych, buntujących się obywateli kuli ziemskiej? Wzięłam się do roboty i po paru minutach śniadanie było gotowe, chociaż wcześniej nie wiedziałam nawet, że potrafię gotować.

Kiedy mój mąż wszedł do kuchni i zobaczył talerze z kanapkami z kawiozem, wędzonym łososiem i jajkami na miękko, popatrzył na mnie zdziwiony.

– T-ty umiesz gotować? – zapytał, cofając się o krok, jakby się oparzył albo jakby zobaczył diabła we własnej osobie.

– Jak widać, chyba tak – odpowiedziałam, naciskając przycisk ekspresu do kawy. Czarna jak smoła, przyjemnie

pachnąca ciecz zaczęła spływać do filiżanki.

– Zrobisz też dla mnie?

Skinęłam głową. Postanowiłam udawać, że wczorajszej nocy nie było. Tak czy tak będzie chciał mnie sprzątnąć, więc po co robić sceny? Śmierci tym nie przesunę na później, jedynie przyspieszę. Zresztą chciałam w nim wzbudzić poczucie bezpieczeństwa i spokoju, aby zyskać na czasie i być może znaleźć jakieś wyjście z sytuacji.

Spojrzałam na niego.

– A tak w ogóle to jak ty się nazywasz?

– Norbert przecież.

– Jakoś wyleciało mi z głowy – uśmiechnęłam się sztucznie.

– Jakoś się nie dziwię – dorzucił kąśliwie pod nosem.

Wtedy spostrzegł siedzącą na krześle Ten Ten.

– A po co ta szpetota tu siedzi i słucha? Roboty nie masz? Twoja pani robi śniadanie, a ty siedzisz jak kłoda! Tak się odwdzięczasz za uratowanie życia?

Ten Ten już wstała i zaczęła się kłaniać, przepraszając, kiedy wyszłam z za stołu z kawą i uciszyłam jej lamentowanie.

– Czemu się tak do niej odzywasz? Jeśli nie zauważyłeś, to nie pies, ale człowiek stoi przed tobą.

– To służąca! – warknął z pogardą.

– A teraz ja cię obsługuję, więc pewnie też nią jestem?

Postawiłam jego kawę na stole. Nagle strasznie zaczęła mnie boleć głowa, ale starałam się nie dać tego po sobie poznać. Uwierały mnie szpilki, w których chodziłam, i w ogóle byłam jakaś nie w sosie.

– Ty jesteś... moją żoną. – Powiedział to, jakby się czymś zakrztusił, a jeszcze nawet nie napił się kawy.

– Poprosiłam ją, żeby usiadła, bo chciałam przygotować dla niej śniadanie.

Zaśmiał się szyderczo.

– Ty nigdy nie robisz śniadań. Zresztą, do dziś nawet nie wiedziałem, że potrafisz gotować. Byłem pewien na sto procent, że nie wiesz, jak się otwiera lodówkę.

Zmrużyłam oczy.

– Jak długo się już znamy?

– Parę lat.

– I w ciągu tego czasu nie poznałeś mnie tak naprawdę? A może ja nie chciałam, abys mnie poznał? Czy zdajesz sobie sprawę, że może być jeszcze wiele rzeczy, których o mnie nie wiesz? I że to było z twojej strony bardzo nieroztropne wpuszczać mnie do swojego życia, nie wiedząc, kim jestem?

– Teraz cię poznaję – powiedział, krzywiąc się. – Właśnie taka zjadliwa bywałeś w ostatnich dniach, kiedy...

Nie wytrzymałam.

– Kiedy co? Kiedy zacząłeś mnie z nią zdradzać?

– Nie rób scen!

– To ty nie rób scen!

– To, że jesteś chora, nie oznacza jeszcze, że ujdzie ci na sucho takie zachowanie!

– A co mi zrobisz? Ukarzesz mnie?

Nagle spojrzałam na jego dłoń.

– Gdzie masz obrączkę?

Zerknął na palec.

– Musiałem gdzieś zgubić... – wymamrotał, odwracając twarz.

Westchnęłam. Minęła mi ochota na sielankę. Wzięłam się pod boki.

– Więc co ze mną teraz będzie?

– To zależy od ciebie.

Zaczęło się we mnie gotować. Być może mogłabym przełknąć jakoś jego zachowanie w stosunku do mnie, ale byłam za bardzo zdenerwowana, żeby nad sobą panować.

– Czego chcesz?

– Klucz.

Ten Ten drgnęła i rozlała kawę. Popatrzyłam na nią uważnie, bo wyraz jej twarzy dał mi wiele do myślenia.

– I masz! – uśmiechnął się triumfalnie. – Wylała!

– Zrobię jej nową!

– Marnotrawstwo, ale nie dziwię się, zawsze taka byłaś. Szastałaś moimi pieniędzmi, jak się dało, i...

– Twoimi? O ile wiem, mam sporo własnej gotówki.

– Ale jeszcze większą chcesz wysepić ode mnie, a to ci się nie uda!

A więc wiedziałam o czymś, co mogło go zrujnować, pomyślałam. Tak właśnie musiało być.

Dzięki i Nuka wpadły do kuchni i zaczęły szczekać.

– Czemu uważasz, że chcę te pieniądze dla siebie? Może są mi potrzebne do innych celów?

– Trochę cię poznałem przez ten czas. Jesteś pazerna i łasa na kasę, inaczej nie zrobiłabyś tych głupich reklam, od których cała Polska zwariowała.

– Dzięki nim zarobiłam kupę szmalu – powiedziałam,

aczkolwiek nie wiedziałam, jaka może być prawda. Brnęłam po grząskim gruncie, a pomimo to czułam, że radzę sobie całkiem nieźle. Na razie.

– No właśnie. I jeszcze ci mało.

– Co się stanie, jeśli dam ci ten klucz?

– Spróbujemy dojść do porozumienia. Pozwolę ci odejść i nie będę robił problemów.

Roześmiałam się.

– Ty masz naprawdę niezły tupet! Wiesz co? – zapytałam po chwili, podchodząc do niego bliżej. – Powiedz mi prawdę, chociaż raz w życiu.

– Co chcesz wiedzieć?

Psy zaczęły go łapać za nogawki i ciągnąć, każdy w swoją stronę. Oganiał się, tupiąc nogami, co wyglądało komicznie.

– Dlaczego nie zabiłeś mnie w szpitalu? Przecież miałeś okazję.

– Miałaś nóż w głowie. Od tego się umiera. Pomyśl logicznie. Zresztą, postarałem się, tak na wszelki wypadek, rozumiesz, wysłać do ciebie pewną osobę. Niestety i jej się nie udało, chociaż bardzo w nią wierzyłem.

Popatrzyłam na niego rozszerzonymi oczami. Chyba nie chciał mi wmówić... Nie, w to nigdy nie uwierzę!

– Moja matka? Ale przecież...

– Sama do mnie zadzwoniła. Powiedziałem jej, co ma robić.

– Nie wierzę, żeby matka chciała zabić swoje dziecko!

– Wierz, w co chcesz. Za odpowiednią kasę człowiek zrobi wszystko.

– Ty draniu! – wyszeptałam. Wszystko rozumiałam. Byłam w szoku.

Norbert stał i uśmiechał się, popijając kawę, którą mu przed chwilą zrobiłam. Czemu nie wpadłam na pomysł, by mu coś do niej dorzucić?

– Matka miała być zabezpieczeniem?

– Miała, ale niestety, niezgrabność macie w genach. Nie udało się.

– Gdyby się udało, nie dostałbyś klucza.

– Nikt by nie dostał, nie sądzisz? Nie ma ciebie, nie ma klucza. Sprawa zamknięta.

– A co byś powiedział na takie zakończenie sprawy? – Teraz ja powoli napiłam się kawy. – Umieram, zaś klucz jest w posiadaniu kogoś, kto w razie mojej śmierci przekaze go odpowiednim osobom. No? Jak ci się to podoba?

– Nie zrobisz tego – powiedział groźnie, spoglądając na mnie lodowatymi oczami.

– Dlaczego?

– Bo zabiję twoją tłustą matkę, brata pijaka, głupią koleżankę i tego twojego czeskiego gacha. Ich truchła znajdą w jednej mogile, ale nigdy nie zidentyfikują żadnego z nich. Albo nigdy nie znajdą.

Psy nadal czekały. Wreszcie nie wytrzymał i kopnął jednego, a zaraz potem drugiego. Z piskiem poleciały do przodu i wylądowały na ścianie.

– Cholerne szczeniaki!

Zadrzałam. To był szaleniec i morderca. Byłam zamknięta w złotej klatce, gdzieś w Warszawie, pod lasem, a przede mną siedział człowiek niemający żadnych skrupułów,

idący przed siebie po trupach. Dla niego było obojętne, kogo zabije, kiedy i jak. Jeżeli ktoś mu zagrażał, to po prostu to robił.

Głowa tak bardzo mnie rozboleła, że musiałam usiąść, co odebrałam jako oznakę mojej słabości. Zaczęłam pocierać ręką czoło, ale ból tylko się nasilał.

– Powinnaś leżeć w szpitalu.

– I czekać na śmierć?

Uśmiechnąłem się.

– Lepsze to niż los, jaki dla ciebie przygotowałem. Jeszcze będziesz błagać o litość.

Wstał i zaczął odchodzić. Pobiegłam za nim.

– Dlaczego tak mnie nienawidzisz? Co ja ci zrobiłam? – krzyknęłam, trzymając się framugi drzwi.

– Byłaś zbyt ciekawska, kochanie. Wiele razy mówiłem ci: nie wtrącaj się w moje sprawy! Ale nie. Ty musiałaś wszystko wiedzieć. Za informacje się płaci, pamiętaj o tym. Za zbytnią ciekawość również.

W tym momencie zadzwonił jego telefon.

– Słucham? – powiedział i na chwilę zamilkł. – Tak, jesteś w samą porę. Czas się zabawić.

Mówiąc to, patrzył na mnie. Przeszedł mnie dreszcz i poczułam ściskanie w żołądku. Instykt nakazywał mi uciekać. Nie wiedziałam jednak, jak się wydostać z tego więzienia. Przed bramą stali jego strażnicy z pistoletami, a dom nie miał innego wyjścia, w każdym razie ja o żadnym nie wiedziałam.

– Przyjechał twój doktor. Najwyższy czas, żeby cię obejrzał. Według mnie jesteś bardzo chora. Naprawdę

bardzo, bardzo chora.

Idąc w stronę drzwi, rzucił na podłogę chińską wazę, która musiała kosztować majątek. Naczynie stłukło się w drobny mak.

– C-co ty wyprawiasz?

Odwrócił się jeszcze, ale nie zatrzymał.

– Jesteś chora. Robisz dziwne rzeczy i zachowujesz się histerycznie. Biegasz po domu, rozbijasz, co się da, kopiesz psy... Z tym trzeba będzie coś zrobić.

Zniknął za rogiem, a ja stałam oszołomiona. Zaczęłam szybko oddychać i czułam, jak wzrosło mi ciśnienie. Uginały się pode mną kolana. Dłonie, pocierające czoło, drżały.

W drzwiach pojawiła się Ten Ten.

– Pani musieć uciekać z domu.

– I może jeszcze mi powiesz jak, skoro nie ma stąd wyjścia?

Postanowiłam pójść na górę, do siebie. Kiedy wchodziłam do pokoju, dobiegł mnie z dołu odgłos otwieranych drzwi. Pospiesznie zawróciłam i wyjrzałam zza rogu. Do holu wchodził mój mąż i facet z telewizji, ten, u którego miałam się niby leczyć na ciężką depresję czy co to tam mówił.

– Przejdziemy do salonu. Chińska szkarada zaraz nam przyniesie herbatę.

Ten Ten właśnie przechodziła korytarzem. Mąż pstryknął na nią palcami, a ona skinęła głową i pobiegła do kuchni na małych stópkach.

Weszłam do pokoju i wyjrzałam przez okno. Moje

obawy się potwierdziły, z tego domu były tylko dwa wyjścia: przez bramę główną albo w trumnie. Nigdy w życiu nie przeskoczę tego wysokiego muru.

Co powinnam zrobić? Jak przeżyć swoje ostatnie godziny i do kogo zadzwonić? Nagle oprzytomniałam. Zadzwonić! Tak, przecież mogłam się skontaktować z policją i powiedzieć, co się dzieje. Może istniała szansa, że przyjadą, jeszcze zanim znajdą mnie sztywną i zimną na podłodze, zalaną krwią? Tylko skąd wziąć telefon? Rozejrzałam się dokoła... i nic. Jedyne telefon, jaki miałam, pozostał w mojej torebce, a tej ze sobą nie zabrałam. Tkwiła w hotelu w Wodzisławiu. Po cichu otworzyłam drzwi i zaczęłam przechodzić od pokoju do pokoju w poszukiwaniu aparatu, ale nigdzie go nie znalazłam. Wreszcie odważyłam się zejść do kuchni, gdzie Ten Ten kończyła właśnie przygotowywanie herbaty. Z salonu obok dochodziły mnie zapach palonych cygar oraz męski śmiech. Faceci muszą mieć niezły ubaw, pomyślałam, niby czemu nie, wymyślanie sposobów pozbycia się niewygodnej żony może być naprawdę świetną zabawą.

– Ten Ten, masz może telefon?

Popatrzyła na mnie z powagą.

– Ten Ten nie potrzebuje telefon.

– To może gdzieś w domu jest? Muszę się skontaktować z policją!

Pokręciła głową przecząco.

– W domu nie być telefon. Pan zakazać.

– Do diabła! – zdenerwowałam się. – Wygląda na to, że wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie.

– Ten Ten nie pozwolić, żeby pani się coś stać – uśmiechnęła się do mnie z lisim wyrazem twarzy.

Przyjrzałam się jej szpetnemu obliczu z krzywizną zamiast uśmiechu i zrobiło mi się jej żal. Była na tyle głupia, że nie rozumiała powagi sytuacji. Groziła mi śmierć. W salonie obok dwóch obłąkańców właśnie obmyślało, jak mnie zabić, a ona układała na tacy filiżanki z herbatą, aby przed morderstwem mogli sobie rozgrzać żołądki. Biedna kobieta.

Zamknęłam na chwilę oczy, wciągnęłam powietrze i powoli je wypuściłam. Policzyłam do dziesięciu.

– Dobrze. A czy jest jakieś wyjście na tyły domu? Do ogrodu?

– Tak. Ten Ten pokazać.

Ruszyła pospiesznie przede mną i zaprowadziła mnie do drzwi wychodzących prosto do ogrodu.

Zeszłam ze schodków, a potem przez idealnie skoszoną trawę dotarłam na marmurowe płyty okalające basen. Wokół pięły się róże, rosły jakieś dziwaczne różowe kwiaty, bananowce i palmy większe niż ja. Przecież to wszystko w zimie chyba umiera, pomyślałam, zatrzymując się na chwilę i gapiąc z otwartymi ustami. Nie lepiej było zasadzić choinki? Niby las jest za ogrodzeniem, ale tuje bardziej by się tu nadawały niż palmy. To z pewnością jego pomysł. Chciał się czuć jak hollywoodzki gwiazdor, bydlak jeden!

Ogród był naprawdę wielki i mogłam się w nim spokojnie schować. Gdzieś tam jakieś jezioro, tu wodospad, tam kawałek piaszczystej plaży, ukrytej wśród

wysokich traw. Na końcu znalazłam dwa błakające się po ogrodzie pawie i dwie czarne pумы, na szczęście zamknięte w wielkich i wysokich klatkach.

Rozglądałam się po otoczeniu: mur okalający posiadłość wyglądał na gruby i nie do pokonania, nie było też możliwości, by się na niego wspiąć i go przeskoczyć. Cokolwiek się stanie, jestem tu uwięziona.

Zrezygnowana poszłam jeszcze sprawdzić front domu. Akurat otwierała się brama i pod dom podjechała kolejna czarna, błyszcząca limuzyna. Zatrzymała się dokładnie przede mną. Z auta wyszedł kierowca w garniturze i podszedł do tylnych z drzwi pojazdu. Otworzył je. Najpierw pojawiło się żyrafie kopyto, czyli noga ze szpilką długą chyba na pół metra, w ciemnych rajstopach, potem druga, wreszcie ukazało się szerokie rondo czarnego kapelusza i twarz ukryta za woalką. W końcu stanęła przede mną kobieta w obcisłym, acz dobrze skrojonym i idealnie dopasowanym stroju. Umalowane na czerwono usta jako jedyne zdawały się żywe w całej tej sztucznej postaci.

Kobieta uśmiechnęła się, ukazując piękne białe zęby, i zamrugała oczami. Och tak, miała długie, ale sztuczne rzęsy, poznałam od razu. Mnie nie oszukasz!, dodałam w myślach. Wyciągnęła rękę, pochrząkując. Kierowca od razu pobiegł na tył limuzyny i po chwili przytargał ze sobą ogromny bukiet czarnych róż, przewiązanych ciemnobłękitną wstążką.

Woalka przy pomocy drugiej ręki uniosła się w górę. Patrzyła na mnie kochanka mojego męża. Prawdziwa

madonna z uśmiechem mówiącym: popatrz, jaka jesteś biedna i mała, nie dorastasz mi do pięt.

Skurczyłam się w sobie. Stałam, patrząc na nią z niedowierzaniem, nie wiedząc, jak się zachować i jaki wykonać ruch. Tak, była chuda, i tak, była również brzydka, tak mi się w każdym razie wydawało. Ale, niestety, biła od niej jakaś siła. Nogi się pode mną ugięły, więc pospiesznie oparłam się ręką o auto, mając nadzieję, że nie zauważy strużki potu ściekającej mi z czoła.

– Uważaj, żebyś nie zostawiła śladu, kochana – odezwała się Pamela. Nadal nie rozumiałam, dlaczego nosi takie głupie imię. Do Pameli było jej naprawdę daleko. – Bąbelek nie lubi, kiedy brudzi mu się auto.

Pospiesznie odsunęłam rękę, ale i tak zauważyłam na karoserii lekki ślad. Bąbelek od razu rzucił się do polerowania, obrzucając mnie złym spojrzeniem.

Cała ta sytuacja stawała się nierealna. Czy ja już nie żyję?

– Ch-chyba się nie znamy? – zapytałam drżącym głosem, przeklinając się w duchu za swoją słabość.

– Nie, moja droga. I bardzo mi przykro, że poznajemy się w takich okolicznościach.

Może ona jednak nie jest taka zła, przebiegło mi przez głowę. Może ma odrobinę klasy i serca? Wiadomo przecież, że szmatławce wszystko przeinaczają i robią z igły widły.

– Tak, mnie... mnie też przykro.

Uśmiechnęła się do mnie jak matka do chorego dziecka.

– Proszę – powiedziała, wręczając mi kwiaty.

– To dla mnie? – zapytałam zdziwiona, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Tak, kochana, to dla ciebie. W końcu przyjechałam tu z twojego powodu.

Już wyciągałam ręce w stronę kwiatów. Jak to miło z jej strony.

– Nie wiedziałam... Ja...

Wcisnęła mi kwiaty do rąk.

– Mam nadzieję, że twój pogrzeb odbędzie się prędko. Mam jeszcze wiele spraw do załatwienia.

Otworzyłam usta ze zdziwienia. Musiałam wyglądać komicznie, bo roześmiała się perliście, jak słodka idiotka z filmów, co zupełnie zniweczyło jej wcześniejszą próbę bycia miłą.

Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Powinnaś włożyć na siebie coś czarnego. Śmierć w tej sukience chyba nie będzie w dobrym tonie.

Odwróciła się i weszła do mojego domu.

Ze złości rzuciłam bukietem czarnych róż przed siebie. Kwiaty spadły na ziemię, rozsypując wokół swoje ciemne płatki.

Rosła we mnie wściekłość tak wielka, że gdyby ta żyrafa nie schowała się w domu, rozszarpałabym ją zębami. Jak śmiała! Kim była? Co sobie wyobrażała? W moim domu? Mój pogrzeb? Już prędzej spotkamy się na twoim, pogroziłam jej w duchu.

Serce biło mi jak oszalałe. Piers unosiła się i opadała, a nozdrza rozszerzały się w celu złapania większej ilości świeżego powietrza. Cofnęłam się i znowu oparłam o pojazd. Bandzior syknął, ale zmierzyłam go takim wzrokiem, że zatrzymał się w połowie drogi i nic nie

powiedział.

Muszę się uspokoić, pomyślałam, bo jeśli nadal będę się tak denerwowała, to szybko skończę na cmentarzu. Zaczęłam oddychać spokojniej. Tak, już lepiej. Teraz wracam do siebie. Jestem Marleną. W swoim domu. I nikt nie będzie mi się tu panoszył, a już na pewno nie ta zimna suka.

Już ja ci pokażę, pomyślałam, obmyślając sto sposobów, jak ją sprzątnąć z tego świata.

ROZDZIAŁ 14

Torebka z nieba



Ten Ten wyszła z domu z trzema filiżankami herbaty i podeszła do strażników. Zignorowałam ją, idąc przed siebie jak otępiała.

Otrząsnęłam się z szoku dopiero wtedy, kiedy znowu dotarłam do ogrodowego basenu. Popatrzyłam na stojące w wazonie na stoliku kwiaty i ze wstrętem wrzuciłam je do wody. To jakaś paranoja, myślałam. To mi się tylko śni, nie dzieje się naprawdę. Coś takiego nie zdarza się nawet w książkach ani w zwariowanych filmach. Albo może zdarza się, ale tam ma prawo, tutaj nie.

Usiadłam na jednym z krzeseł, nalałam sobie brandy do kieliszka, który stał przygotowany na tacy. Napiłam się i odetchnęłam.

Oszalałam? Czy to, czego świadkiem byłam przed chwilą, miało jakiś sens i zdarzyło się naprawdę? Nie chciałam przyjąć tego do wiadomości, jednakże bukiet czarnych róż

leżących przed wejściem mówił, że jednak nie byłam szalona. Właśnie teraz w moim domu siedziały trzy osoby pragnące mnie uśmiercić. Obmyślały plan pozbycia się mnie. Sama zaś byłam uwięziona w tej posiadłości i nie miałam szans na wydostanie się. Nie mogłam nigdzie zadzwonić i pozostawało mi jedynie poddać się temu, co przeznaczył mi los.

Napiłam się znowu. Głowa mniej bolała. Miałam nadzieję, że ból już nie wróci i dojdę jakoś do siebie. Wtedy zdarzyła się rzecz niesamowita. Oto coś zleciało z nieba i upadło niedaleko mnie. Drgnęłam przestraszona, że nastał już ten czas i właśnie przyszli po mnie, kiedy zauważyłam, że to moja własna torebka!

Podniosłam ją i sprawdziłam zawartość. Stał się cud! Właśnie z nieba spadła moja torebka wraz z portfelem, telefonem i wszystkim, co w niej było!

Spojrzałam w górę, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało, gdy coś zwróciło moją uwagę. Za murem rosły drzewa, a na gałęzi jednego z nich siedziała moja przyjaciółka Wanda, machając do mnie ręką. Nie trwało to jednak długo, bo nagle usłyszałam trzask łamiącego się konaru, a potem krótki krzyk i odgłos uderzenia ciała o ziemię. Boże, pomyślałam, zabiła się. Po co głupia włąziła na drzewo? Chciała mi uratować życie? Torebką? Przecież ona w niczym nie może mi pomóc! Wzięłam do ręki telefon – znowu był wyładowany. Mój odwieczny problem, pomyślałam. I jak mam zadzwonić na policję?

Nie zwlekając, podbiegłam do ogrodzenia.

– Wanda?

Cisza jak makiem zasiał. Wsłuchałam się jeszcze raz, potem ze dwa razy ponowiłam wołanie, aż wreszcie usłyszałam ciche: „Nic mi nie jest”.

Odetchnęłam. A więc chyba się nie zabiła. Dobrze. Przynajmniej tyle. Tylko co teraz robić? Wanda za tym wysokim murem na niewiele mi się zda. Może był z nią Vaclav, ale on również nic nie mógł tu zdziałać. Musiałby tu teraz nadlecieć helikopter i zabrać mnie na pokład. Czekałam z nadzieją, ale nic się nie wydarzyło. Wariatka, pomyślałam. To nie film. To życie.

Nagle coś zwróciło moją uwagę. Obeszłam basen i rozgarnęłam wysokie trawy. Stał tam obcy mężczyzna i... zemdlilo mnie na chwilę. Zamknęłam oczy. Odetchnęłam parę razy, a potem odważyłam się spojrzeć ponownie.

– C-co pan robi? – zapytałam go.

Spojrzał na mnie.

– Kazali wykopać, to kopię.

Dziura o wymiarach dwa metry na pół była już na jakiś metr głęboka. Czarna ziemia na zielonej trawie wyglądała przerażająco.

Cofnęłam się o kilka kroków. Jak zaraz nie dojdę do siebie, to nikt nie będzie mnie musiał zabijać, dostanę zawału serca jak nic. Ułatwię wszystkim zadanie.

Tego, co zauważyłam po chwili, zupełnie się nie spodziewałam. Zza kopca ziemi wystawało coś, co bardzo przypominało ogon Nuki. Podeszłam dwa kroki i stanęłam jak wryta. Krzyknęłam. Serce podeszło mi do gardła – moje psy leżały martwe.

– Pan je znalazł przed chwilą. Musiały zjeść trutkę

na szczury, biedaki. Zakopię je za chwilę.

Ten podły człowiek zabił moje psy! Zacisnęłam pięści, starając się opanować łzy płynące mi po policzkach. Już on mi za to zapłaci!

Odwrociłam się, podbiegłam po butelkę brandy i napiłam się z gwinta. Wzięłam jeszcze parę łyków, a resztę włożyłam do torebki, żeby mieć przy sobie na wszelki wypadek.

Na chwiejnych nogach poszłam w stronę domu, ale znowu coś zwróciło moją uwagę. Nad murem ogrodzenia pojawiły się dwie sterczące żerdzie czy co to mogło być. Zamrugałam. Podeszłam bliżej. Szpilki zagłębiały się w trawę tak, że trudno mi się szło. Co znowu się tam dzieje? Nagle zza muru wychynęła głowa Wandy. Przyjaciółka spostrzegła mnie i zamachała. Jezu, jak ją tu zobaczę, to ją zabiję na miejscu. Zarzną jak świnię, pomyślałam. I krwi będzie pełno. Wszędzie...

Otrząsnęłam się. Wanda tymczasem już siedziała na murze i przeciągała przez niego długą drabinę.

– Marlena? Wchodź szybko!

Jakby mi to do głowy nie wpadło, pomyślałam drażliwie. Od razu rzuciłam się w jej kierunku i już wspinałam się w górę. Wanda uśmiechała się, choć cała jej twarz była podrapana i krwawiła, a ubranie było brudne i postrzępione.

– Nic ci się nie stało? – zapytałam ją.

– Nie zabili cię? – zapytała ona.

– Dziewczyny! Schodźcie prędko!

Spojrzałam w dół i zobaczyłam Vaclava. Zrobiło mi się

cieplej na sercu. Wanda tymczasem już się zsuwała na ziemię. Rozsądek kazał mi zepchnąć drabinę, kiedy usiadłam na murze. Skoczyłam. Wylądowałam miękko na trawie po drugiej stronie muru. Nie minęła chwila, a już stałam w objęciach Vaclava, z torebką wiszącą na ręce.

– Na szczęście jesteś cała i zdrowa – szeptał mi do ucha i całował.

– Niewiele brakowało.

– Próbowaliśmy się do ciebie dostać, niestety brama jest strzeżona jak pałac Buckingham.

– Ten dom to pieprzona twierdza – wzdrygnęłam się. – Dlaczego tu stoimy? – rozejrzałam się wokół. – Musimy uciekać, zanim zorientują się, że mnie nie ma!

– Za lasem mamy zaparkowane auto. Trzeba się tylko do niego dostać.

Zaczął padać deszcz.

– Jesteś cała? – zapytałam Wandę.

– Chyba tak – jęknęła, rozmasowując sobie sadło, które miało uchodzić za pośladki.

– Po co włąziłaś na to drzewo? Nie przyszło ci do głowy, że gałąź może się pod tobą załamać?

– Chcesz powiedzieć, że jestem gruba, tak? Za gruba na łożenie po drzewach?

– Nie, tego nie powiedziałam...

– Zasugerowałaś właśnie...

– Dziewczyny! Nie pora na kłótnie. Musimy się stąd zmywać.

Nagle od strony bramy rozległ się krzyk.

– Boże. – Wanda stanęła jak wryta. – Co to było? Dzika

świnia? Łoś?

– Nie wydaje mi się – powiedział Vaclav.

– Może trzeba wejść na drzewo? Dla pewności? – Wanda już zbliżała się do jednego.

– Myślisz, że to pomoże?

– Czytałam gdzieś, że to najlepsze, co człowiek może zrobić. Taka dzika świnia to potrafi nawet zabić. Bo jest dzika, jakbyś nie wiedziała.

Ryk znowu poniósł się po lesie.

– Niby zwierzę, ale jakby człowiek... – wyszeptała Wanda.

– Wydawało mi się, że słyszę twoje imię – równie cicho powiedział Vaclav.

Trzeci krzyk rozległ się niedaleko, coś jak „anirlena” doszło do moich uszu i już wiedziałam, o co chodzi.

– To Ten Ten! Woła mnie.

– Co? – zawołali oboje jednocześnie, wybałuszając na mnie oczy.

– Ten Ten. Moja chińska służąca. Musimy ją zabrać ze sobą. Nie zostawię jej tutaj na pastwę tego człowieka.

Odwrociłam się i pobiegłam w stronę wjazdu na posesję.

– Wracaj! – wołał Vaclav.

– Jak cię zabiją, to nie będzie nasza sprawa! Zostawimy tu twoje ciało – wołała Wanda.

Biegłam przed siebie i raz-dwa znalazłam się przed wejściem. Biedna Ten Ten stała przed bramą i roniła łzy wielkie jak grochy. W rękach trzymała klucze.

Dopałam do niej, pomogłam otworzyć bramę

i pociągnęłam za sobą. W tym samym momencie coś zwróciło moją uwagę. Zawróciłam i spojrzałam na strażników i Bąbelka leżących na podjeździe. Byli nieruchomi jak kukły.

– Boże, co im się stało? – Kopnęłam jednego z nich.

– Ten Ten zrobić im specjalną herbatę.

– Zabiłaś ich?

– Nie. Ten Ten zrobić herbatę. Chińska specjalność. Dobrze spać po herbacie. Ten Ten dać wszystkim. W domu wszyscy spać. Żeby Ten Ten uciec z pani.

Dopiero teraz dotarło do mnie, co się stało. Objęłam ją i przytuliłam do siebie.

– Och, jesteś wspaniała. Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś? Masz cudowne zdolności!

– Ten Ten nie wiedziała.

– A więc śpią? – Rozejrzałam się wokół.

– Tak.

Do głowy wpadł mi szalony pomysł. Wiedziałam, że lepiej było uciekać stąd jak najdalej, ale nie potrafiłam odmówić sobie drobnej przyjemności bycia złośliwą.

Zawołałam Vaclava i Wandę. Pojawili się niemalże od razu.

– Czy już cię zabili? – pytała Wanda. – Czy to twój duch nas woła?

– Nie bądź złośliwa. Potrzebuję waszej pomocy.

Naprawdę wyjaśniłam im, co się dokładnie wydarzyło i co zamierzam. Oboje przyznali, że to głupie, ale postanowiliśmy to zorganizować jak najszybciej, bo inaczej, jak zaznaczyłam, nigdzie się nie ruszę.

Weszliśmy do domu i skierowaliśmy się w stronę salonu. W tym czasie Wanda poszła zapłacić facetowi kopiącemu dziurę. Miała kazać mu wynosić się do stu diabłów. Vaclav i ja złapaliśmy Pamelę za ręce i nogi i wynieśliśmy ją do ogrodu.

– Ciężka jest, cholera jedna – westchnęłam i upuściłam jej bezwładne ciało.

– Jeszcze się obudzi – szepnął przerażony Vaclav.

– Nie obudzić szybko. – Ten Ten pokiwała głową.

Przenieśliśmy ją do ogrodu, wrzuciliśmy do wykopanej dziury i przysypaliśmy lekko piaskiem. Aby wszystko grało, przyniosłam czarny bukiet i rzuciłam jej na twarz.

– I na czym pogrzebie jesteście? – Pokazałam jej środkowy palec. – Chyba się nie spodziewałaś.

– Dobra, spadamy.

Raz-dwa opuściliśmy posesję i wbiegliśmy do lasu. Deszcz padał już znacznie mocniej i robiło się chłodno. Przedzieranie się przez gąszcz nie należało do przyjemności, ale – co bardzo mnie zdziwiło – najmniejszy problem z tym miała Ten Ten. Brnęła do przodu, zwinnie omijała dziury i ostre krzewy, pochylała głowę dokładnie wtedy, kiedy było trzeba, i skakała jak młoda kózka.

– Gdzie to auto? – Wanda, po godzinie ucieczki, była u kresu sił.

– Już dawno miało tu być.

– Tyle to i ja wiem.

Po kolejnej półgodzinie byliśmy cali mokrzy i potwornie zmęczeni.

– Chyba zabłądziliśmy – zauważył Vaclav, rozglądając się

po lesie.

– Przecież zostawiliśmy tego grata niedaleko! – Wanda usiadła na jednym z konarów leżących obok. – Nie mam już sił. Nigdzie nie idę.

– To w takim razie posiedź tu sobie – powiedziałam. – Ja nie zamierzam tu spędzić nocy.

– Jesteś niewdzięczna – warknęła przyjaciółka. – A ja narażałam się dla ciebie. Gdybym wiedziała, że po czymś takim zostawisz mnie w lesie, siedziałabym w domu.

– Nie histeryzuj, tylko wstawaj, idziemy dalej. Kiedyś wreszcie wyjdziemy z tego lasu.

– Mam nadzieję, że nie w czarnych workach – mruknęła, ale dźwignęła swoje cztery litery i zaczęła posuwać się do przodu.

Popatrzyłam na Vaclava. Wzruszył tylko ramionami i nie odpowiedział. Ten Ten pędziła przed siebie jak czołg, nic jej nie mogło zatrzymać. Jej mokre włosy przykleiły się do czoła i się pozlepiały. Gdzieś tam pomiędzy nich prześwitywała blada czaszka. Spotkanie z nią w lesie w nocy, pomyślałam, to gwarantowany zawał serca.

– Jeżeli nas tu zgwałcą, nie daruję ci tego! – narzeką Wanda.

– A może powinniśmy się cieszyć, że jednak żyję, a nie grozić sobie?

– Chcę wyjść z tego wszawego lasu i tyle!

– Wszyscy chcemy!

– Ona nie. – Wanda wskazała palcem na Ten Ten, prącą do przodu bez oznak zmęczenia, z plecaczkiem na plecach. – Podoba jej się wolność w tej dzicy i pełna

niebezpieczeństw sytuacja, kiedy z za każdego drzewa może wyskoczyć wilk i zatopić kły w jej gardle. Może to ją podnieca? – Umilkła na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiała. – Nie, nie myślę. Ten wilk, który by ją zaatakował, wyzionąłby ducha, zanim by się wgryzł w jej szkaradną szyję. Na sam jej widok, ha, ha! – zaśmiała się ze swojego żartu.

– Nie musisz być dla niej taka okropna. Nic ci nie zrobiła – upomniałam ją.

– Jeszcze nie, ale kiedy nadejdzie zmrok, nie będę w stanie jej odróżnić od dzikiego zwierza.

Westchnęłam.

– Ty się nie zmienisz.

– Wszyscy jacyś jesteśmy – odparowała.

W duchu przyznałam jej rację. Na nieszczęście czas uciekał i zmrok zapadał coraz szybciej. Chłód zaczynał nam nieźle dokuczać. I głód.

Wkrótce całkiem się ściemniło. W lesie było cicho i nieprzyjemnie. Usiedliśmy zmęczeni na jednej z polan. Z czterech stron otaczał nas gęsty szpaler drzew.

– Nie możemy nawet rozpalić ogniska – biadoliła Wanda. – Dzikie zwierzęta boją się ognia. Bez niego przyjdą tu, zwabione naszym zapachem, i nikt z nas nie obudzi się rano żywy.

– Niestety, nie mam zapalniczki. – Grzebałam w torbie, ale niczego, co mogłoby się przydać, w niej nie było. Po co nam teraz karty i portfele? Kasa w lesie również nie zapewni nam jedzenia i bezpieczeństwa. – Ale mam to. – Pokazałam im butelkę alkoholu.

Wszyscy się uradowali i brandy zaczęła zmieniać właścicieli. Słysząc było tylko wzdychanie, kiedy trunek przelewał się przez gardło do żołądka.

Nagle gdzieś w lesie rozległ się ryk dzikiego zwierza.

– Co to było? – Wanda od razu znalazła się na nogach i rozejrzała wokół wystraszona. – Niedźwiedź? Wilk? Dzika świnia?

– Tu chyba nie ma niedźwiedzi – powiedziałam niepewnie, bo sama nie potrafiłam rozpoznać tego odgłosu.

– Może się w to miejsce przybłąkał, jak my – dodał Vaclav.

Wanda chwyciła się za serce. Nagle usiadła.

– Dostanę zawału – zaczęła płakać. – Nie chcę umierać. Nie spisałam testamentu.

– Nie wiedziałam, że tak bardzo boisz się ciemności. – Usiadłam obok niej i objęłam ją ramieniem. Słowa o testamencie pominęłam, przecież i tak nie miała czego i komu zostawiać.

– Nie wiedziałaś? – załkała. – Nie wiedziałaś, tak. – Pokiwała głową. – Bo w ostatnich latach się mną nie interesowałaś.

– Przecież jesteśmy przyjaciółkami.

– Już nie – chlipnęła. – Kiedy zrobiłaś się bogata, dorabiając się fortuny na śmierdzących trumnach, nawet się do mnie nie odezwałaś. Dopiero gdy groziło ci niebezpieczeństwo, przypomniałaś sobie, gdzie mieszkam.

Zdziwiłam się. Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Czy naprawdę byłam taką egoistką?

– Wszystko się zmieni, zobaczysz. Jeżeli tylko wyjdziemy cało z tej sytuacji, zacznę żyć nowym życiem.

– Nie. – Pokręciła przecząco głową. – Nic się nie zmieni. Nie wiesz wszystkiego.

– To znaczy?

– Nie mogę ci powiedzieć – rozkleiła się.

– Wanda? O co chodzi?

– Nie mogę... I tak się o tym dowiesz, ale lepiej, żeby mnie przy tym nie było.

– Ma to związek z nami?

– Tak. Stało się coś okropnego. Coś, czego mi nigdy nie wybaczysz.

– Powiedz. Na pewno nie ma takiej rzeczy, której bym ci nie wybaczyła.

– Nie! Odejdź. Chcę być sama.

Zostawiłam ją w spokoju, bo widziałam, że naciskając, i tak niczego z niej nie wyduszę. Zwróciłam się do Vaclava.

– Jak myślisz, o co jej chodzi? – szepnęłam.

– Nie wiem, wygląda mi to na jakąś poważną sprawę między wami.

– Naprawdę byłam taką jędzą?

– Nie mam pojęcia. Dla mnie zawsze byłaś najlepsza.

Spojrzałam mu w oczy. W moim sercu zajaśniała nadzieja.

– Dziękuję.

– Nie musisz dziękować. Kocham cię, to wszystko.

– Ot, po prostu?

– Ot, po prostu. – Pogłodził mnie po twarzy.

Wanda łkała nadal, i to coraz głośniejsze.

– Miałam pokazać brodawki... – mamrotała pod nosem.
– Chyba nie zwariowała? – szepnęłam do Vaclava z przestachem. – Jeszcze nas tu pozabija. Boimy się dzikiego zwierza, a tymczasem jeden z nich może być wśród nas.

Odruchowo wtuliłam się w Vaclava.

Ten Ten siedziała nieruchomo jak posąg. Nie wypowiedziała ani słowa od czasu, kiedy opuściliśmy dom. A brandy dawno się skończyło.

– Chciałam... – chlipała Wanda. – Jak Naomi Campbell. Tak właśnie chciałam!

– Może powinnam jej dać jakieś tabletki na uspokojenie?
– znowu zwróciłam się do mojego towarzysza niedoli.

– A masz jakieś? – W jego głosie brzmiało powątpiewanie.

Nagle w głowie zaświtała mi myśl.

– Nie, ale może...

Zbliżyłam się powoli do Ten Ten. Na szczęście było już tak ciemno, że prawie wcale się nie widzieliśmy. Przynajmniej przestało padać, pomyślałam. I wyszedł księżyc. Oby ta pełnia nie przywołała jakiegoś wilkołaka.

– Ten Ten – szepnęłam. – Masz może jeszcze trochę tej herbaty?

Usłyszałam, jak grzebie w plecaczku, po czym wsunęła mi coś do ręki. Termos! O w mordę jeża, ona jest po prostu niezastąpiona!

Szybko ruszyłam w stronę Wandy, po drodze co rusz przewracając się jak długa na łące. Wszędzie pełno dziur i kopców, gałęzi i kto wie czego jeszcze.

– Ten Ten zabrała ze sobą herbatę. Napij się, dobrze ci zrobi.

Wanda wypła posłusznie.

– Dobra. – Pociągnęła nosem.

Już miałam odejść, ale zatrzymałam się w pół kroku i wróciłam do niej.

– Słuchaj, o co chodzi z tymi brodawkami?

– Naomi Campbell rozpoczęła kampanię. Walczy przeciwko cenzurze kobiecych piersi na Instagramie. Chciałam się dołączyć.

– Przecież możesz to zrobić – powiedziałam łagodnie.

– Nie. Już nie mogę.

– Niby dlaczego?

– Bo nie dożyjemy rana. Jeśli nie zeżrą nas dzikie świnię, to dorwie nas tu gdzieś twój chory mężulek i po tym, co się stało z tą jego sikszą, po tym, jak go wystrychnęłaś na dudka, wypali nam kulki w głowy bez ostrzeżenia.

– Jakoś wierzę, że jeszcze pokażesz światu swoje brodawki.

Naprawdę w to wierzyłam.

– Mam nadzieję, że nie z trumny.

– Na pewno nie. Śpij dobrze.

– Zimno mi...

– Mnie też.

– Ty masz Vaclava.

– Ale ty jesteś przy tuszy.

– Gruba?

– Nie. Powiedziałam „przy tuszy”.

– Że ogrzeje mnie sadło, tak? Powiedziałaś „przy tuszy”, ale miałaś na myśli, że jestem tłusta jak foka i...

Powoli jej głos zaczął słabnąć, aż nastąpiła cisza.

– Gdybyś tyle nie mówiła... – wyszeptałam w ciemność i wróciłam do Vaclava.

Położyliśmy się na ziemi, przytuleni do siebie. Nadszedł czas snu. Ten Ten również już leżała, bez słowa skargi. Ona do takich warunków była przyzwyczajona. Ja nie. Ale co dziwne, zasnęłam kamiennym snem i wydawało mi się, że nawet gdyby moje kości rozgryzał wilk, nie poczułabym tego.

ROZDZIAŁ 15

Wspomnienie



Rano obudziliśmy się skostniali. Marzyłam o herbacie przygotowanej przez Ten Ten. Usiadłam i ziewnęłam. Zauważyłam, że służąca już dawno nie śpi, siedzi wyprostowana na pniu drzewa i patrzy przed siebie.

Wanda spała przykryta opadłymi z drzew liśćmi, z rozczochranymi włosami. Musiała w nocy rzucać się na wszystkie strony, bo wyglądała, jakby stoczyła z kimś walkę.

- Która godzina? – zapytałam Vaclava.
- Siódma.
- Dopiero?
- Tak. Byłoby dobrze wstać i odszukać auto.
- Myślisz, że uda nam się je znaleźć?
- Tak.

Wstaliśmy oboje. Ten Ten się nie ruszała. Wyglądała jak martwa. Ale nieżywi ludzie przecież nie siedzą,

pomyślałam.

Podeszłam do Wandy.

– Wstawaj. – Poruszyłam nią lekko.

Zamruczała coś pod nosem, przewróciła się na drugą stronę i spała dalej.

Próbowałam obudzić ją jeszcze ze dwa razy, zanim dałam za wygraną.

– Jak zaraz nie wstaniesz, zostaniesz w tym lesie sama! – krzyknęłam. – Idziemy!

Wanda raz-dwa znalazła się na nogach.

– Nigdzie się beze mnie nie ruszycie!

– Chcesz się przekonać?

– Dziewczyny, spokój. – Vaclav wszedł pomiędzy nas. – Im szybciej znajdziemy auto, tym lepiej. Każda z was chce się stąd wydostać, kłótnie od rana w niczym nie pomogą.

– Nie kłóćmy się! – wrzasnęłyśmy obie naraz.

– Wygląda na to, że jednak się kłócicie.

– Nie!

– Co jej jest? – Wanda nagle spojrzała na siedzącą na pniu kobietę i zrobiła przerażoną minę, nieruchomiejąc z wrażenia. – Mam nadzieję, że nie umarła, bo jeśli tak, dostanę zawału serca, jak pomyślę, że spałam koło trupa!

Popatrzyliśmy na Ten Ten. Vaclav podszedł do niej i pomachał ręką przed jej oczami. Nie zareagowała.

– Jezus Maria, nie żyje – pisnęła Wanda i przyłgnęła do najbliższego drzewa. – Spałyśmy z trupem!

– Proszę cię, nie rób scen – upomniałam ją. – Nic jej nie jest.

Podeszłam do służącej niepewnie, ponieważ taka

sytuacja jednak nie należała do normalnych.

– Ten Ten? – zapytałam.

Nic.

– Ten Ten?

Dotknęłam jej ramienia i delikatnie nią potrząsnęłam.

– Jest martwaaaaa! – ryknęła Wanda. – Jak mogła nam to zrobić?

– Proszę cię, nie wydzieraj się – zwróciłam jej uwagę. – Cały las słyszał.

– Zostawmy ją tu i spadajmy. Ja trupa nie będę ciągnęła, nawet jej nie dotknę!

Służąca drgnęła, słysząc krzyk mojej przyjaciółki. Otrząsnęła się i spojrzała na mnie.

– Co się dzieje? – zapytała.

Odetchnęłam z ulgą.

– Dzięki Bogu, żyjesz. Musimy iść dalej. A ty nie lamentuj – nakazałam Wandzie. – Nic jej nie jest. Żyje, jakbyś nie zauważyła.

– Ale wyglądała jak trup!

– Ty też nie wyglądasz lepiej! – cisnęłam w nią tymi słowami, a Ten Ten zaczęła się śmiać.

– Idziemy, dziewczyny! Już dosyć czasu tu straciliśmy.

Rozpoczęła się dalsza wędrówka. Wlekliśmy się przez las może z godzinę, dopóki nie znaleźliśmy ścieżki wiodącej do drogi. Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, wychodząc z lasu. Posuwaliśmy się teraz szosą i szło nam się o wiele przyjemniej. Dzień wstawał piękny i słoneczny, co wszyscy przyjęli z westchnieniem ulgi. Pierwsze promienie słońca padające na nasze postaci okazały się dla

naszej grupy zbawcze, od razu wszystkim poprawił się nastrój.

– Przepraszam, że byłam rano nieprzyjemna. – Wanda chwyciła mnie pod ramię.

– Nie szkodzi, już się przyzwyczaiłam. – Poklepałam ją drugą ręką po ramieniu.

– Wiesz, śniło mi się w nocy, że znowu byłam na Malcie. Popatrzyłam na nią pytająco.

– No wiesz, tak jak wtedy, gdy wyjechałam na kurs angielskiego.

– Nie wiem.

– Ach, zapomniałam, twoja pamięć. W każdym razie... Uświadomiłam sobie, że czasami zachowuję się infantylnie, a nie chciałabym, żebyś sobie o mnie źle myślała.

– Nie myślę, tego możesz być pewna.

– Dzięki, ale wiesz, co się wtedy wydarzyło? Przypomnę ci.

I Wanda zaczęła opowiadać.

– Pojechałam na kurs, trzymiesięczny. Zawsze chciałam nauczyć się angielskiego, zawsze, czyli od czasu, kiedy na to wpadłam. Mogłabym znaleźć lepszą pracę i tak dalej. Za ostatnie pieniądze zgłosiłam się i wyjechałam. Malta okazała się piękna, ale cholerny angielski nie wchodził mi do głowy i po dwóch tygodniach doznałam takiej potrzeby powrotu do domu, że spakowałam rzeczy i pojechałam na lotnisko. Autobus miał spóźnienie, więc samolot odleciał, wyobrażasz sobie? Nie poczekał na mnie... Podeszłam do okienka i zaczęłam wyjaśniać, że mój

samolot odleciał, że chcę się stąd wydostać, ale oczywiście nie wiedziałam, jak to mam wytłumaczyć, więc pomagałam sobie rękami i nogami. Dałam im bilet, a oni powiedzieli, że następny samolot jest nazajutrz rano. Przydzielili mi numer pokoju hotelowego i skierowali do jadalni, gdzie było tyle jedzenia, ile sobie człowiek mógł tylko zażyczyć. Opychałam się bez opamiętania pięć godzin, kiedy inni ludzie przychodzili, jedli i odchodzili. Ja cały czas tam siedziałam, aż wreszcie miałam dosyć, najadłam się za wszystkie czasy. Następnego dnia odleciałam do Polski. Przynajmniej dla tego jedzenia warto było jechać.

– No dobrze, ale to się chyba zdarza, nie? Cały świat nie musi mówić po angielsku.

– Tak. Ale poniosłam porażkę. Jako człowiek. To właśnie wtedy dałam szansę twojemu bratu. Wiedziałam, że pije, ale wpuściłam go do siebie, bo z grubą babą jak ja nikt nie chciał spać, a chociaż on przychodził tylko wieczorami i na dodatek jeszcze pijany, było mi z nim dobrze.

– Jesteś dorosłą kobietą, od ciebie zależy, co robisz. Nikt cię nie powinien osądzać, możesz spać z kim chcesz, nikomu nic do tego.

– Wiem. Chciałam ci tylko powiedzieć, że... Po tej nocy uświadomiłam sobie, kim jestem. A jest pewna sprawa, o której muszę ci powiedzieć.

– Tak?

– To, co się stało... ja wiem, że nie pamiętasz co... ale pewnego dnia sobie przypomnisz. Więc mam nadzieję, że mi wybaczysz. Nie wiem, co mi wtedy przyszyło

do głowy, ale cała ta marihuana i alkohol, jakoś to na mnie zadziało...

– Co się stało?

– Nic. Chodzi o to, że to wszystko moja wina. Gdyby nie ja...

Nagle przez moją głowę przeleciało wspomnienie. Obskurny klub. Głośna muzyka. Papierosy i alkohol. Śmiech. Tańce. I nóż pędzący w moją stronę.

– Byłyśmy w klubie?

Wanda pobladła.

– Tak.

– Kiedy?

– Wtedy, kiedy to się stało. – Wskazała na moją głowę.

– Czy to tam ktoś we mnie rzucił nożem?

– To właściwie nie był klub, tylko stary burdel za miastem.

– Ale co tam robiłyśmy?

– Pojechałyśmy się zabawić.

– Do burdelu?!

– I co z tego? Mam tam znajomą. Zresztą ty też.

– Kogo?

– Zbyt dużo do opowiadania. Chciałam ci tylko powiedzieć, żebyś się na mnie nie mściła i mi wybaczyła. Mam nadzieję, że nasza przyjaźń przetrwa wszystko. I pamiętaj, że prostytutki to też ludzie.

– Nie wątpię.

– Więc będzie między nami wszystko okej?

– Oczywiście – zapewniłam, a tymczasem przed oczyma miałam zbliżające się do głowy ostrze.

O co w tym chodzi?

Szliśmy jakiś czas w ciszy, aż wreszcie Vaclav krzyknął, wskazując jedną z drózek, skręcającą w głąb lasu, gdzie stał nasz samochód.

Rzuciliśmy się do niego, jak tonący rzuciłby się, by chwycić rękoma koło ratunkowe. Kiedy już siedzieliśmy w środku, naszemu szczęściu nie było końca. Vaclav uruchomił pojazd i ruszyliśmy do domu. Do Wodzisławia Śląskiego. Czy jednak aby na pewno był tam mój dom?

W drodze powrotnej zastanawiałam się nad tym, co powiedziała mi Wanda. W tym burdelu musiało dojść do czegoś, o czym nie chciała głośno mówić. Sądziłam, że moja przyjaciółka zrobiła coś, co mogłoby mi się nie spodobać. Postanowiłam tę myśl jednak na razie wyrzucić z głowy. I tak nie mogłam sobie nic przypomnieć.

Po drodze zatrzymaliśmy się w zajeździe, najedliśmy się i napiliśmy, a potem ruszyliśmy dalej. Znowu rozboleła mnie głowa, więc wzięłam tabletkę i zamknęłam oczy. Ostrze noża zbliżało się do mnie. Nagle zaczęły napływać nowe wspomnienia. Widziałam męża krzyczącego na mnie, stojącą gdzieś w cieniu, z twarzą ukrytą za woalką, szczupłą kobietę – jego śmiejącą się kochankę... Ciemność, strach, intensywny zapach ziemi.

A potem w głowie pojawiło mi się jedno słowo, którego znaczenia nie rozumiałam: skóra. Nie wiedziałam, czemu właśnie to dziwne słowo zamajaczyło w moich myślach i co miało oznaczać, ale jednego byłam pewna: musiało mieć związek z moim mężem i było kluczem do całej zagadki.

Przeklęta głowa! Dlaczego nie mogę sobie niczego przypomnieć? Coraz mniej podobało mi się błądzenie po omacku w tym bagnie niepamięci. Nie wiedząc, o co dokładnie chodzi, pozostawałam właściwie bezradna. Nie mogłam nic zrobić. Żadnego działania, kroku, decyzji. Nic. Powoli ogarniała mnie frustracja.

Droga do Wodzisławia minęła bez problemów. Zaparkowaliśmy pod blokiem niedoszłej morderczyni – mojej mamy. Doszliśmy wcześniej do wniosku, że raczej nikt nie będzie na nas tam czekał. Zanim Norbert dojdzie do siebie i wyda rozkazy mające na celu wykończenie mnie, może minąć jeszcze wiele godzin. Ten Ten powiedziała, że sporządzony przez nią napar był bardzo silny. Powinni spać do kolejnego wieczora.

Że też nie namieszała takiej herbaty, która by go od razu wykończyła!

Zapukałam do drzwi mojej matki. Chciałam jej powiedzieć, co o niej myślę! Jednak kiedy ta otworzyła i zobaczyła mnie stojącą przed drzwiami, od razu je zatrzasnęła. Poszliśmy do Wandy. Przyjaciółka nie musiała się kłopotać wyjmowaniem kluczy z torebki, ponieważ drzwi do jej mieszkania nie były zamknięte. W środku zastałyśmy bałagan, wyrzucono wszystkie rzeczy z szaf i szuflad. Jakby przeszło tędy tornado, zauważyłam.

– Nigdy tego nie posprzątam – jęknęła.

– Jakoś damy radę. Pomożemy ci – próbowałam mówić wesoło, jakby tak naprawdę nic się nie stało.

Od razu zabraliśmy się do sprząwania i po godzinie mogliśmy spokojnie usiąść, ciesząc się w miarę czystym

mieszkaniami.

– Co będziemy teraz robić? – zastanawiałam się na głos. – Matka nie chce mnie wpuścić do domu i właściwie mam ją gdzieś. Tutaj zbyt długo nie możemy zostać, do Warszawy oczywiście nie ma szans powrotu...

– Może pojedziemy do mnie? Do Pragi? – zapytał z nadzieją w głosie Vaclav.

– Nie – pokręciła przecząco głową Wanda. – Musimy znaleźć jakąś kryjówkę.

– Ciekawe gdzie. Myślisz, że istnieje miejsce na ziemi, gdzie mój mąż by nas nie znalazł?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

Zapadła chwila ciszy.

– A może twój brat nam pomoże?

Zmarszczyłam brwi, spoglądając na nią z powątpiewaniem.

– Upijemy się? Zapomnimy o całym świecie i będzie nam wszystko jedno, gdy mój mąż będzie nam ucinął głowy?

– Nie, nic nie rozumiesz, zresztą nie dziwi mnie to, zawsze byłaś sceptyczna w wielu sprawach.

Westchnęłam.

– No dobrze, o co chodzi?

– Pamiętasz... Och tak, nie pamiętasz. No więc rok temu twój brat tak się stoczył, że matka wyrzuciła go na zbity pysk z domu. Wprowadził się do mnie, ale i ja nie zniosłam jego pijackich ekscesów.

– Też go wyrzuciłaś? – wtrąciłam z powątpiewaniem.

– Tak. Miałam go dosyć. I po prostu zniknął. Nie wiedziałam, co się z nim dzieje, dopóki w telewizji nie pokazali materiału o bezdomnych znalezionych w rogowskim lesie. Paru z nich zamarzło tam na śmierć. Zrobiła się afera. Tam właśnie znaleziono twojego brata.

– Do czego zmierzasz?

– Może ukryje nas w tej okolicy na jakiś czas?

– Mamy się chować w jakiejś ziemiance, gdzie umarli bezdomni? Czy zdajesz sobie sprawę, że musieli być zawszeni, chorzy i kto wie, co jeszcze? Przecież w takiej norze może nam się stać właściwie wszystko!

– Lepsze to niż kulka w głowie.

– Nie. Mnie się ten pomysł nie podoba. Ale... – zastanowiłam się. – Czemu mój brat nie przyszedł wtedy do mnie? Przecież bym mu pomogła.

Wanda pokręciła głową.

– Nie pomogłabyś. Już raz przyszedł do ciebie po pomoc. Wynajęłaś mu mieszkanie, opłacałaś na pół roku do przodu, dałaś kasę i nawet znalazłaś pracę. Pieniądze przepił, pracę miał gdzieś, a z mieszkania musiał się wyprowadzić. Nie dałabyś mu drugiej szansy.

– Naprawdę jest takim alkoholikiem? Trzeba go będzie leczyć.

– Niestety tak. A na leczenie się nie zgodzi, zapomnij o tym.

– W takim razie Praga? – ponowił pytanie Vaclav.

– Nie. Nie chcę stąd wyjeżdżać, dopóki nie wyjaśnimy całej sprawy.

– Tylko jak ją mamy wyjaśnić, kiedy ty niczego nie

pamiętasz?

– Pamiętam. Właśnie, że pamiętam – wykrzyknęłam.

– Co? – Popatrzyli na mnie oboje zdziwieni.

– Przypomniało mi się jedno słowo. Nie wiem, czy jest ważne, ale chyba musi być, skoro właśnie ono wpadło mi do głowy.

– Jakie to słowo?

– Skóry.

– Skóry? – zdziwili się jeszcze bardziej, powtarzając jednogłośnie za mną.

– No tak. Skóry. To powinien być trop.

– Ty jeszcze nie jesteś całkiem wyleczona. – Wanda spojrzała na Vaclava. – Nie zdaje sobie biedaczka sprawy, że słowo „skóra” może oznaczać tysiące rzeczy. Są skóry zwierzęce, ubrania, nazwiska...

Nagle ktoś zapukał głośno do drzwi. Wanda poszła zobaczyć, kto to mógł do niej przyjść, i po chwili usłyszałam dźwięk otwieranego zamka.

– Wreszcie jesteś z powrotem – dobiegł nas głos mojego brata. – Nieźle cię urządzili, co nie? Syf taki wszędzie, jak w tej ziemiance w lesie, gdzie kiedyś mieszkałem.

– Właż prędzej albo wynoś się – zasyczała Wanda, a potem wciągnęła go do środka i zaczęła całować, a mnie zrobiło się niedobrze na ten widok.

– O, widzę całą grupę. Imprezka się szykuje? – powiedział, kiedy odessał się od niej.

– Znowu piłeś? – zaatakowała Wanda, wycierając usta rękawem.

– A czy ja kiedyś nie piłem?

– Racja. Głupie pytanie. – Walnęła się ręką w czoło.

Zdjął buty i popatrzył na nas.

– Czy ktoś umarł? Miny macie jakieś takie...

– Nikt nie umarł, ale zaraz możesz umrzeć ty, jeżeli nie przestaniesz robić z siebie wała.

– Dobrze, Wandusia, nie musisz być od razu taka ostra. A siostrunia, widzę, już lepiej wygląda, pomimo że blada taka?

Nic nie odpowiedziałam. Jeżeli chodziło o niego i całą moją rodzinę, byłam na nie.

Usiadł przy stoliku i wyciągnął dwie butelki czystej.

– Napijecie się?

– Nie, nie napijemy. – Wanda zgromiła go wzrokiem.

Popatrzyliśmy po sobie.

Dwie godziny później wszyscy byliśmy pijani. Jakimś cudem na stole pojawiła się trzecia butelka, a ja nie miałam pojęcia skąd.

Zanim nastał wieczór, byliśmy już zalani w trupa. Nawet Ten Ten, która leżała teraz pod stołem jak wierny pies.

– Co z nią? – zapytał Vaclav.

– Zostawimy ją tak – powiedziałam.

Wanda próbowała wstać, ale jej się nie udało.

– Trzeba przynieść ogórki, bo jestem głodna. Marynowany czosnek też gdzieś jeszcze jest. I jedna taca śledzi.

Zamiast niej wstał Vaclav i przyniósł to wszystko na stół. Zostało pół butelki wódki. Zabraliśmy się za jedzenie i picie. Co się miało zmarnować...

Potem Wanda zaczęła nam wróżyć z kart, niestety nie

za bardzo jej to wychodziło. Myliła pojęcia i nie potrafiła wyjaśnić znaczenia symboli, mrużąc coś pod nosem, aż wreszcie machnęłam na to ręką.

Nie wiem, jak i kiedy, ale zasnęłam. Obudziłam się nocą. Coś potwornie kaszłało. Kobięcy głos, więc to musiała być Wanda. Zimno mi się zrobiło.

– Mogłabyś tak głośno nie kaszleć? – upomniałam ją. Opowiedziała mi cisza.

Zamroczone alkoholem znowu zapadłam w sen.

Obudziło mnie ostre, oślepiające światło. Coś było nie w porządku, ale jeszcze nie wiedziałam co. Próbowiałam unieść powieki, nie udało się. Ból głowy był wręcz porażający.

– O Boże... – jęknęłam ochrypłym głosem.

– Co się dzieje? – zapytał Vaclav zupełnie obcym głosem.

– Głowa. Chyba umrę.

– Ja też.

Czemu tu jest tak zimno? Całe nogi mam zmarznięte na kość.

– Jest ciepło.

– Mnie nie...

– O Jezu... lepiej nie otwieraj oczu.

– Co się stało?

– Nie spodoba ci się to.

Zawsze, jeżeli mamy na coś nie patrzeć, odruchowo to robimy. I ja, pokonując ból, otworzyłam powieki i spojrzałam. Jęknęłam.

– Zabiję!

– Tylko spokojnie, przecież...

– Wanda! – wrzasnęłam na całe gardło. – Wanda, wstawaj! Przesadziłaś!

– Zostawcie mnie! – Machnęła ręką, nadal leżąc u moich stóp.

– Zwymiotowałaś na moje nogi! Nigdy ci tego nie wybaczę!

Miałam ochotę krzyczeć.

– Nie chciałam. Naprawdę nie chciałam.

– Ale zrobiłaś to! Zobacz, jak ja wyglądam!

– Potem, teraz jeszcze pośpię. Nie krzycz tak, masz nieprzyjemny głos. Wdziera mi się do środka i zabija szare komórki.

– Zabija! Wszystkie są martwe po wczorajszej imprezie! Wstawaj!

Tymczasem nawet nie zauważyłam, jak Ten Ten poszła po miskę i szmatkę zaczęła wycierać mi stopy. Nie protestowałam, bo sama chyba bym tego nie zrobiła. Od samego widoku wszystko mi się w żołądku przewracało.

– Dziękuję, Ten Ten.

Skinęła głową i zniknęła w ubikacji. Boże, co za dobry człowiek z niej, pomyślałam. Gdyby tylko nie ta twarz... Biedna kobieta...

Minęła jeszcze godzina, nim wreszcie udało nam się wstać i doprowadzić do porządku. Uprzątnęliśmy butelki po wódce, słoiki i talerze, otworzyliśmy okno, aby wpadło trochę świeżego powietrza.

– Muszę się umyć, czuję się okropnie nieświeżo – jęknęłam i poszłam do łazienki.

Weszłam pod prysznic, a po wyjściu z kabiny spojrzałam w lustro. Stała przede mną obca kobieta! Taka się sobie wydawałam od samego początku, po przebudzeniu w szpitalu. Czy będę kiedyś znowu sobą?

W mieszkaniu zaczęło się kolejne sprzątanie, a kiedy już wszystko stało na swoim miejscu, rozdzwonił się telefon Vaclava. Po chwili odłożył komórkę i spojrzał na mnie niepewnie.

– Jeszcze dzisiaj wracam do Pragi. Interesy. Chciałbym, żebyś pojechała ze mną, ponieważ tutaj nie będę cię już mógł chronić.

Zrobiło mi się cieplej na sercu.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Jedź sam. Poradzę sobie.

– Może dasz się jakoś przekonać?

– Raczej nie. Zresztą, chyba wiem, co powinnam zrobić. Muszę zająć się swoimi sprawami.

– Grozi ci niebezpieczeństwo.

– Gdyby chcieli, już dawno by mnie zabili – powiedziałam lekko, ale wcale tak nie myślałam. Po prostu miałaś cholerne szczęście, wariatko, dodałam w duchu.

Uśmiechnęłam się do niego i pogładziłam go po twarzy.

– Jedź. Zdzwoniemy się.

– Ale...

Wypchnęłam go za drzwi.

– Tylko nie pędź za bardzo po autostradzie, dobrze? Chciałabym cię jeszcze kiedyś widzieć żywego, a ta wasza de jedynka to według mnie droga śmierci.

– A ty nie ryzykuj niepotrzebnie. Uważaj na siebie.

Pocałowałam go i patrzyłam przez chwilę, jak znika,

zbiegając po schodach. Zamknęłam drzwi.

– Co teraz? – Wanda wpatrywała się we mnie.

Zrobiłam parę kroków i usiadłam na krześle.

– Mam pewien pomysł – powiedziałam.

– Wreszcie! – Przyjaciółka aż klasnęła w dłonie. – W końcu dochodzisz do siebie. Pomysły to twoja specjalność.

Przygarbiłam się trochę.

– Otóż mam plan, ale będę go musiała zrealizować sama. Ty zostaniesz w domu.

– Nie ma mowy! – krzyknęła. – Siedzimy w tym bagnie razem. Nie zostawię cię teraz samej.

– Musisz – powiedziałam z naciskiem. – Udam się w jedno miejsce, gdzie na pewno znajdę odpowiedź na wszystkie pytania. Potem możemy znowu działać wspólnie.

– A ja mam tu siedzieć i czekać, aż w wiadomościach zobaczę twoje martwe ciało?

– Nie histeryzuj, zrób mi lepiej kawy.

– Ty nie pijesz kawy.

– To i tak mi zrób! Z cukrem i z mlekiem.

– Nie pijesz kawy! – powtórzyła z naciskiem.

– I co z tego?! – wydarłam się na nią. – Po prostu zrób mi tę cholerną kawę i już!

Zrobiła. Wlała mleka, wsypała dwie łyżeczki cukru i zamieszała. Napiłam się. I wyplułam wszystko na stół.

– Boże! Przecież tego nie da się pić.

Wanda pokręciła głową.

– Mówiłam, ale nie chciałaś słuchać, to twoja wina.

Teraz to posprzątasz. – Wskazała na brudny stół. – Ty nie! – krzyknęła na podnoszącą się z drugiego krzesła Ten Ten. – Ona posprząta, jak napluła.

Posprzątałam.

– Może jeszcze jednego łyka? – zagadnęła przymilnie, kiedy już usiadłam przy stole.

– Nie bądź taka! – ofuknęłam ją.

– Jaka?

– Taka!

– Czyli jaka?

– Wkurzająca!

– Zawsze taka byłam i nie zamierzam się zmieniać!

Wstałam.

– Nie dziwię się, że zostałaś sama. Z takim podejściem do życia.

– Jak śmiesz mi coś takiego mówić? Nie jesteś moją matką!

– A szkoda, bo wychowałabym cię trochę lepiej.

– Nie jestem źle wychowana!

– Tego bym nie powiedziała!

– Odczep się od mojej matki!

– Mam ją gdzieś!

– To ja mam ciebie gdzieś!

– Spadaj!

– Sama spadaj!

Odwrociłam się i podeszłam do drzwi. Założyłam buty, chwyciłam torebkę.

– Masz okropny charakter!

– A ty jeszcze gorszy!

– Byłam twoją przyjaciółką!

– Gdybyś nią była, byłabyś tu ze mną, kiedy Bronek mnie bił!

– Jaki znowu Bronek? Kto cię bił? – Popatrzyłam na nią, jakbym ją widziała po raz pierwszy w życiu.

– Nieważne! Idź sobie i więcej nie wracaj. Zawsze tak robiłaś i teraz możesz zrobić to samo. Przynajmniej jesteś w tym podobna do siebie! Wielka pani z Warszawy!

– Nie musisz mieć do mnie pretensji, że jesteś gruba i nieszczęśliwa. – Wkurzyłam się na nią, więc nie zważałam na słowa.

– Jesteś podła! – Rzuciła we mnie poduszką. – Wynoś się!

– Więcej mnie nie zobaczysz!

– Mam nadzieję!

Zza ściany rozległo się walenie. Moja matka chyba miała dosyć krzyków. Otworzyłam z rozmachem drzwi i zadzwoniłam do niej. Otworzyła i już miała coś powiedzieć, ale nie pozwoliłam jej.

– Jesteś okropna i zła! Nie wiem, jak możesz być moją matką! Uprzykrzasz tylko swoją obecnością życie innym i pierzesz skarpety swojemu synowi alkoholikowi. Spójrz wreszcie na siebie! Jesteś odrażająca! Żałuj, że mnie nie zabiłaś w szpitalu!

– Żebyś wiedziała, że żałuję! Jesteś taka sama jak ojciec! Nigdy się z tym nie pogodziłam!

Zbiegłam ze schodów. Wyszłam na świeże powietrze i oparłam się o ścianę. Zaczęłam łapać tlen w płuca. Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, co się przed chwilą stało,

i nie miałam pojęcia, dlaczego się pokłóciłyśmy z Wandą. Oczywiście chciałam ją zniechęcić do pójścia za mną, ale chyba posunęłam się za daleko. Trzęsłam się cała w środku. Po chwili otworzyły się drzwi i wyszła z nich Ten Ten. Popatrzyła na mnie smutno.

– Dlaczego tam nie zostałam?

– Ten Ten nie może. Pani o tym wie.

Westchnęłam.

– Nie, nie wiem.

Ruszyłam przed siebie, odwróciłam się i zobaczyłam kobietę stojącą niepewnie w miejscu ze spuszczoną głową.

– No chodź. Przecież nie będziemy tu stały cały dzień.

Natychmiast znalazła się obok mnie.

– Znajdę ci hotel, gdzie się zaszyciesz na jakiś czas. Co o tym myślisz?

Nie odpowiedziała.

Patrzyłam przed siebie i idąc powoli, rozmyślałam. Vaclav odjechał do Pragi. Matka mnie nie znosiła i najchętniej by się mnie pozbyła. Mój brat był alkoholikiem. Pokłóciłam się z Wandą. Ten Ten była ode mnie uzależniona i chyba nie na wiele mogła mi się zdać. Nikt z nich nie mógł mi już pomóc. Teraz musiałam liczyć tylko na siebie.

I wcale nie byłam pewna, czy to, co chcę zrobić, okaże się tym dobrym rozwiązaniem.

Jedynym pocieszeniem były słowa matki. „Jesteś taka sama jak ojciec”. Miałam nadzieję, że naprawdę wdałam się w niego, a nie w nią. Kimkolwiek był, musiał być zdecydowanie lepszym człowiekiem. Na pewno nie

posunąłby się do zabicia własnego dziecka, o tym byłam przekonana. Och, tato, dlaczego cię tu nie ma?

Musiałam wziąć się w garść i zacząć wreszcie działać. Podświadomie czułam, że nie należę do biernych osób, którymi rządzi los. Trzeba wziąć sprawę w swoje ręce.

ROZDZIAŁ 16

Prezent



Wynajęłam taksówkę i pojechałyśmy z Ten Ten do Rybnika, by zaszyć się na chwilę w jednym z miejscowych hoteli. Naładowałam telefon i wzięłam kolejny prysznic. Ten Ten nie chciała nawet słyszeć, że zostawię ją samą.

– Zostajesz tutaj, bez dwóch zdań! – rozkazałam.

– Idę!

– Nie!

– Idę!

– Powiedziałam!

– Idę!

Opadły mi ręce. Była uparta jak osioł. Co za chińskie stworzenie! W końcu musiałam ją zabrać z sobą.

– Gdybym wiedziała, że nie zostaniesz sama, nie musiałyśmy tu jechać. Niepotrzebnie traciłyśmy czas.

Kiedy wyszłyśmy z hotelu, skierowałyśmy się na rynek.

Usiadłyśmy w Pizza Hut i zamówiłyśmy pizzę. Ten Ten okropnie mlaskała, ale nie zwracałam na to uwagi (w przeciwieństwie do siedzących obok osób), zastanawiając się, co właściwie mam robić. Gdybym chociaż pamiętała swoje życie sprzed tego wypadku!

Ten Ten nagle puściła bąka. Odgłos ten, przeciągły i głośny jak terkot zbliżającego się traktora, przywrócił mnie do rzeczywistości. Ludzie obok zaczęli zerkać na nas, z malującym się na twarzach obrzydzeniem. Niektórzy łapali się za nosy i machali rękami, inni chichotali. Wreszcie i ja to poczułam. Wydaje mi się, że oblałam się kardynalską purpurą, bo czegoś takiego jeszcze nigdy nie przeżyłam.

Rozejrzałam się dokoła i zareagowałam natychmiast. Wyciągnęłam z portfela pieniądze, rzuciłam na stół i, łapiąc za rękę winowajczynię mojego wstydu, pociągnęłam ją do wyjścia.

– To... to... – zapowietrzyłam się, nie wiedząc, co właściwie chcę powiedzieć. – To...

– To się zdarza – dopowiedziała.

Wlepiłam w nią oczy, jakbym widziała ją po raz pierwszy.

– Żartujesz? Między ludźmi? Tak... tak głośno?

Uśmiechnęła się. Wzruszyła ramionami.

– Nie. Czegoś takiego jeszcze tu nie grali. Czy ty wiesz, ile wstydu się przez ciebie najadłam? To... straszne!

Nic nie odpowiedziała.

– Nie no, ja zwariuję albo się po prostu powieszę na tej fontannie, albo... tego już dla mnie za wiele.

Oparłam się o ścianę i przyłożyłam rękę do rozpalonego czoła. Nagle coś zwróciło moją uwagę. W naszą stronę szedł młody przystojny mężczyzna. Krótko ścięte włosy, wysoki, szczupły, na pewno przed trzydziestką, z czarującym uśmiechem pełnym białych zębów. Opalony i po prostu megaprzystojny.

Ręka mi opadła.

Ten Ten opadła szczęka.

Trzymał w dłoni małe pudełko. Wyciągnął do mnie dłoń.

– Proszę, to dla pani.

– E... dla mnie? To znaczy? Że jak? – roześmiałam się głupio, upominając się w myślach, że mam stać na nogach i zapomnieć o chwilowym braku równowagi.

Żadnych scen, tylko nie rób głupot!

– Tak. Dla pani. – Wyciągnął w moją stronę podarunek.

– Ale... nie rozumiem. Właściwie... ha, ha, ale jak? Że niby ja?

Skinął głową, uśmiechając się jeszcze szerzej. Oczy błyszczały mu w taki piękny sposób. Wyglądał jak diament, który bardzo chciałam mieć.

– Zobaczyłem, jak wchodziła tu pani przed chwilą. Pomyślałem, że taka piękna kobieta każdego dnia otrzymuje pewnie wiele prezentów. Więc kupiłem coś od siebie. Proszę.

Wyciągnęłam rękę i wzięłam pakunek. Był dosyć ciężki, co mnie zdziwiło. Co było w środku? Popatrzyłam niepewnie na Ten Ten. Mężczyzna uśmiechnął się czarująco.

– Życzę pani miłego dnia.

Odwrócił się i zaczął odchodzić. Po chwili okręcił się na pięcie i pomachał mi ręką.

– Jak myślisz, co to jest? – zwróciłam się do Ten Ten. – Czekolada? Bomboniera? Galaretki w cukrze? Ptasie mleczko?

Ten Ten wzruszyła ramionami.

Mężczyzna zaczął biec.

– Widzisz? Tak to powinno działać. Mężczyźni, zupełnie obcy, dają ci prezenty tylko dlatego, że wyglądasz jak Afrodyta. Wiedzą, co lubią prawdziwe kobiety i jak je traktować. Bo prawdziwe kobiety nie psują powietrza jak jakieś kundle w pomieszczeniach pełnych ludzi. – Wbiłam w nią potępiający wzrok, od którego każda inna kobieta na jej miejscu by się zawstydziała, ale ona nie.

Ten Ten zmrużyła niebezpiecznie oczy. Przechyliła głowę w jedną stronę.

– Ucieka. – Wskazała palcem na znikającego przystojniaka.

– Niech ucieka. Pewnie się zawstydził. Mężczyźni tak miewają. Rozumiem, że nie masz o tym pojęcia, moja kochana, ale często bywają jak dzieci i...

Ten Ten przekrzywiła głowę w drugą stronę. Niebezpiecznie zbliżyła się do mnie.

– Co robisz? Czemu na mnie włazisz?

Zmarszczyła brwi jeszcze bardziej. Jej twarz przypominała leżący przez dwa lata w piwnicy stary, zapomniany ziemniak, który już zaczął się rozkładać.

– Tyka.

– Co?

– Tam coś tyka. Ten Ten słyszy. Ma bardzo dobry słuch. –
Wskazała palcem na swoje ucho.

Ucieszyłam się.

– Och, to pewnie zegarek!

Znowu kręcenie głową.

– Tyka inaczej niż zegarek.

– Co by to więc mogło być?

Zaczęłam rozpakowywać podarunek. Delikatnie pociągnęłam za wstążeczkę i...

Ten Ten wyrwała mi mój prezent i zaczęła biec w stronę fontanny.

– Ten Ten! Wracaj! Oddawaj mój zegarek, złodziejko!

Ruszyłam jej śladem, nie zważając na to, że zwróciłyśmy uwagę przechodzących obok ludzi.

– Pokrako jedna, poczwaro, okropny potworze! –
sypałam wyzwiskami.

Krzyknęłam rozziewając, kiedy pakunek, wyrzucony ręką służącej, wzniósł się w powietrze, a następnie wpadł do fontanny.

Dopałam ją, złapałam za ubranie i zaczęłam szarpać, jakby była szmacianą lalką.

– Coś ty zrobiła, wariatko jedna? Ja... ja ci ukreczę tę twoją chińską głowę. Ja...

I wtedy to się stało. Fontanną wstrząsnął wybuch. Rozprysnęła się na kawałki. Odrzuciło nas i kilku innych ludzi do tyłu. Wokół spadały kawałki gruzu, a woda wylewała się na powierzchnię rynku. Ludzie zaczęli krzyczeć i uciekać.

Siedziałam z rozkraczonymi nogami, oszołomiona, na płycie rynkowej i nie mogłam zrozumieć, co się stało. Szybko to jednak do mnie dotarło.

– Wysadziłaś w powietrze fontannę – wyszeptałam cicho, a potem popatrzyłam na nią, jakbym ją znowu widziała po raz pierwszy. – Skąd wiedziałaś?

– Nie tykało jak w zegarku. Tykało jak bomba.

– Jezus Maria, skąd ty możesz wiedzieć, jak tyka bomba?

– Ten Ten wiele przeżyła, wiele widziała i słyszała. Wie, jak tyka bomba.

– O mój Boże... – Przytknęłam rękę do ust. – On... on...

Ten Ten pokiwała głową.

– Kto to był? Dlaczego?

Nagle wszystko do mnie dotarło. Ten młody przystojny mężczyzna chciał mnie po prostu zabić. Nie udało mu się to tylko dzięki stojącej obok Ten Ten. Gdyby jej nie było...

– Musimy stąd uciekać – dodałam już pewniejszym głosem. Zaczęłam wstawać.

– Dlaczego? Już po wszystkim.

– Nie. Był wybuch, musi być ciało. Zaraz przyjdą skontrolować, czy już po mnie. Trzeba uciekać. Szybko.

Złapałam torebkę, chwyciłam Ten Ten za rękę i rzuciłyśmy się w jedną z uliczek, żeby zniknąć w gęstniejącym tłumie. Nagle plac zaczął się zapełniać ludźmi, gdzieś rozległ się ryk karetki pogotowia i policyjne syreny.

Po chwili znalazłyśmy się poza rynkiem, ale nadal nie przestawałyśmy uciekać. Strach był tak wielki, że gnał nas do przodu. Wreszcie schowałyśmy się w jakichś krzakach

i usiadłyśmy, łapiąc oddech.

– Pomyśleć, że gdyby nie ty, już by mnie tu nie było.

Ten Ten milczała.

– Jestem ci bardzo wdzięczna. Dziękuję ci. Uratowałaś mi życie.

Nadal trzęsłam się jak osika. Przytuliłam się do mojej towarzyszki i siedziałyśmy tak, bojąc się opuszczać schronienie, aż do wieczora. Dopiero potem, zdrętwiałe i połamane, wyszłyśmy z krzaków. Udało mi się złapać jedną z taksówek.

– Dokąd? – zapytał otyły kierowca.

– Do Wodzisławia.

– Konkretnie?

Spojrzałam na Ten Ten. Odetchnęłam.

– Na cmentarz komunalny.

ROZDZIAŁ 17

Cmentarz



Patrzyłam na mijane jednorodzinne domy, w których oknach paliły się żółte światła. Czasami widywałam w nich siedzące przy stole rodziny, matki krzątające się po kuchni, pewnie przygotowujące kolację dla swoich pociech albo dobrych mężów, którzy dopiero co wrócili z pracy. Westchnęłam. Takie życie nie było mi widocznie pisane, aczkolwiek tęskniłam za spokojem i chwilą odpoczynku.

Ten Ten jakby na chwilę przysnęła, kierowca włączył radio. Maryla Rodowicz właśnie śpiewała piosenkę o miłości. Zamknęłam oczy.

– Halo! – Męski głos dochodził gdzieś z daleka. – To nie hotel do spania, tylko taksówka.

– Wiem, wiem – mruknęłam i przechyliłam się na drugą stronę, żeby smacznie spać dalej.

– Jesteśmy w Wodzisławiu. Na cmentarzu. Proszę

wysiadać.

Obudziłam się raz-dwa. Cmentarz? O kurczę, przysnęłam. Wysiadłam pospiesznie.

– TO też proszę wyciągnąć, bo nikogo ze sobą nie zabieram. Co za ludzie! – narzekał kierowca. Kiedy już mu zapłaciłam, stał się jeszcze bardziej opryskliwy. – Poczucia wstydu nie mają!

Zaczęłam potrząsać służącą, ale nie udało mi się jej dobudzić. Dziwne, bo zawsze miała lekki sen. Może właśnie dlatego nigdy porządnie się nie wysypiała i teraz skamieniała? Nie miałam wyjścia, więc uderzyłam ją w policzek. Od razu otworzyła oczy.

– Wstawaj, musimy iść – powiedziałam łagodnie, ponieważ nagle, pomimo szpetoty, wydała mi się malutką dziewczynką.

Wygramoliła się z samochodu i stanęła niepewnie na nogach-kopytach. Taksówkarz trzasnął drzwiami i zniknął. Co za ludzie, pomyślałam, jak on przed chwilą. Niektórzy tacy już się rodzą...

– Co teraz? – powiedziałam głośno, rozglądając się bezradnie.

Stałyśmy na parkingu przed wejściem. Oczywiście brama, znajdująca się jakieś dwadzieścia metrów od nas, była zamknięta, jakżeby inaczej. Przeszedł mnie dreszcz. Z daleka cmentarz wyglądał złowroźnie.

Przeszłam obok zamkniętego sklepiku z kwiatami i nacisnęłam klamkę furtki.

– Cholera jasna – zakląłam. – To już nic nie może być dzisiaj otwarte? Wszystko zamykają.

– Okropnie tu – zauważyła Ten Ten, rozglądając się wokół. Było ciemno i mglisto.

– Za bramą będzie jeszcze okropniej. – Nie powstrzymałam się, żeby nie powiedzieć tego na głos. Kiedy zerknęłam przez bramę, przeszły mnie dreszcze.

Delikatnie szarpnęłam furtką, sprawdzając, czy nie mam aby chociaż trochę szczęścia. Może okaże się, że jest otwarta... Ale nie. Zamknięta.

– Musimy ją przeskoczyć. Nie ma wyjścia.

– Czy naprawdę musimy tam iść?

Wiatr poruszał koronami drzew wokół cmentarza i prawdę mówiąc, nie dziwiłam się jej, że raczej chciała wziąć nogi za pas. Sama miałam taką ochotę.

– Musimy.

– Po co?

– Nie wiem. Po prostu czuję, że powinniśmy tam iść. Szósty zmysł, czy któryś tam.

Ten Ten zmarszczyła brwi. Nie rozumiała. Pał licho, pomyślałam i zaczęłam włączyć na bramę. Potem jednak zeskoczyłam i podeszłam do przyglądającej mi się służącej.

– Ty pierwsza. Jesteś mała i szczupła, przecisniesz się pod spodem.

Brama nie sięgała podłoża, więc spokojnie mogła przejść pod nią.

– Ten Ten się boi.

– To tylko cmentarz. Bać się trzeba żywych, nie martwych.

– Martwi też mogą być niebezpiecznie.

– Niebezpieczni – poprawiłam, zmuszając ją

jednocześnie, by uklękała.

Rozejrzałam się dokoła. Gdzieś tam przejeżdżało auto, ale miasto właściwie już spało. Jeśliby nie liczyć wiatru szarżującego pośród koron drzew, można by powiedzieć, że panowała względna cisza.

– Nie musiałaś mówić tego o martwych – zbeształam ją nagle.

Czy tam aby w ciemnościach nie porusza się człowiek?

– Ten Ten widziała wiele martwych. Po śmierci oni robić straszne rzeczy.

– Może u was, w Chinach. Nasze polskie trupy są spokojne. Leżą sobie w trumnach i nie potrzebują wyłazić.

– Oni nie wyłazą. Ich dusze same...

– Och, przestań wreszcie – warknęłam i złapałam ją za kark, ścisnęłam i na siłę przygięłam do ziemi. – Włóż, bo kończy mi się cierpliwość. Mogłaś zostać w hotelu!

– Nie mogłam! A co, jeśli tam ktoś mnie złapie i...

– Włóż! – warknęłam, oszalała ze złości. Spojrzałam za siebie, czy ktoś mnie nie usłyszał. Wokół nikogo nie było.

Ten Ten, choć opierała się, jak mogła, położyła się na ziemi i za chwilę znalazła się po drugiej stronie. Już zamierzałam wspiąć się na bramę, kiedy nagle drgnęłam. Wydało mi się, że znowu widzę jakiś cień przesuwany się na końcu cmentarza. Stanęłam jak wryta.

– Co się dzieje? – Ten Ten patrzyła na mnie ze strachem, trzymając się jednego z dwóch krzyży, które były częścią bramy.

– Nic.

Zebrałam się w sobie, oparłam nogę na doskonale do niej pasującym krzyżu i raz-dwa przeskoczyłam przez bramę, uważając, by nie nadzieć się na wystające z niej końce. Nie obyło się jednak bez rozdarcia materiału. Sprawdziłam ręką, poszły szwy w kroku. No nic, jest ciemno, westchnęłam.

Stałyśmy obie na cmentarzu. Zastanawiałam się, co teraz. Nie chciałam się przyznać, że nie do końca wiem, w którą stronę iść, by jej niepotrzebnie nie niepokoić.

W tym samym momencie znowu odniosłam wrażenie, jakby na cmentarzu oprócz nas był ktoś jeszcze.

– Ruszamy. – Wzięłam ją pod rękę i skierowałyśmy się prosto w stronę grobów, choć to nie był kierunek, który powinnyśmy obrać. Na wszelki wypadek wolałam zrobić małe koło, aby zmylić przeciwnika, jeśli rzeczywiście ktoś oprócz nas tu jeszcze był.

– Okropny cmentarz – wyszeptała Ten Ten, trzymając się mnie kurczowo za ramię. Posuwałyśmy się równolegle do bramy, idąc troszkę pod górę.

– Jak każdy. Widziałas kiedyś przyjemny cmentarz? W Chinach musicie mieć jeszcze brzydsze, przecież tyle was tam jest. Dziwię się, że macie miejsce na życie.

Nagle dobiegł nas jakiś hałas od strony bramy. Przystanąłyśmy na ścieżce prowadzącej w głąb cmentarza. Mgła przesłaniała widok. Skoczyłyśmy między groby, by schować się przed ewentualnym napastnikiem.

– Ktoś tam jest!

– Nie, to tylko gałąź – powiedziałam niepewnie, przekonując się w myślach, że tak, to tylko gałąź, na którą

właśnie ktoś nadepnął.

– Trzeba się schować.

Rozejrzałam się.

– Masz rację. Ukryjmy się pomiędzy płytami.

Weszliśmy pospiesznie w sam środek stojących w rzędach grobów. Przyczailiśmy się przy jednym z nich, w sporej odległości od ścieżki, i przysiadliśmy, próbując być niewidoczne.

Wyjrzałam zza jednej z płyt, sprawdzając dokładnie przestrzeń przed nami.

– Tylko nie to! – szepnęłam.

– Co?

– Czujesz, jak się robi zimno?

– Czuję.

– I mgła się zagęszcza. Zobacz.

Ten Ten wychyliła się ze swojej kryjówki i wydała z siebie nieartykułowany dźwięk, który miał chyba oznaczać jęk.

– To zły znak! – wyszeptała mi do ucha.

– Przestań! To zwykła mgła. Niestety, może nam utrudnić zadanie.

– We mgle nie da się dojrzeć ducha – nie przestawała mnie straszyć.

– Ani człowieka – dodałam.

Miałam nadzieję, że przez tę mgłę nie stracę orientacji w terenie. Jeżeli tak, będziemy zgubione.

Nagle Ten Ten chwyciła mnie kurczowo za ramię.

– Co?

– Ktoś tam jest! Przed nami!

Popatrzyłam i zamarłam. Rzeczywiście ktoś tam chodził. I na szczęście nie był to duch, tylko żywy człowiek. Słyszaliśmy odgłos jego kroków.

– Może to stróż? Tylko czy mają tu w nocy stróża?

– Posikam się! Tu są złe moce!

– Ani mi się waż! I bądź cicho, musimy przestać rozmawiać.

– Idzie prosto w naszą stronę!

Miała rację, ktoś kierował się dróżką od strony kaplicy w naszym kierunku. I ułatwiał sobie ten marsz latarką.

– Słuchaj. Przejdziemy szybko trochę wyżej. Każda z nas wejdzie pomiędzy dwa groby i położy się na ziemi, tak żeby nie było nas widać.

Człowiek był coraz bliżej i świecił w każdą stronę, pomiędzy kolejnymi rzędami grobów. Tu, gdzie stałyśmy, byłyśmy widoczne jak na dłoni.

Odwrociłam się, Ten Ten już pędziła na czworakach jak pies w stronę odległych grobów i po chwili zniknęła. Dobra dziewczynka, pochwaliłam ją w duchu, sama zaś na kolanach ruszyłam jej szlakiem pomiędzy kolejne groby i położyłam się na zimnej ziemi. Teraz należało czekać.

W ciszy słyszałam odgłos zbliżających się kroków. W pewnym momencie światło latarki zaczęło przesuwać się po miejscu, w którym przed chwilą stałyśmy, ale to jeszcze nie był koniec. Zastygłam w bezruchu, zdawszy sobie sprawę, że światło przedziera się przez mgłę między grobami również na przodzie cmentarza.

Co najmniej dwóch mężczyzn przeszukiwało cmentarz i według mnie z pewnością nie mogli to być ci, którzy

mieli za zadanie pilnować to miejsce nocą.

Po chwili światła zniknęły. Uświadomiłam sobie, że z miejscem, w którym się aktualnie znajdujemy, coś jest nie tak. Groby nie miały tu pomników, a jedynie drewniane obramowania, rozpadające się lub zapadające w ziemię. Niektóre też, jak zdążyłam zauważyć, nie miały tabliczek z imionami zmarłych, tylko daty śmierci. Trafiliśmy w miejsce, gdzie grzebano niezidentyfikowane ciała bądź też ludzi bez rodzin, zapomnianych...

Odczekałam chwilę i na czworakach przeszłam do leżącej trupem Ten Ten. Wokół nas przepływały tumany mgły. Może się okazać, że ta pogoda uratuje nam życie. O ile pomimo wszystko uda mi się znaleźć odpowiedni grób.

– Ten Ten? Musimy iść dalej. Uważaj, żeby na coś nie nadepnąć. Każdy odgłos może ich naprowadzić na nasz ślad. To miejsce mnie przeraża, spójrz na groby obok.

Kobieta rozglądała się niepewnie wokół.

– To najbardziej nieszczęśliwa część cmentarza. Musimy stąd zmykać.

Gapła się na mnie, jakby nie rozumiała, o co chodzi, i może nawet nie rozumiała, przecież jej znajomość polskiego nie mogła być zbyt dobra. Biedaczka spędzała cały swój czas zamknięta w domu. Skinęłam na nią ręką, dając jej do zrozumienia, by szła za mną. Na wszelki wypadek przytknęłam palec do ust, by nic nie mówiła. Im ciszej będziemy się zachowywały, tym lepiej dla nas.

Zanim doszliśmy do głównej ścieżki, parę razy natrafiłam kolanem na kamień i musiałam się powstrzymać, żeby nie syknąć z bólu. Wreszcie

opuściliśmy to okropne miejsce i wyszliśmy na główną alejkę.

Wzięłam Ten Ten za rękę i, starając się iść jak najszybciej, skierowałyśmy się w stronę wyjścia, ostrożnie posuwając się do przodu, pomiędzy grobami z drugiej strony. Co ciekawe, nagle w głowie zamajaczył mi dokładny plan cmentarza, a więc miałam rację, żywiąc podejrzenia, że wreszcie wraca mi pamięć. A w każdym razie przypominały mi się niektóre wydarzenia z przeszłości.

Wtedy znowu światła zaczęły przesuwać się w naszym kierunku. Szybko złapałam Ten Ten za rękę i pobiegłyśmy, mijając po drodze opuszczone groby i kosze na śmieci. Posuwałyśmy się drogą, patrząc tęsknymi oczami za wolnością, na lewo bowiem prowadziła jeszcze jedna ścieżka i nie było tam już grobów. Może cmentarz miał drugie wyjście, nie umiałam sobie przypomnieć. Ale nie mogłyśmy uciec, należało załatwić to, po co przyszłyśmy. Minęłyśmy kaplicę po prawej stronie i doszłyśmy prawie do końca drogi. Zeszłyśmy w dół, by schować się na chwilę w pobliskim lesie, niestety glina i smród nam to uniemożliwiły. Chodziłyśmy wokół, nie wiedząc, co robić. Nagle zatrzymałam się przed jednym z grobów.

– Patrz, jaki świeży grób.

– Wszystkie tu są nowe – odburknęła charakterystycznym, gardłowym głosem.

Miała rację, znajdowałyśmy się w miejscu, gdzie chowano „najświeższych” zmarłych. Stąd ta glina...

Przeczytałam napis na tabliczce.

– Roman Paczkowski...

– Kto to jest? – zapytała.

– Niedawno zmarły ojciec autora tej książki.

– Nie wiedziałam... – szepnęła Ten Ten i pochyliła głowę.

Nagle jakbyśmy obudziły się ze snu. Ten Ten zobaczyła ubikacje, stojące powyżej po lewej, przy samym płocie.

– Potrzebuję sikać.

– Nie ma mowy! Tam nie pójdziesz. Zrób, co masz zrobić, tutaj.

– Boję się.

– Tutaj albo się posikasz!

Odeszła kawałek i załatwiła potrzebę. Ruszyliśmy w górę, rzucając ostatnie spojrzenie na stojący na grobie wrzos...

Doszliśmy do kaplicy, skręciliśmy w prawo i udałyśmy się w stronę pierwszych grobów po drugiej stronie cmentarza. Interesował nas ten szczególny, pośrodku. Przemknęliśmy szybko i znalazłyśmy się u celu. To był ten właściwy. Byłam tego pewna.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziałam i puściłam jej rękę. Niestety, od razu znowu się mnie uczepliła.

– Co teraz?

– Musimy odsunąć tę płytę.

Spróbowałyśmy, ale nie udało nam się przesunąć jej ani o milimetr. Opadłyśmy na kolana, dysząc ciężko.

– Nie da rady – powiedziałam do siebie.

W tym czasie w oddali zajaśniało przytłumione światło latarki.

– Jasna cholera! – zaklęłam, patrząc w stronę zbliżającego się człowieka.

Zacząłam intensywnie myśleć. Przecież musi być jakiś sposób!

Pospiesznie dotykałam grobu ze wszystkich stron. Nic. Żadnego przycisku, włącznika, podejrzenie wyglądającej dziurki. Poddałam się. Usiadłam na ziemi i oparłam się o pomnik.

Ten Ten nagle czmychnęła za pomnik.

Światło latarki mnie oślepiło. Przede mną stał wysoki, barczysty mężczyzna w kominiarce na głowie.

– No, no, no – powiedział przeciągle. – Co my tu mamy?

Patrzyłam na niego przerażona, ponieważ w drugiej ręce trzymał broń, którą mierzył prosto we mnie.

ROZDZIAŁ 18

Pogrzeb



Mały! – zawołał mężczyzna z pistoletem w ręce. –
Mamy ją! Cho no tutaj!

Głośne kroki świadczyły, że drugi napastnik się zbliża. Ten Ten chwyciła mnie za rękę i wpiła paznokcie w moją skórę. Bolało, ale w tej chwili było mi wszystko jedno.

Mały, jak go nazwał stojący przede mną facet, okazał się kolosem, przewyższającym o głowę tego pierwszego. Również on trzymał w ręce pistolet, w drugiej latarkę, a na głowie miał czarną kominiarkę.

– Co masz? – zapytał z nutą euforii w głosie. Widocznie cieszył się z naszego spotkania.

– Myszkę, która sama wpadła nam w ręce. He, he – zaśmiał się krótko ten pierwszy.

– Nieźle. Od rana swędziała mnie lewa łapa. Mówiłem, że zarobimy tę kasę. Moja stara będzie zdziwiona. Wreszcie pojedzie na wakacje i kupi sobie pralkę. Skończy się

lamentowanie, że nie ma nawet na nowe majtki!

– Ja tam mojej nie dam nic. Też mam wydatki. Wiesz, jakie są baby, nie? Ile dasz, zawsze będzie mało.

– Już ja wiem jakie – szturchnął go w ramię i obaj się roześmiali. – Utrzymanie Dziuni też pewnie kosztuje.

Wreszcie ucichli i spojrzeli na mnie.

– Nie mówił, że będzie taka chuda. Według mnie to jej nie trzeba nawet zabijać. – Wskazał na mnie pistoletem. – Niedługo sama wyciągnie kopyta.

– Jesteś pewien, że nie wygrzebałeś jej z jakiegoś grobu?
– chciał się upewnić ten drugi.

– Coś ty, przyczaiła się tu i ją zobaczyłem.

– Może znowu wylazła? Widziałeś wiadomości?

– Widziałem, ale wtedy była brudna, a teraz jakaś czysta się wydaje.

– Lepiej sprzątnąć ją od razu!

– Nie musicie mnie zabijać – wtrąciłam się i zaczęłam negocjować, bo wyraźnie chodziło im tylko o kasę. – Jeżeli nas puścicie, dam wam więcej kasy, niż zarobicie teraz. Mam dobrze prosperujący biznes pogrzebowy.

– Ile więcej? – Małemu zaświeciły się oczy.

– Dwa razy tyle.

Popatrzyli po sobie.

– Wciska nam kit, stary. Powiedział mi przez telefon, że będzie nas chciała przekupić, ale żadnej kasy – tu zwrócił się do mnie – to ty, paniusiu, nie masz. Twój mężulek powiedział, że jesteś biedna jak mysz kościelna. A ten cały biznes to pic na wodę.

– Co ty tam wiesz – mruknęłam, bo zrozumiałam z jego

słów, że naprawdę nie uda mi się przeciągnąć ich na swoją stronę. Z głupimi trudno się pertraktowało.

– Nadal nie wierzę, że tu sama przyszła – śmiał się ten drugi. – Baby to takie głupie stworzenia.

– Czego od nas chcecie?

– My? Niczego!

– To czemu mierzycie do mnie z pistoletu?

– No właśnie, czemu? – spytał ten pierwszy drugiego.

Naraz obaj się roześmiali.

– Może po to, żeby ci wpakować kulkę w ten głupi łeb? He?

Drugi kopnął go nogą.

– Najpierw sejf.

Zdziwiłam się.

– Jaki sejf?

– Nie udawaj głupszej, niż jesteś. Dobrze wiemy, co ukryłaś w tym grobie.

– To ciekawe, bo ja nie wiem.

– A jak ci wpakuję kulkę między oczy, to będziesz wiedziała?

Pomyślałam chwilę i doszłam do wniosku, że raczej mnie nie zabije tak od razu.

– To strzelaj, ale wtedy nie dowiesz się, jak ten sejf wydostać. I co? Twój zleceniodawca chyba nie będzie zadowolony, że tajemnicę zabrałam do grobu. A jeżeli coś mi się stanie – improwizowałam – jest jeszcze jedna osoba znająca to miejsce i ona postara się załatwić sprawę do końca.

– Wyciągniemy z ciebie prawdę. Nie takimi sprawami

się zajmowaliśmy.

Mały wyjął telefon i wybrał jakiś numer.

– Szefie? Mamy ją – powiedział.

Słuchał przez chwilę, pochrząkiwał, kiwał głową, a z jego ust wydobywało się coś w stylu: uhem, ehem. Wreszcie popatrzył na mnie i włożył telefon z powrotem do kieszeni spodni. Rozmowa z szefem dobiegła końca.

– Mamy ją wykończyć – zwrócił się do kompana. – Ale najpierw trzeba wykopać ten przeklęty sejf.

– Pójdę po łopaty i kilof. Poczekaj.

Odszedł. Mały trzymał mnie na muszce.

– Zabawiłbym się z tobą przed śmiercią – zwrócił się do mnie, zapalając papierosa. – Ale niestety jesteś za chuda. Zastanawiam się, jak w ogóle mogłaś znaleźć faceta, taka miotła.

– Ty pewnie coś o tym wiesz? Jestem ciekawa, jak wygląda twoja miotła.

– Lepiej od ciebie, tego możesz być pewna.

Jego kompan wkrótce wrócił z łopatami, kilofami i szpagatem. Kiedy podchodził do mnie, Ten Ten wyskoczyła i zaczęła wyć. Odskoczyli obaj jak oparzeni.

– Boże! Trup!

– Zabij go!

Ten Ten upadła na kolana, szlochając i składając ręce jak do modlitwy.

– Boże, co to za maskara? – Jeden przyjrzał się Ten Ten z bliska, robiąc krok do przodu i popychając ją łopatą z obrzydzeniem malującym się na twarzy.

– Wylazła z tego grobu! – Drugi wskazał ręką.

– Wciśniemy ją tam na siłę! – Mały zamachnął się łopata, żeby przyłożyć klęczącej kobiecie.

– Nie! – zasłoniłam ją ciałem. – Zwariowałeś? Ona jest ze mną!

Zatrzymał się i spojrzał na mnie, a potem na nią.

– To może być prawda. Matka? Obie jesteście szpetne jak noc.

Prychnęłam jak dzika kotka.

– Dobra. W takim razie zwiążemy je i zaczynamy działać. Czas ucieka. Ale starą trzymasz ty, nie chcę z nią mieć nic wspólnego.

Chwycili nas brutalnie, posadzili tyłem do siebie i, wcześniej krępując ręce na plecach, związali nas. Byłyśmy uwięzione i zdane na ich łaskę. Miałyśmy przed sobą ostatnie minuty życia.

Co czułam?, zapytałby ktoś. Wściekłość. Gdybym mogła, pogryzłabym ich, i tak też uczyniłam z ręką jednego, ale nie opłacało mi się to, ponieważ dostałam porządnie w twarz.

– Pożałujesz tego! – Popatrzyłam na niego mściwie.

Roześmiał się kozim śmiechem.

– Jesteś tego pewna? Bo mnie się nie wydaje.

Zostawili nas i dobrali się do pomnika. Zaczęli walić kilofami i nie pozostało mi nic innego, jak tylko przyglądać się tej profanacji.

Właściwie nie wiedziałam, o jaki sejf chodzi. W głowie pojawiały mi się różne obrazy, jak ten cmentarz, grób, skrytka. Niestety moja pamięć nie działała jeszcze prawidłowo i niesamowicie mnie to denerwowało.

Próbowałam uwolnić się z więzów, ale tak mocno nas omotali, że szpagat wpijał mi się w skórę i musiałam zrezygnować z dalszych prób. Z każdą minutą, gdy pomnik bardzo przypominał zwalisko gruzów, godziłam się z myślą o zbliżającej się śmierci.

Gdyby tak mógł tu być Vaclav...

Niestety, nie było go i przyjdzie mi odejść z tego świata razem z Ten Ten. Nie było to jednak takie złe. Umierać z kimś, komu prawdopodobnie uratowaliście życie oraz kto z pewnością żywi do was cieplejsze uczucia, to lepsze, niż umierać w samotności.

Pomnik został już całkowicie zburzony. Wielkie kawały płyty leżały wszędzie. Teraz mężczyźni odgarniali kilofami gruz. Wreszcie wzięli się za łopaty i zaczęli kopać w ziemi.

– Nie boicie się zmarłych? – zapytałam.

Jeden popatrzył na mnie z wściekłością, po czym od razu wrócił do pracy.

– Czemu nie zapchaliśmy jej czymś jadaczki?

– Zaraz ją będzie miała zapchaną. Niech sobie jeszcze pogada, w końcu to jej ostatnie słowa na tym świecie. Za moment będzie gadała z diabłem.

– Jedyne diabły, o których wiem, że istnieją, to ludzie tacy jak wy!

– Obyś się nie myliła. Niestety, tego już się nie dowiemy od ciebie.

– Mam nadzieję, że duchy martwych ludzi, którym tu zakłócasz spokój, będą cię prześladowały do końca życia. I ciebie też – krzyknęłam do nich.

– A ja mam nadzieję, że za chwilę setki wyposzczonych

szatanów pokażą ci, do czego służą takie baby jak ty!

– Bydlak!

Zaczęłam znowu się szamotać, ale więzy nie popuściły ani o milimetr. Czułam się bezsilna. Nie ma dla człowieka nic gorszego na świecie, niż chcieć coś zrobić, a nie móc. Nie panować nad własnym ciałem i być zdanym na łaskę drugiego.

– Co to? Płyta? – zapytał jeden z oprawców, kiedy natrafił łopataą na coś twardego.

– Weź kilof i rozwał to – poradził drugi.

Rozległ się odgłos silnego uderzania w stawiający opór materiał.

– Tu jest jakaś dziura! – doszedł mnie krzyk Małego. – Duży! Chyba nam się udało!

Mały i Duży? O matko... są tak oryginalni, pomyślałam. Era kamienia łupanego w dwudziestym pierwszym wieku.

Tuż za nimi usypał się już sporej wielkości kopiec. Z samego grobu wyłaniała się ciemna, ziejąca otchłań.

– Jest jakieś zejście. To pewnie tu się ukrywała przez ten czas, kiedy zniknęła.

– Tylko ciekawe, jak się dostawała do środka. Płyty raczej sama nie dźwignęła.

Pewnie można było zejść do środka w bardziej cywilizowany sposób niż ten, który wybraliście, kretyni, pomyślałam.

Duży, noszący tę ksywę chyba tylko dlatego, że był mniejszy, wskoczył do środka. Po chwili zapalił latarkę i krzyknął:

– Jest tu śpiwór, puszki z jedzeniem i woda do picia...

– Szukaj sejfu!

– A co niby robię tu, na dole?

– Szukaj, a nie gadaj, nie mamy całej nocy na pieprzenie.

Po chwili rozległ się triumfalny okrzyk.

– Jest! Znalazłem!

– A widzisz? – zwrócił się do mnie Mały, patrząc zwycięsko. – Mamy go!

Nie zareagowałam. Więzy okropnie wpijały mi się w ręce i coraz bardziej mi to dokuczało. Mgła tańczyła wokół nas, jakby w tym martwym świecie tylko ona żyła swoim życiem.

Nagle w wyrwie grobu pojawił się sejf, Mały wyciągnął go i położył obok, a potem podał rękę Dużemu i pomógł mu wyjść.

– Dobra robota, stary!

– Jesteśmy najlepsi!

– Już niedługo – prychnęłam.

– Co?

– Chyba nie jesteście tak głupi, by sądzić, że cała ta sprawa ujdzie wam na sucho? Jak tylko oddacie mu sejf, raz-dwa się was pozbędzie, a wasze ciała znajdą jutro w jakimś rowie.

– Nie jesteśmy tak głupi. Wiemy, jak się te sprawy załatwia.

– Może i tak. Tylko że tym razem nie wiecie, z kim współpracujecie.

– Co ty tam wiesz. – Machnął ręką i odwrócił się do koleżki, by coś z nią szeptem omówić.

– No dobra, to co z nią robimy? – Duży zaczął

przestępować z nogi na nogę, jakby musiał pójść za potrzebą.

– No właśnie, co ze mną zrobicie? – zapytałam.

Mały przyjrzał mi się z głupawym uśmiechem.

– Jak to co? Po prostu zakopiemy cię w tym grobie. Zrobimy ci szybki pogrzeb.

I zaczął się śmiać.

ROZDZIAŁ 19

Do widzenia



Pobladałam.

– Wydaje mi się, że możecie nas zostawić tu, gdzie jesteśmy. Nie będziecie mieli naszego życia na sumieniu.

– Nie pierwsze jesteście i nie ostatnie.

– Ale...

– Bierzemy je!

Podeszli do mnie i złapali mnie za nogi, Ten Ten również, po czym zbliżyli się do ziejącej grozą, ciemnej dziury.

Teraz zaczęłam się bać. Na twarzy czułam powiew śmierci. Trupio zimny pot spływał mi po całym ciele.

– Patrz, jak się poci – zaśmiał się Duży. – Nieźle jej daliśmy popalić.

Już nie byłam w stanie reagować. Po prostu struchlałam. To był koniec. Czekala nas śmierć. Wreszcie nadeszła moja ostatnia godzina, świeczka miała wypalić się do końca,

a właściwie ktoś miał zdmuchnąć jej palący się jeszcze żywo knot.

Rzucili nas do środka. Zabolało. Wydawało mi się, że spadłam na Ten Ten, ponieważ w jej kościach coś chrupnęło. Jęknęła, ale nic nie powiedziała. Ogarnęła nas ciemność.

Po chwili światło latarki przebiegło po mojej twarzy. Dojrzałam jedną głowę, spoglądającą do środka.

– Zobacz, stary, nieźle wyglądają, co nie?

Druga głowa pojawiła się obok pierwszej.

– W tym grobie ci do twarzy. Znalazłaś się na swoim miejscu.

Czyjaś ręka zaczęła machać na pożegnanie.

– Pozdrów od nas diabła!

Ziemia z łopaty spadła mi na głowę. Zamknęłam oczy.

Umierać na siłę, jak kiedyś musiały ginąć żony wielkich wodzów tylko dlatego, że ich pan umarł, to straszna śmierć. Nie można się z tym pogodzić, a sama świadomość, że człowiek musi umrzeć, chociaż jest młody i ciało ma zdrowe, była dla mnie w tym momencie nie do zniesienia. Pospiesznie udało mi się złapać Ten Ten za rękę i ścisnąć. Żegnaj, biedna kobieto.

Nie wiem, ile czasu to mogło trwać, kiedy nagle ocknęłam się, czując błakające się po twarzy światło. Ostrożnie otworzyłam oczy. Oślepiło mnie.

– Żyjecie jeszcze?

Skąd znam ten głos? Czy ja już umarłam? Co się dzieje?

– Marlena? Obudź się!

Uniosłam głowę. Dojrzałam jakąś postać stojącą

na górze. Był to anioł. Najprawdziwszy anioł, pewnie zesłany mi przez Boga. Boże! A więc umarłam i mam trafić do nieba. Stało się.

Nagle światło załamało się, usłyszałam: „jasna cholera” i coś ciężko upadło obok mnie.

– Ło matko, ale przywaliłam. Chyba się cała połamałam. Latarka zaczęła wędrować w dźwiękach jęków i nagle...

– Wanda?

– No ja, ja. A kto niby? Duch Święty?

– Myślałam, że umarłam.

– Nie bądź głupia. Przecież jeszcze nie zdążyli cię zasypać.

– Straciłam poczucie czasu.

– To zauważyłam.

– Co się stało?

– Może najpierw stąd wyjdziemy?

– Musisz nas rozwiązać.

– Mam scyzoryk, dawaj.

Podeszła i zaczęła przecinać szpagat. Trwało to długo, ale na szczęście udało jej się.

Wanda lekko kopnęła nogą leżącą obok Ten Ten.

– Chyba wykitowała. Pewnie jej serce nie wytrzymało. Nie chcę cię straszyć, ale leżałaś w grobie z trupem.

Dotknęłam kobiecinki i zaczęłam nią delikatnie potrząsać, nabierając coraz mocniejszego przekonania, że nie żyje, kiedy nagle drgnęła gwałtownie, wydając z siebie gardłowe chrapnięcie. Obie odskoczyłyśmy pod ścianę.

– Jezu, ale mnie przestraszyłaś – powiedziałam, łapiąc się za serce.

– A ty mnie – dźgnęła mnie palcem Wanda. – Mogłabyś następnym razem mieć wzgląd na ludzi, dla których szlajanie się po grobach nie należy do porządku dziennego. Ani nocnego!

– To nie moja wina, że się przestraszyłaś. Pewnie masz coś na sumieniu, dlatego tak zareagowałaś! Niestety ja z tym nie mam nic wspólnego. Twoje sumienie...

– Wypraszam sobie! Chcesz powiedzieć, że... – Kłótnia zaczynała się na dobre, kiedy Ten Ten otrzepała się z ziemi i jęknęła, próbując wstać. Zamilkłyśmy.

– Biedaczka, chyba ma złamaną nogę.

– To ją tu zostawmy!

– Nie ma szans!

– Dobra. – Wanda zaczesła włosy do tyłu. – Co robimy? Śmierdzi tu i wolałabym już raczej napić się wódki, niż tu siedzieć.

– Wyjdę pierwsza. Podasz mi Ten Ten, a potem wciągnę ciebie.

Wanda nastawiła dwie złączone dłonie i raz-dwa wygrzebałam się na górę. Powiało przyjemnie, aż zakręciło mi się ze szczęścia w głowie. Potem zapałam się nogami o ziemię, jedną ręką chwyciłam dłoń Ten Ten i wyciągnęłam ją na górę. Na szczęście była lekka jak piórko. Czy ona coś je, czy pije tylko te chińskie herbatki?

Niestety, z Wandą było trochę trudniej. Ciągnęłam ją za rękę z całej siły, ale nie udało się. Pierwsza próba okazała się fiaskiem. Druga też. Spadała jeszcze trzy razy.

– Już nie mogę – poddałam się, ciężko dysząc. – Jesteś po prostu za gruba.

– Znowu te złościwości! Po prostu mam spocone ręce!
– Nieprawda! Mówię, jak się sprawy mają!
– A nie mogłabyś chociaż raz powiedzieć, że jestem puszysta albo na przykład pełniejszych kształtów?

– No... Co do tych pełniejszych, nie jestem pewna. Dla mnie jesteś zwyczajnie gruba. Masz nogi jak baleron i...

Rzuciła we mnie garścią ziemi.

– Co robisz? Zwariowałaś?

– Chcę, żebyś zamknęła przeklętą jadaczkę i wyciągnęła mnie z tego parszywego grobu. W końcu wpadłam tu z twojego powodu, kiedy przyszłam ratować ci tę chudą, kościstą dupę!

Złapałam się pod boki.

– Wiesz co? Nie musiałaś...

– Po prostu wyciągnij mnie STĄD!!!

Tak. Dotarło do mnie. Wpadała w histerię. Jej wrzask musieli usłyszeć wszyscy martwi, na sto procent. Trzeba było coś wykombinować.

Rozejrzałam się wokół. Przeszłam po paru najbliższych grobach, przyglądając się leżącym obok bezwładnym ciałom dwóch mężczyzn, których widocznie jakimś sposobem załatwiła Wanda, i poznosiłam wszystkie kwiaty, doniczki, wieńce i wazon, które znalazłam. Kolejno wrzucałam je do grobu.

– Uformuj stos pod jedną z tych ścian.

Zrobiła, jak jej kazałam. Ten Ten, kulejąc, również zносиła rzeczy i wrzucała do grobu, mimo że każdemu jej krokowi towarzyszyło ciche jęknięcie.

Potem chwyciłam jednego z facetów i pociągnęłam go

za rękę, żeby wrzucić go do grobu. Byłam spocona i wykończona, w płucach świszczało mi jak w starej lokomotywie parowej i łamało mnie w plecach. Zanim udało mi się go przesunąć do przodu, a brakowało mi niewiele centymetrów, zaczął odzyskiwać przytomność.

– Budzi się! – wrzasnęłam i odskoczyłam od niego jak oparzona.

– To złap łopatę i znowu mu przyłóż! – doleciało z grobu.

Więc już wiedziałam, jak ich spacyfikowała. Natychmiast łopata znalazła się w moich rękach i, nie zastanawiając się wiele, walnęłam mężczyznę w łeb, a on przestał się ruszać.

– Udało się! – zaśmiałam się histerycznie. – Załatwiłam go!

– Na wszelki wypadek rąbnij w czachę jeszcze tego drugiego!

Tak też zrobiłam, a potem ciało pierwszego znalazło się w dziurze. Drugiego nie udało mi się przeciągnąć, bo leżał trochę dalej, i nie ulegało wątpliwości, że był to Mały.

Na szczęście Wandzie z moją pomocą udało się wejść na Dużego spoczywającego na pozbieranych z grobów przedmiotach i wreszcie była wolna.

Odetchnęłyśmy obie. Ten Ten siedziała na ziemi, nic nie mówiąc, ja zaś starałam się jakoś dojść do siebie i uspokoić oddech.

– Musimy wrzucić do dziury jeszcze tego gnoja. – Wanda kopnęła zbira w kroku.

– Chyba nie dam rady.

– Nie zachowuj się jak paniusia z Warszawy. Jesteś

z Wodzisławia Śląskiego, zapamiętaj sobie! Nie jesteś żadną damulką, jasne?

– Chcesz powiedzieć, że w Warszawie są tylko paniusie?

– Nie, nie chcę powiedzieć, ale właśnie tak powiedziałam.

– Nie ma, że nie chcesz, jeśli chciałaś, bo to zrobiłaś!

– Nie łap mnie za słowa!

– To zastanów się, co mówisz!

– Słuchaj. Pochodzimy stąd, rozumiano? I ja jestem z tego dumna.

Przyjrzałam jej się, a potem złagodniałam.

– Przecież ja też. – Rozejrzałam się wokół z otwartymi ramionami. – Kocham to miasto. Ten cmentarz też.

Wanda westchnęła.

– Dobra, chodź, wrzucamy tego zbira do środka.

Wepchnęliśmy go tam z jękiem satysfakcji i zadowoleniem malującym się na twarzach. Stanęłam nad grobem, otrzepując ręce, ponieważ na wszelki wypadek i dla własnej satysfakcji nawrzucałam do środka ziemi.

– I komu teraz do twarzy w grobie? No?

Wanda już zbierała się do wyjścia.

– No to teraz się stąd wynosimy.

– Musimy najpierw precyzyjnie przejść przez bramę Ten Ten. Tylko nie wiem, jak ty ją przeskoczysz?

– Nie martw się, znalazłam nieopodal dziurę prowadzącą do lasu, więc bez problemu się przedostaniemy.

Chwycałam służącą pod ramię i ruszyliśmy w stronę głównego wyjścia. Wcisnęliśmy służącą pod bramę i po chwili była już po drugiej stronie. Kazałyśmy jej

na nas czekać. Szybko poszliśmy jedną ze ścieżek w kierunku płotu pod laskiem.

W połowie drogi zatrzymałam się.

– Sejf! – jęknęłam.

– Co sejf? – jak zwykle nie zrozumiała.

– Zapomniałyśmy zabrać sejf. Muszę po niego wrócić.

– Dobra, to wracaj – westchnęła. – Ja poczekam. Nie czuję się tu zbyt pewna siebie. Okropne cmentarzysko!

– Nie przesadzaj – powiedziałam i zniknęłam we mgle.

Znalazłam go bez problemu. Wzięłam w obie ręce i zawróciłam, dysząc jak emerytka po przejściach, bo był ciężki i tylko czekałam, kiedy mi coś strzeli w krzyżu. Nie mogłam go tu zostawić, jeżeli sama go przytaszczyłam i ukryłam. Mojemu kochanemu mężowi bardzo zależało na zawartości tego sejfu, a to oznaczało, że ukryłam w nim coś naprawdę ważnego.

Dotarłam do siedzącej na jednym z grobów Wandy i ruszyłyśmy. Raz, niestety, potknęłam się o nagrobek i runęłam jak długa. Sejf oczywiście, uderzając w płytę, odrąbał spory jej kawałek.

– Nieźle – skrytykowała Wanda. – Nie wystarczy ci, że już jeden grób z twojego powodu jest kompletnie zniszczony?

– Chcesz nieść to zamiast mnie? – warknęłam w odpowiedzi, próbując dźwignąć ciężar, którego miałam już po dziurki w nosie. Gdybym była psem, przegryzłabym jej aortę.

– Sama sobie nieś swoje graty!

– To mnie nie wkurzaj! – szarpnęłam się. Naraz coś mi

chrupnęło w krzyżu i znowu upuściłam sejf, który odrąbał kawałek następnej płyty nagrobnej.

– Nie mogę na to patrzeć. Jak nic będą cię straszyć, zobaczysz.

– Mam cię kopnąć?

Szybko znalazłyśmy przejście. Dziura, jakby wygrzebało ją pod płotem dzikie zwierzę, była tak mała, że Wanda miała wielkie problemy z przedostaniem się na drugą stronę. Kiedy w pewnym momencie uwięzła w połowie przejścia, nie mogłam się powstrzymać, by nie powiedzieć:

– Mam nadzieję, że nie trzeba będzie wzywać straży, żeby cię wydostali, nie wygląda to za dobrze.

– Milcz!

Połowa jej ciała była już po drugiej stronie, tylna część jeszcze po mojej. Wyglądała komicznie, wierzgając nogami i próbując się uwolnić.

– Może teraz ci martwi jednak się do ciebie dobiorą – roześmiałam się.

– Mogłabyś w końcu się ZAMKNAĆ?!

Opanowałam się, aczkolwiek przyszło mi to z trudem.

– Jesteś pewna, że szłaś tędy przed chwilą?

– Nie wiem, może pomyliłam dziury. Jest ciemno, jakbyś nie zauważyła. Zaraz zwariuję!

Choć starała się, jak mogła, nie posunęła się dalej ani o milimetr.

– Wyjdź, znajdziemy inne przejście.

– Nie umiem.

– Co?

– Zaklinowałam się.

Parsknęłam śmiechem.

– Pożałujesz tego śmiechu – pogroziła mi.

– Już nie bądź taka – odezwałam się łagodnie. – Pomogę ci.

– Jak? Naoliwisz mnie?

– Popchnę.

Zaczęłam mocno napierać na jej pośladki. Wydawało mi się, że jednak nic z tego, kiedy nagle coś drgnęło i ofiara uwięzienia znalazła się po drugiej stronie. Jeszcze tylko nogi jej wystawały, ale wkrótce i one zniknęły. Przerzuciłam za nią sejf i sama się przecisnęłam.

Przeszliśmy parę metrów, aż dotarliśmy przed bramę. Pomogłyśmy wstać Ten Ten i pospiesznie ruszyliśmy w stronę innej drogi, tak aby nie iść główną szosą.

– Dokąd idziemy?

– Nie wiem, do domu chyba raczej nie. Twoja kryjówka też już jest passé.

– Ten Ten musi trafić do szpitala. Ma złamaną nogę.

– Nie wiem, czy szpital będzie dla nas bezpiecznym miejscem. W wiadomościach mówili, że mąż jakiejś zmarłej zaatakował jednego z lekarzy i grozi mu śmiercią za zabicie żony.

– Naprawdę?

– Tak. Coś się tam dzieje już od jakiegoś czasu, tylko nie wiadomo co. Wydaje mi się, że ty wiesz, o co chodzi.

– Ja? Zwariowałaś? – oburzyłam się.

Wanda wskazała na sejf.

– Myślisz, że...

– Wydaje mi się, że tak.

Zastanowiłam się przez chwilę.

– Wiesz, tak sobie myślę, że jeżeli naprawdę trzymam tu jakieś dowody w sprawie tego, co się dzieje w szpitalu... To musi to mieć powiązanie z...

– Kiełbasą – dokończyła za mnie. – Dlatego chce cię sprzątnąć za wszelką cenę.

Szliśmy dalej. Minęliśmy staw i wyszliśmy na ulicę Skrzyszowską. Mgła panoszyła się wszędzie jak zaraza.

– Coś w tym jest – mruczałam pod nosem, wracając do tematu. – Pamiętam Pinokia. Zachowywał się dziwnie, a te kobiety, niby nic im nie dolegało, a jednak następnego dnia umierały.

– Lepiej zejdźmy z drogi. Nigdy nie wiadomo, kto będzie tędy jechał.

– No dobrze, pytanie, co zrobimy z Ten Ten. Nie możemy jej przecież schować w mieszkaniu i czekać, aż noga sama się zaleczy.

– Coś wymyślimy.

Szliśmy, zdawało mi się, wieczność, zanim dotarliśmy do miejsca, z którego widać było dyskont znany z reklamy, jaką sobie zrobił, sadzając kobiety przy kasach w pampersach.

Potem poszliśmy wzdłuż torów i wyszliśmy obok Karuzeli.

– Nie znoszę tych wielkich sklepów! Najchętniej spuściłabym tu bombę.

– Czemu?

– Z powodu takich centrów upadają małe firmy i robi się problem. Są centra handlowe, ale ludzie nie mają

pieniędzy na życie. Po co to? Zresztą, gdzie kupisz lepsze warzywa? W małym sklepiku, gdzie je sprzedają całe życie i zawsze mają te najświeższe, czy w wielkim sklepie, gdzie są tańsze, bo wymusili na dostawcy, aby im je sprzedał za bezcen, ale równocześnie są gorszej jakości?

– Wiesz, chyba jestem zbyt zmęczona na takie polemizowanie.

Wanda pokiwała głową, ale nic nie odpowiedziała.

Przeszliśmy przez park i ostrożnie wyszliśmy na rynek. Na szczęście ta noc należała do bardzo mglistych, więc widoczność była maksymalnie na trzy metry. Gdyby ktoś nas ścigał, łatwo mogłybyśmy go w niej zgubić.

– Do domu chyba nie możemy pójść – zastanawiała się Wanda.

– Nie. Właściwie nie mamy gdzie się schować. Może wynająć taksówkę i pojechać do Krakowa?

– To mógłby być dobry pomysł.

– Cisza jak makiem zasiał – mruknęłam.

Długo cicho jednak nie było, wkrótce z naprzeciwka usłyszałyśmy kroki. Struchlałyśmy i popatrzyłyśmy przed siebie. Z Ten Ten i sejfem raczej nie było możliwości szybkiej ucieczki.

Z mgły wyłonił się mój brat. Zataczając się, ciągnął na dziecięcym wózku telewizor.

Wanda wlepiła w niego wzrok.

– Może mi powiesz, co robi mój telewizor na tym wózku?

Chciałam ją przytrzymać, ale wyszarpała się i dobiegła do niego. Chwyciła go za szyję i potrząsnęła nim jak kukłą.

– To nie jest twój telewizor – wymamrotał.

– Nie mój? A czyj? To jest MÓJ telewizor! Poznałabym go wszędzie.

Odciągnęłam ją od niego.

– Zostaw go. Kupię ci nowy. Nie mamy czasu.

Przyjrzała mi się dzikim wzrokiem.

– Jak nie kupisz, to koniec z naszą przyjaźnią!

– Kupię, kupię – zapewniałam jeszcze, dając znak bratu, żeby zniknął.

– Gnida jedna! – wyrzucała z siebie Wanda. – Psia kupa!

Minęłyśmy Księgarnię św. Jacka i po chwili doszłyśmy do końca chodnika, graniczącego z ulicą Władysława Opolskiego. Tuż obok nas znajdowała się księgarnia Dom Książki.

Zatrzymałyśmy się.

– Mówiłaś, że znałam kiedyś właścicielkę tej księgarni?

– Nie znałaś, ale znasz – poprawiła mnie.

Po chwili mnie oświeciło.

– Wiem!

– Co wiesz?

– Ukryjemy się w tej księgarni. Tu nas nie będą szukać. Odpoczniemy, poczekamy do rana, a potem zmyjemy się i już.

– Ciekawe, jak chcesz się dostać do tej księgarni?

– Wybijemy szybę!

– I narobimy hałasu? Przecież ludzie z łóżek powyskakują. – Wanda postukała się palcem w czoło.

Postawiłam sejf na ziemi i podeszłam do wejścia.

Drzwi okazały się otwarte!

ROZDZIAŁ 20

Kroki na korytarzu



Wanda? Patrz!
– Jak to zrobiłaś?

– Nijak! Były otwarte!

Nagle odskoczyłyśmy do tyłu, Ten Ten przewróciła się na złamaną nogę i zawyła z bólu jak zarzynane zwierzę. Musiało ją bardzo zboleć, inaczej by się tak nie wydzierła.

– Dzień dobry. – Ujrzałam twarz, która od razu wydała mi się znajoma. – Czekałam na was. Wchodźcie. I uciszcie tego wyjca, bo ludzie się pobudzą.

Złapałam Ten Ten pod ramię i pomogłam jej wstać.

– Nie rycz tak głośno – zbeształa ją Wanda, próbując zakryć jej usta ręką.

– Zostaw ją w spokoju!

– Miasto obudzi!

Weszłyśmy do środka. Drzwi zostały zamknięte na klucz.

– Chodźcie na zaplecze, tutaj jeszcze ktoś nas zobaczy.

Kiedy już się rozsiadaliśmy w bezpiecznym miejscu, poruszająca się z gracją pani Bytomska zaparzyła nam kawy i podała talerz z ciasteczkami.

– Czy może mi pani wyjaśnić, dlaczego nam pani pomogła?

Kobieta uśmiechnęła się. Miała w wyrazie twarzy coś takiego, że od razu poczułam do niej sympatię.

– Pani Marlenko, już się nie mogłam doczekać, kiedy panią zobaczę.

Zerknęłam zdziwiona na Wandę.

– To znaczy?

– Och, zanim to się stało... Bo pani nic nie pamięta, prawda?

– Powoli zaczynam sobie przypominać, niestety nie wszystko.

– No właśnie. Przed zniknięciem odwiedziła mnie pani i podała dokładne instrukcje, co robić, kiedy pani nie będzie.

– Nie rozumiem. Dlaczego właśnie pani?

– Bo byłam kimś spoza kręgu pani znajomych i rodziny. Kimś, kto nie będzie narażony na atak przeciwnika, a jednocześnie będzie mógł swobodnie działać.

Napiłam się kawy.

– Dobrze, proszę mi wszystko opowiedzieć.

– A potem zadzwonimy po doktora i załatwimy tę sprawę. – Pani Bytomska wskazała na Ten Ten ze współczuciem.

– Zna pani kogoś?

Kobieta zmieszała się.

– T-tak. I na pewno nam pomoże. Kupuje u mnie książki, podobnie jak pani, od lat.

Mrugnęła do mnie okiem, a ja nagle poczułam się pewniej. Oto jest osoba odpowiedzialna, która wie, co robi. Taka właśnie powinna być moja matka, pomyślałam. Dobrze mieć kogoś takiego. A tej kobiecie najwyraźniej ufałam od samego początku, zresztą, jak usłyszałam, powierzyłam jej również swoje sekrety.

– No więc tamtego dnia, przed zniknięciem, pojawiła się pani tutaj, prosząc mnie o pomoc. Przyznaję, byłam nieco zdziwiona i oczywiście nie za bardzo chciało mi się poświęcać swój czas dla podejrzanych spraw, jednakże kiedy zrozumiałam, że grozi pani niebezpieczeństwo, podjęłam decyzję bez wahania.

– A co dokładnie pani powiedziała?

– Niewiele, niestety. Na wszelki wypadek, gdyby jednak ktoś wpadł na mój trop i rolę, jaką miałam pełnić w tej sprawie. Przyniosła pani pieniądze i kazała zaopatrzyć się w najlepszy sprzęt, wie pani, chodziło o ukryte kamery.

– Po co kamery?

– Powiedziała pani, że próba zniknięcia może się nie udać, że być może zostanie pani odnaleziona i w mieście wybuchnie skandal, co się oczywiście stało. Żeby pani wiedziała, co ksiądz wyrabiał! Przez trzy dni szalał i wygrażał. Transparenty, pochody, telewizja. Zgroza pańska po prostu. A jeszcze do tego wandale, którzy poniszczyli nagrobki. Tego było za wiele. Więc wzięłam plik pieniędzy i poszłam na probostwo. Sprawa ucichła

od razu.

– Naprawdę taka awantura z tego wyszła? Przecież ten grób był pusty, zrobiono z niego schowek.

– No tak, ale kto to mógł wiedzieć? Na cmentarzu? Klecha o mało sam się tam nie znalazł.

– Aha, czyli przewidziałam sytuację, a kasa załatwiła, co miała, i sprawa ucichła.

– Tak. – Skinęła głową. – Ale to nie wszystko. Zaopatrzyłam się w kamery, jak pani kazała, przekupiłam paru ludzi i zamontowaliśmy jedną przed cmentarzem, a dokładnie przed wejściem, i drugą tak, aby można było kontrolować grób. Udało się. Potem zaś...

Zamilkła nagle.

– Ale dlaczego ja sobie kawy nie zrobiłam?

Wstała gwałtownie i włączyła czajnik, nasypała kawy do filiżanki, zalała gorącą wodą i usiadła, wreszcie uspokojona i zadowolona. Przyjemny zapach świeżo zaparzonej kawy kolejny raz rozniósł się po pomieszczeniu.

– Kamery zostały podłączone i co potem?

– Miałam czekać – padła odpowiedź.

– Na co?

– Na moment, kiedy znowu pani zniknie!

– No dobrze, ale jak miała się pani o tym dowiedzieć, przecież nie byłyśmy w kontakcie.

– Telewizja, moja droga. Codziennie śledziłam wiadomości i słuchałam radia. Wczoraj wieczorem mówili o bombie w Rybniku, wspomnieli tym samym o pani. Oczywiście sprawa nabrała rozpędu. Włączyła się w to policja.

– Dobrze, ale co mówili?

– Że po próbie otrucia swojego męża i dwóch innych osób uciekła pani z Warszawy. Następnie widziano panią w miejscu wybuchu bomby, a potem... – zamilkła.

– Potem?

– Że znowu zapadła się pani pod ziemię.

Popatrzyłam na nią, nic nie rozumiejąc.

– To był znak! Mówili, że zapadła się pani pod ziemię. Od razu wiedziałam, o co chodzi. Bo gdzie mogła pani być, jeśli nie w miejscu, w którym się wszystko zaczęło? Z jakiegoś powodu miałam na cmentarzu zainstalować kamery. Usiadłam więc przed komputerem i śledziłam, co się dzieje na monitorze. Zobaczyłam dwóch typków. Weszli na cmentarz, a właściwie wjechali autem, potem widziałam panią przeskakującą przez bramę, niestety mimo tego, że usilnie się starałam, nie mogłam dojrzeć, co się dzieje przy grobie. Mgła wszystko przesłaniała. Gdyby coś było nie tak...

– ...miała pani zadzwonić do mnie – dokończyła Wanda.

– Och, dokładnie tak – ucieszyła się pani Bytomska.

– Dlaczego nie powiedziała mi pani, kim jest? Mogłyśmy tu przyjść od razu i już, a tak trafiłyśmy tu zupełnym przypadkiem.

– Miałam pozostać incognito. Dostosowałam się do instrukcji.

– To dlatego przyszłaś? – zwróciłam się do Wandy.

– A jak inaczej bym się tam znalazła? Nie mam szóstego zmysłu.

– Myślałam, że masz.

– Dziękuję, twoja wiara w moje siły jest naprawdę wzruszająca, ale jednak...

– No dobrze. – Pani Bytomska ucięła zaczynający się spór. – Teraz...

– Proszę pani! – przerwałam jej.

– Tak?

– Dlaczego to pani robi? To znaczy, co będzie pani z tego miała? Bo chyba nie chodzi o satysfakcję z samej pomocy bliźniemu?

Roześmiała się.

– Oczywiście, że nie, kochana. Coś za coś. Obiecałaś zaprojektować dla mnie specjalną trumnę.

Popatrzyłam na nią zbaraniałym wzrokiem. Wanda również. Kobieta naprzeciwno nas siedziała w milczeniu, z powagą malującą się na twarzy. Następnie wybuchnęła śmiechem.

– Żartowałam. Po wszystkim spełni pani swoją obietnicę. W Wodzisławiu zorganizujemy wielką imprezę. Mieszkańcy miasta dostaną specjalne karty, dzięki którym będą mogli udać się do mojej księgarni i otrzymać darmową książkę! Kto dodatkowo kupi sam od siebie kolejną, jako bonus dostanie trzecią. Koszty oczywiście ponosi pani.

Uśmiechnęłam się. Podobało mi się to. Jeżeli w ten sposób mogłam przyczynić się do podniesienia poziomu czytelnictwa, radości z otrzymania czegoś za darmo, a jednocześnie wsparcia tej księgarni, byłam na tak.

– Według mnie zakup jednej książki miesięcznie powinien być obowiązkowy. Państwo powinno dawać

dotacje na takie cele i mieć na względzie, że czytany naród to mądry naród.

– Oczywiście, zgadzam się z panią! – Pani Bytomska aż podskoczyła na krześle.

Ten Ten jęknęła. Spojrzałyśmy na nią ze współczuciem.

– Która godzina? Piąta? To dzwoniemy!

– Nie jest za wcześnie?

– Dla niego? Ten alkoholik wiele nie śpi.

Wanda spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami, tymczasem szefowa księgarni już prowadziła rozmowę z lekarzem.

Pojawił się jakieś dwadzieścia minut później. Kiedy stanął w progu na zapleczu i zobaczył mnie, zdrętwiał.

– Łojezusieświątamario – wyrzucił z siebie jednym tchem, żegnając się. – To pani?

Odwrociłam się, by sprawdzić, czy aby nie mówi do stojącej za mną Wandy, ale nie, jednak zwracał się do mnie, ponieważ tamta stała po zupełnie innej stronie.

– Czy my się znamy?

– E, właściwie nie. To znaczy... kiedyś się znaliśmy... ale dawno się nie widzieliśmy.

Zdawało mi się, czy wymamrotał jeszcze pod nosem coś w rodzaju: „całe szczęście”?

– No więc, co się, ekhm, dzieje?

– Panie doktorze, mamy tu złamanie, tak podejrzewamy. Trzeba zobaczyć, co się da z tym zrobić.

Przeszedł obok, zerkając na mnie kątem oka. Było w tej twarzy coś znajomego, ale nie miałam pewności co. Skądś go znałam, miał rację.

Uklęknął obok Ten Ten, zaczął obmacywać jej nogi, potem piersi. Piersi?

– Co pan robi? – odsunęłam go od niej.

– Badam chorą.

– Łapie ją pan za piersi! Widziałam!

– Jakie piersi? Czy pani zwariowała? Ta osoba nie ma żadnych piersi!

– To nie żadna osoba, tylko kobieta! I ma piersi, bo widać je wyraźnie pod ubraniem!

– Pani się nie zna.

– A pan, jak widzę, jest wielkim znawcą.

– Proszę się odsunąć. Wracam do badania, bo inaczej wyjdę stąd i możecie sobie z nią robić, co chcecie. Zresztą, czemu ona ma kopyta zamiast nóg?

– Pan jest okropny! To są nogi! NOGI! Rozumie pan po polsku? Nogi!

– Wyglądają jak kopyta! Proszę nie wciskać mi kitu! Jestem doktorem i jak żyję, takiego czegoś jeszcze nie widziałem.

– Pan jest pijany!

– Tylko trochę.

– Jak pan może wykonywać swoją profesję w takim stanie?

– A kto powiedział, że wykonuję?

Tu wtrąciła się pani Bytomska.

– Pani Marlenko, właśnie chciałam powiedzieć... Pan doktor to nie jest TAKI doktor, rozumie pani?

– Jest doktorem, a jednak nie jest? Boże! Co tu się dzieje?

– Opamiętaj się, Marlena! – Wanda wkroczyła do akcji. –

Zdenerwowana to powinnam być ja, nie ty. To ja przed chwilą zostałam okradziona przez twojego brata!

Machnęłam w jej kierunku, jakbym się odganiała od natrętnej muchy.

– Ale to doktor-niedoktor! I wyśmiewa się z nóg Ten Ten!

– Tej tej? – zapytał mężczyzna. – Nie wie pani, jak ona się nazywa?

– Wiem! – ryknęłam na całe gardło. Nagle zaczęła mnie okropnie boleć głowa, a pot wystąpił mi na czoło. – Ten Ten! Ona nazywa się Ten Ten.

– To właściwie wszystko jedno, jak się nazywa. Proszę odejść i pozwolić mi oddychać. Pani Bożenko, może trochę koniaczku się gdzieś znajdzie?

Szefowa księgarni zgromiła go wzrokiem, mówiąc z oburzeniem:

– Jest pan w księgarni, nie w gospodzie, panie Franku! Wypraszam sobie!

– No ale tylko trochę, tak na rozgrzewkę. Poratuje pani? Westchnęła.

– Przyniosę.

Pani Bytomska mrugnęła do mnie okiem, dając mi do zrozumienia, abym szła za nią.

– Co to za człowiek? – rzuciłam się z pytaniem.

– Proszę się napić. – Podała mi koniak, który od razu wychyliłam do dna.

– O matko, jak dobrze. Niech pani naleje jeszcze jednego. Nalała.

– Pani nie pije?

Spojrzała na mnie z wyrzutem.

– Ja? Proszę pani, ja sprzedaję książki! Ja nie piję.

Nie wiem, co to jedno miało z drugim wspólnego, ale trudno.

– To w takim razie niech mi pani naleje swoją część. Jestem w potrzebie.

Wypiłam.

– Więc kto to jest?

– Stary, ale dobry alkoholik. Były doktor. Wyrzucili go z pracy, bo dużo pił i miał jakieś niby-utarczki z warszawską mafią.

– Z ma-mafią? – zająknęłam się.

– Tak. Niestety, nie wiem za bardzo, o co chodzi, bo nagle afera ucichła.

– Nie wiedziałam, że tam działa mafia.

Kobieta popatrzyła na mnie, jakby mnie widziała po raz pierwszy.

– Proszę pani! Nawet u nas jest mafia i ludzie dobrze o tym wiedzą.

– Ja jakoś nie wiem.

– Proszę mi powiedzieć, czy widzi pani tę książkę z zielonym grzbietem? Za ścianą?

– Nie widzę! Przecież jest za ścianą, sama pani powiedziała.

– No właśnie! Proszę spojrzeć na to w ten sposób: to, że jej pani nie widzi, nie oznacza jeszcze, że jej tam nie ma. Tak samo jest z mafią.

– Może ma pani rację.

– Niech przymknie pani na tego starego głupca oko. –

Bytomska jak matka pogładziła mnie po ramieniu. – Nic złego jej nie zrobi.

Wróciłyśmy i doktor mógł wreszcie uraczyć się alkoholem. Od razu na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Według mnie noga nie jest złamana, tylko wyskoczyła ze stawu. Nastawimy ją, usztywnimy, pacjentce damy coś od bólu i po kłopotcie. Niestety, nie będzie mogła tej nogi przez jakiś czas nadwerężyć.

– Sama słyszałam, jak coś pękało!

– Nie wiem, co pani słyszała, ale radziłbym udać się do laryngologa. Niestety, ja w tej dziedzinie niewiele mam do powiedzenia.

– Przecież nie możemy tu zostać – zawołałam wzburzona.

– Niestety, droga pani, Tej Tej tu zostanie, chyba że pomożecie jej wsiąść do jakiegoś auta, bo w tym stanie za daleko już nie zajdzie.

– Ten Ten. Nie Tej Tej.

Machnął ręką.

– E, tam. Wszystko jedno, jak się nazywa. Z takimi kopytami można by na nią mówić nawet Szkapą – zaśmiał się.

Pokręciłam głową. Ten człowiek już się nie zmieni.

Napił się jeszcze, a potem zabierając resztę koniaku, odszedł i zamknęły się za nim drzwi.

– Co teraz zrobimy? – zastanawiała się Wanda.

– Będziemy musiały wezwać taksówkę.

– I gdzie pojedziemy?

– Jak najdalej stąd.

– Do Krakowa? – podchwyciła od razu Wanda.

– Może być.

Taksówka została więc zamówiona. Uzgodniłyśmy, że dojedziemy do Krakowa, wynajmiemy hotel i na jakiś czas w nim zostaniemy. Będziemy mieć czas, żeby obmyślić plan działania na nadchodzące dni.

Pół godziny później mknęłyśmy drogą do pierwszego lepszego hotelu, przy którym zatrzyma się kierowca.

Do Krakowa dojechałyśmy o świcie. Byłam brudna i zmęczona, ale nie chciało mi się spać. Po załatwieniu spraw z zameldowaniem się w hotelu znalazłyśmy się w zwyczajnie urządzonym, czystym pokoju. Ten Ten, po raz pierwszy odkąd pamiętam, zasnęła, Wandzie również jakby zabrakło sił, ułożyła się na swoim pościeliu i przymknęła oczy. Nie pozostawało mi nic innego, jak umościć się wygodnie na trzecim łóżku i także próbować zasnąć. Udało się.

Kiedy się obudziłam, robiło się już ciemno. Dziewczyny spały. Usiadłam i zapatrzyłam się w drzwi. Wydawało mi się, że coś się za nimi dzieje. Do moich uszu dochodziły dźwięki, jakby ktoś chodził tam i z powrotem. Ostrożnie przeszłam przez pokój, by posłuchać. Rzeczywiście ktoś chodził. Krok wydawał się spokojny i musiał należeć do bardzo pewnej siebie osoby. Kobiety. Od razu zrobiłam się podejrzliwa. Instykt mówił mi, że osoba za drzwiami doskonale zdaje sobie sprawę z mojej obecności w tym hotelu.

Odważyłam się lekko nacisnąć klamkę. Spojrzałam przez powstałą szparę, ale nic nie dostrzegłam. Wychyliłam głowę, a następnie wyszłam na korytarz. Kroki ucichły.

Aby opisać, co się stało później, muszę przedstawić obraz, jaki zobaczyłam po wyjściu z pokoju. Otóż na ostatnim piętrze, gdzie się znajdowałyśmy, po prawej stronie umieszczono nowoczesną windę. Po mojej lewej wiły się w dół schody. Na wprost dostrzegłam drzwi do jednego z pokoi, oczywiście zamknięte. Gdy więc wyszłam na korytarz i odwróciłam się do stojącej po prawej stronie, tyłem do mnie osoby, jednocześnie znajdowałam się tyłem do schodów.

Tuż przede mną stała ubrana na czarno kobieta. Gdy na nią patrzyłam, przyszło mi na myśl jedno określenie: czarna wdowa. Stała do mnie bokiem i zaciągała się papierosem. Miała zadziwiająco wysokie szpilki, tak że zdziwiłam się, jak w ogóle udaje jej się na nich stać. W takich butach jej nogi wydawały się jeszcze dłuższe i przywodziły na myśl żyrafę. Czarny kapelusz z woalką zakrywał jej twarz. Usta, umalowane krwawą szminką, przyciągały wzrok.

W tym samym czasie kobieta powoli się odwróciła, podnosząc w górę siateczkę, którą założyła na kapelusz.

Pierwsze, co mnie uderzyło, to przechylona w bok głowa i wlepione we mnie, przymrużone oczy. Ironicznie wykrzywione usta próbowały przybrać wyraz uśmiechu, ale bardziej dawały do zrozumienia, że ich właścicielka ze mnie drwi.

Zaciągnęła się dymem i powoli wypuściła go w moją stronę. Figurę miała idealną, niestety. Po dziecku, miałam nadzieję, te kształty będą już tylko historią.

Dokonała kolejnej próby uśmiechnięcia się, robiąc

w moją stronę trzy kroki. Stanęłyśmy twarzą w twarz.

– Co tu robisz? – Czułam pewien niepokój na jej widok. Sytuacja nie wydawała mi się normalna.

Przekrzywiła głowę w drugą stronę i uśmiechnęła się, pokazując rząd białych, błyszczących zębów – efekt bardzo dobrej pracy dentysty.

– Myślałam, że nigdy się nie obudzisz, tak długo spałaś.

Musiałam jej od razu dokopać, inaczej nie byłabym sobą.

– A ja myślałam, że jeszcze sobie wygodnie śpisz w grobie.

– Myślisz, że jesteś zabawna?

– Myślę, że zabawna byłaś ty, kiedy rzucałam na ciebie grudy ziemi.

Nagle się wyprostowałam. Uniosłam dumnie głowę. Kim była ta kobieta? Pamela, zdzira, wywłoka, jak cię sunąca za moim mężem. Miałam ochotę zrobić jej coś bardzo złego.

– Tu nie wolno palić. – Wskazałam na dymiącego papierosa.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia? – Spokojnie przytknęła papierosa do krwistych ust. Na szyi błyszczały jej brylanty.

Zmierzyłam ją nienawistnym wzrokiem, a kiedy zrobiła krok w moją stronę, odsunęłam się od niej.

– Może powinnam zapytać, gdzie masz swojego psa, suko? – rzuciłam.

Jej wzrok stał się lodowaty.

– Pies już zbyt długo miał podkulony ogon – rzuciła. –

Teraz ja przejmuję pałeczkę.

– Przyszłaś prosić o rozwód?

– Jesteś taka ograniczona – odpowiedziała. – Naprawdę zastanawiam się, jak ci się to wszystko udało zorganizować. Doszłaś do takiej pozycji w naszym świecie, zarabiałaś miliony, a pomimo to Wodzisław, ta wiocha, z której pochodzisz, nie mogła z ciebie wyjść. Domyślałam się, że masz kompleks ojca gangstera, ale kochanie, nie dorastasz mu do pięt.

– Organizowanie to moja specjalność. – Wolałam pominąć słowa o ojcu.

– Może tak – westchnęła. – Problem tylko, że nie potrafiłaś należycie zorganizować najważniejszego.

– Czego?

– Własnego pogrzebu.

Obrzucałyśmy się nawzajem mrozącymi krew w żyłach spojrzeniami. Wypaliła papierosa do końca, rzuciła go obok szpilki i rozdeptała.

– Może miałam więcej pracy z organizacją twojego?

Syknęła jak wąż.

– Spóźniłaś się! Ale nie martw się. Ja też mam pewne zalety. Pozdrów ode mnie diabła, zdiro!

Nie zdążyłam zareagować. Pamela wyciągnęła w moją stronę nogę i kopnęła z całych sił. Szpilka wbiła mi się w brzuch. Nawet nie krzyknęłam. Straciłam równowagę, jednocześnie zaparło mi dech w piersiach, a potem kątem oka zauważyłam, jak nagle brakuje mi oparcia dla nóg, i runęłam w dół.

Z góry dochodził głośny śmiech Pameli.

Świat wirował i tańczył mi przed oczami, kiedy spadałam ze schodów. Uderzyłam o coś głową i rozległ się ogłuszający, jak mi się zdawało, trzask. A potem była już tylko ciemność.

ROZDZIAŁ 21

Moje stare ja



Budziłam się powoli. Docierały do mnie stłumione odgłosy, nie wiedziałam jednak dokładnie, co się dzieje. Gdzie byłam? Może śpię?

– Marlena? Marlena? Słyszysz? To ja, Wanda. Słyszysz?

Jęknęłam. Wszystko mnie bolało, ale siłą woli otworzyłam oczy. Raziło mnie światło i najchętniej zamknęłabym powieki na nowo, ale usłyszałam:

– Nie, nie zamykaj. Powiedz, jak się czujesz. Coś cię boli?

– Co się stało? – wydusiłam z siebie, łapiąc się za głowę.

– Spadłaś ze schodów.

Od razu wszystko sobie przypomniałam. Pamela. Jej szpilka trafiająca w mój brzuch. Schody...

– Nie spadłam...

– Spadłaś. Spadając, narobiłaś tyle hałasu, że się obudziłam. Drzwi były otwarte, a ty leżałaś tutaj, powykęcana na wszystkie strony jak połamana lalka.

Myślałam, że ty to nie ty.

- Nic mi nie jest.
- Wezwę pogotowie i...
- Nie. Żadnej policji...

Wiele czasu zabrało mi wstanie na nogi. Ciało miałam tak obolałe, jakby mnie ktoś użył jako worka treningowego.

- Mogłaś sobie coś uszkodzić.
- Gdzie jest ta żmija? – zapytałam trochę zbyt ostro, nagle zupełnie dochodząc do siebie.
- Kto?
- Pamela!
- Nikogo tu nie ma!

Rozejrzałam się. Musiałam się uśmiechnąć. Nazwała mnie ograniczoną, a sama właśnie pokazała, kim jest. Zrzucić mnie ze schodów, myśląc, że się mnie pozbędzie, było z jej strony naprawdę głupie. Gdybym ja była na jej miejscu, pchnęłabym ją ze schodów, potem bezwładne ciało zrzuciła przez balustradę, a na końcu dźgnęła je nożem. Dla pewności.

Zerknęłam w dół przez poręcz schodów. Gdybym tam spadła, nie stałabym tu teraz. Musiałam mieć ogromne szczęście, skoro nic mi nie dolegało. Oczywiście z głowy sączyła się krew, jak już Wanda zdążyła mnie poinformować, ale to mnie nie obchodziło. Byłam cała obolała, ale poza tym czułam się jak nowo narodzona.

Uśmiechnęłam się do siebie. Zobaczymy, kto pozdrowi diabła, pomyślałam, jeszcze zobaczymy.

Weszliśmy do pokoju. Ten Ten już się przebudziła

i patrzyła na nas tępo.

– Wyglądasz jakoś inaczej – zauważyła Wanda.

– To znaczy? – Przeciągnęłam się powoli. Kości strzelały.

– Nie wiem. Masz jakieś dziwne oczy...

Usiadłam. Strasznie bolała mnie głowa. Tak bardzo, jakby zaraz miała eksplodować.

– Sprawdź lepiej, czy nie mam pękniętej czaszki – powiedziałam.

– Twarda jak orzech. Tylko przecięłaś skórę w paru miejscach.

Spojrzałam na nią i nagle czas jakby się zatrzymał. Ból minął. Wciągnęłam powietrze w płuca. Wypuściłam. Jeszcze raz powtórzyłam tę samą czynność. Wracałam.

– Co się tak na mnie gapisz? – zapytała niepewnie.

– Nie wiem...

Obrazy z przeszłości zaczęły napływać do mnie jak lawina. Sytuacje sprzed momentu, kiedy obudziłam się w szpitalu. To wszystko, co sobie nagle uświadomiłam i co do mnie dotarło, zszokowało mnie. Zastygłam w bezruchu jak woskowa figura.

– Boże, co się z tobą dzieje? – Wanda pobladła na twarzy i zrobiła parę kroków w stronę wyjścia.

Nie reagowałam, ponieważ zdjęcia z przeszłości pojawiały się w mojej głowie jedno po drugim i jak puzzle układały w doskonałą całość. Moje nowe ja nie mogło w to uwierzyć. To było nieprawdopodobne i nie mogło się zdarzyć. A jednak stało się. To i o wiele więcej.

– Ma-marlena?

Zamrugałam. Przeniosłam na nią wzrok i patrzyłam...

Nie mówiłam nic. Nie mogłam. Musiałam wszystko sobie poukładać. Potem zerknęłam na Ten Ten. Uśmiechnęłam się ledwo dostrzegalnie. Jej widok mnie uspokoił i zadowolił jednocześnie. Wszystko grało.

– Marlena?

Odwróciłam się do niej, a potem wygrzebałam z pamięci tamten dzień. Dzień, w którym znalazłam się w szpitalu. Gdy ktoś wbił mi nóż w głowę...

Wanda pobladła jak płótno. Wyglądała na naprawdę przerażoną.

– Przy-przy-przypomniałaś sobie?

– A jak myślisz?

– Ja... Marlena, ja nie chciałam, ja...

Rzuciłam się na nią z dzikim krzykiem.

ROZDZIAŁ 22

Powrót do przeszłości



Do Wandy zadzwoniłam dokładnie trzy dni przed tym, jak zawieziono mnie do szpitala. Rankiem wydostałam się z grobu za pomocą przycisku zamontowanego w środku. Kolejny był umieszczony pod płytą z drugiej strony, tak aby nikt go nie zobaczył. Jedna z płyt grobu wysunęła się, pozwalając mi wyjść na zewnątrz. Uchwyciłam się małej drabinki wiszącej od strony płyty i tak wydostałam się na górę. Mechanizm działał bez zarzutu.

Samą kryjówkę przygotowywałam dość długo i, przyznam się, kosztowało mnie to sporo pieniędzy, ale jak wiadomo, dla ludzi mających kasę nie istnieje słowo „niemożliwe”. Załatwić da się wszystko. I korzystałam z tego przywileju, jakżeby inaczej. Byłam królową życia, brałam i robiłam, co chciałam. Prawdziwa córka swego ojca.

Z początku, nie ukrywam, były pewne komplikacje, ale wtedy oprócz pieniędzy używałam jeszcze innej swojej mocy...

Wiedziałam, że pewnego dnia może dojść do sytuacji, kiedy będę musiała się ukryć. Życie nikogo nie pieści, należało więc się zabezpieczyć. Różniłam się od innych ludzi w tym, że bardzo trafnie potrafiłam przewidzieć do przodu, co może się zdarzyć, i za każdym razem starałam się zorganizować wszystko tak, aby wyjść cało z każdej opresji. Gdybym taka nie była, nie dałabym rady zdobyć tego wszystkiego, co posiadałam. A było to o wiele więcej, niż ktokolwiek może sobie wyobrazić.

Jak czas pokazał, grób sprawdził się idealnie. Byłam z siebie zadowolona. W myślach nazywałam się Królową. Czy ta suka, Pamela, o tym wiedziała? Jeżeli nie, dowie się już niedługo.

W każdym razie po dwóch tygodniach od momentu ukrycia się w grobie, mimo że miałam dość jedzenia i picia, zaczęłam wariować. I bardzo się niecierpliwić. Sytuacja miała się już uspokoić, tak wynikało z moich obliczeń. Teraz należało tylko zacząć się na wroga i zakończyć grę. Niestety, nie poczekałam i spotkałam się z Wandą.

W normalnych okolicznościach nie zrobiłabym tego, ale przesiadywanie w ciemnym i chłodnym miejscu naprawdę nie należało do przyjemności. Dzień zlewał się z nocą, czas dłużył się niemiłosiernie. Brakowało mi słońca, ruchu i przede wszystkim życia na wolności.

Mój mąż próbował mnie zabić. Dałam mu możliwość, by uwierzył w moje zaginięcie, tym bardziej że nie tylko

on pragnął mojej śmierci, ale również Leonardo, włoski przyjaciel mego ojca. Ale to już zupełnie inna historia.

Niestety, podczas opuszczania grobu towarzyszył mi pech. Dokładnie w momencie, kiedy udało mi się już wydostać na zewnątrz, zanim zdążyłam podnieść się z kolan, zauważyła mnie ekipa telewizyjna kręcąca akurat na cmentarzu materiał do wiadomości o niecodziennym wydarzeniu. Grupa pijanych wandalów zniszczyła kilka grobowców i nie wiadomo co tam jeszcze. Zakląłam pod nosem, umorusana od ziemi, kiedy kamera zwróciła się na mnie i zaczęła filmować.

Przeklinałam w myślach: dlaczego kryjówka nie została przygotowana lepiej?! Wejście było zaplanowane w lasku nieopodal i aż do samego grobu miał prowadzić wąski tunel. Obawiałam się jednak, że prace przyciągną wzrok przechodzących obok osób, a do tego nie mogłam przecież dopuścić. Nie było też czasu na kopanie.

Odskoczyłam w bok, by nie można było zlokalizować grobu, z którego wyszłam, i próbowałam doprowadzić się do cywilizowanego wyglądu.

– Co pani tam robiła? – krzyknęła jakaś kobieta, zbliżając się do mnie. Za nią jak widmo ciągnęła kamera.

– Proszę mnie nie nagrywać – próbowałam zasłonić twarz. Niestety nie na wiele mi się to zdało.

– Mamy niezły materiał – zaśmiewał się facet, trzymający kamerę. – Pójdzie od razu w wiadomościach, jak ludzie się obudzą.

– Wynocha! – krzyczałam na nich. – Zostawcie mnie w spokoju.

– Jesteśmy świadkami dziwnego zdarzenia: oto z grobu wyszła kobieta, która od pewnego już czasu, jak widać po jej ubraniu, musiała mieszkać na cmentarzu komunalnym w Wodzisławiu Śląskim. Kim jest? Postaramy się jak najprędzej to ustalić. Jednak nie ulega wątpliwości, że miała tu miejsce kolejna profanacja grobu oraz...

Uciekłam stamtąd, bo nie miało sensu stać i się przysłuchiwać. Wydostałam się na drogę, włączyłam telefon, który milczał przez parę dni, i zadzwoniłam.

– Wanda? Mogę do ciebie wpaść?

Zgodziła się z niechęcią, jak mi się zdawało. Ale przyjęła mnie i wpuściła do swojego domu.

– Boże, wyglądasz jak kocmołuch. To naprawdę ty? Co ci się stało?

– Mogę się najpierw umyć?

Wzięłam prysznic, a potem usiadłam na krześle, łąpczywie pijąc kawę. Opowiedziałam jej jakąś wymyśloną historyjkę, ale kiedy włączyła telewizor, od razu zobaczyłyśmy moją umorusaną twarz w porannych wiadomościach. Kobieta mówiła prawdę. Byłam wściekła, bo z powodu tego feralnego nagrania mogłam polec na polu swej własnej walki. Nie z mojej winy mógł mi się usunąć grunt spod nóg.

Jak można się było spodziewać, wybuchła afera. Książd szalał przez trzy dni, aż wreszcie wszystko ucichło. To właśnie wtedy pani Bytomska, do której udałam się z pieniędzmi przez zniknięciem, by w razie czego miała oko na sprawę, musiała wszystko załatwić, smarując kasą, gdzie

trzeba, bo każdy, jak wiadomo, jest łasy na pieniądze. Ale i tak trwało to o trzy dni za długo, a ja mogłam znaleźć się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Na szczęście do Leonarda nie dotarła jeszcze informacja o moim powrocie do życia. Jednak mój mąż doskonale wyczuł sytuację, starając się zrobić ze mnie wariatkę i dorwać mi się do skóry. Nie wiedział jeszcze, co dla niego zaplanowałam...

Tymczasem Wanda, nagabywana co chwila przez mojego nieszczęśliwego brata pijaka, wpadła na pomysł upicia się. Zgodziłam się z nią, chcąc odpocząć trochę od codzienności. Ostatnie dni, i nie chodzi mi o to, że ukrywałam się w grobie, były dla mnie wyczerpujące. Należałam do osób niezwykle aktywnych fizycznie i umysłowo, pracowałam właściwie dwadzieścia cztery godziny na dobę i to mi odpowiadało. Zresztą, inaczej bym nie mogła. Musiałam mieć wszystko pod dokładną kontrolą. Byłam perfekcjonistką.

Udałyśmy się do Turzy, do pewnego małego baru, gdzie przy dźwiękach disco polo urznęłyśmy się w sztok. Oczywiście moja przyjaciółka wpadła na świetny pomysł rzucania nożem. Jeden ze znajdujących się w knajpie facetów w drelichu, jakby dopiero co skończył rozrzucać gnój, zgodził się stanąć pod ścianą. Siedziałam po jego prawej stronie i przyglądałam się temu z niedowierzaniem. Jakoś nie wierzyłam w zdolności przyjaciółki. Ogromna tusza na szpilkach – nie wiem, co jej strzeliło do głowy, że je włożyła – zachwiała się z nożem w ręce i przymierzyła do rzutu.

Wtedy doszło do tego nieszczęśliwego wypadku.

Facet nadal stał pod ścianą. Ludzie się gapili. Muzyka przestała grać. Siedziałam i sączyłam drinka, bo cóż innego mi pozostało?

Wanda się zamachnęła. Prawą nogę wysunęła do przodu i to właśnie na niej w pewnym momencie skumulowała się cała jej masa. Szpilka dała za wygraną w chwili, gdy Wanda miała rzucić nożem, i złamała się na pół. Moja przyjaciółka poleciała do przodu. Nóż również, ale w zupełnie innym kierunku, niż było to zamierzone. Potem poczułam tylko, że coś jest nie tak. Ludzie patrzyli na mnie osłupiali, nastąpiła cisza jak makiem zasiał. Wiedziałam, że to na mnie patrzą, a Wanda z przerażenia o mało co nie umarła. Potem coś nie dawało mi spokoju. Dotknęłam głowy i natrafiłam ręką na nóż. Zemdlałam.

Teraz złapałam ją za szyję i zaczęłam nią potrząsać.

– Chciałaś mnie zabić!

– Nie, przysięgam, to był wypadek! – broniła się. – Proszę, nie...

– Współpracujesz z nim? Przyznaj się!

– Z kim? – wychrypięła.

– Z moim mężem!

– Nie! O Boże, nie... Puść!

Puściłam. Kaszłała i dusiła się przez chwilę. Ten Ten obserwowała nas w spokoju, jakby patrzyła na film w telewizji, a nie na scenę, rozgrywającą się na jej oczach.

– Wiem, że nie zrobiłaś tego specjalnie – powiedziałam wreszcie. – Chciałam cię tylko nastraszyć.

– Jesteś podła! – załkała.

– Ty też! Naucz się następnym razem celować w odpowiednie miejsce. I zapamiętaj sobie, że moja głowa tym miejscem nie jest!

Usiadła, oddychając ciężko, ze zwieszoną głową.

– Nie musiałaś mnie dusić – powiedziała urażonym tonem, masując szyję.

– Nie znasz się na żartach?

– Nie na takich głupich.

– Och, nie zaczynaj znowu. Szkoda czasu na lamenty. Weź się w garść.

– Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami.

– Bo jesteśmy. Co nie oznacza, że jeżeli jedna z nas zrobi coś złego drugiej, nie zasłuży na karę.

– Uratowałam ci już życie. Chyba dosyć się odwdzięczyłam?

– Niech będzie – westchnęłam i również usiadłam. Czułam się jak nowo narodzona. Mogłabym latać. Witaj, pamięci!

– No dobrze, w takim razie, co teraz?

– Muszę załatwić trzy ważne sprawy. Pierwszą jest sejf. Potem... potem muszę zabawić się w Krakowie.

Popatrzyła na mnie jak na wariatkę, tymczasem ja miałam ochotę tańczyć.

– Chcesz iść na dyskotekę?

– A wspomniałam coś o dyskotece?

– Nie, ale...

– No więc jeśli nie, nie mogłam jej mieć na myśli, tak?

– Tak...

– Dobrze. Ty zostaniesz z Ten Ten. Ja muszę otworzyć sejf

i pójść na pewne spotkanie. Nawet dobrze się składa, że jestem w Krakowie. To takie piękne miasto... Nadaje się idealnie! – Z radości klasnęłam w ręce.

Pospiesznie wzięłam prysznic i ruszyłam do najbliższego sklepu, by kupić sobie nowe ubrania. Wkrótce wyszłam w czarnym, idealnie skrojonym kostiumie, z torebką ze skóry węża i kapeluszem z woalką zasłaniającą twarz. A co tam, pomyślałam. W końcu ja też idę na pogrzeb!

ROZDZIAŁ 23

Konfrontacja



Lekkim krokiem wróciłam do hotelu.

– Jak ty wyglądasz! – zachwyciła się Wanda.

– Wreszcie jak człowiek, prawda?

– Nie. Nie to chciałam powiedzieć. Wyglądasz bardzo dobrze.

– Dziękuję, kochana. – Pocałowałam ją w policzek.

Wzięłam do ręki swój telefon i włączyłam go. Od razu wybrałam numer i połączyłam się natychmiast, jakby osoba po drugiej stronie tylko czekała, że zadzwonię.

– Gdzie? – zapytałam, nie tracąc czasu. Mój rozmówca dokładnie wiedział, o co mi chodzi.

Wysłuchałam go i rozłączyłam się.

– Ten Ten. – Podeszłam z uśmiechem do leżącej kobiety.

– Twoja pani wróciła.

Na twarzy służącej pojawił się błogi uśmiech. Zwróciła się do mnie ze szklanymi oczami, zapatrzona jak w obrazek.

Ze szczęścia drżały jej wargi.

– Klucz. – Wyciągnęłam w jej stronę rękę.

Natychmiast usiadła i, nie zważając na ból, zaczęła ściągać but i skarpetkę.

Wanda podeszła niepewnie, patrząc ze zdziwieniem.

– Zmieniłaś się – zauważyła.

– Nie. Po prostu znowu jestem sobą.

Ten Ten rozchyliła swoją nogę-kopyto. Pomiędzy piętą a przednią częścią stopy widoczna była gruba linia. W tym miejscu stopa złączyła się na skutek długoletniego krępowania. Wanda jęknęła z obrzydzeniem i odsunęła się, zaś sama służąca wcisnęła w szparkę palec i wycisnęła drugą stroną mały klucz.

Uśmiechnęłam się do niej.

– Nie zawiodłaś mnie. Jak tylko dojdiesz do siebie, czeka cię nagroda.

– Dziękuję – rozpromieniła się.

– Moja mała. – Pogładziłam ją po twarzy. – Tacy ludzie jak ty to skarb w dzisiejszym świecie. Można na tobie polegać, czego doświadczyłam w ostatnich dniach. Doskonale się spisałaś. Nie tak jak moja matka!

– Co to za klucz? – Wanda okazała swoją ciekawość.

– Otwiera sejf.

Wstałam i podeszłam do cennej skrzynki. Przekręciłam klucz w zamku i otworzyłam go. Ze środka wyciągnęłam grubą szarą kopertę dość dużych rozmiarów. Znajdowały się w niej zdjęcia oraz pendrive.

– Co jest w środku?

– Nic, co by ci mogło zmienić życie.

Usiadłam i zastanowiłam się. Zwróciłam się do przyjaciółki:

– Musimy się pożegnać. Weź moją kartę, są na niej środki finansowe przeznaczone do wykorzystania w razie awaryjnej sytuacji. Ta już minęła. Jest tam wystarczająca kwota, żeby ci starczyło na nowe mieszkanie. Nie będziesz musiała gnieździć się już w tej małej klatce dla zwierząt. Może wreszcie nie będzie ci dokuczała moja matka i pozbędziesz się mojego brata.

– Przecież nie mogę tego przyjąć – powiedziała Wanda, wyciągając rękę po kartę.

Obdarzyłam ją spojrzeniem mówiącym: „darujmy sobie takie rozmowy” i wzięłam torebkę do ręki.

– Wanda, wracaj do domu. Jak najszybciej. O Ten Ten się nie martw, wydam na recepcji dokładne polecenia. Zajmą się nią.

– Dokąd idziesz?

– Skontaktuję się z tobą... za jakiś czas. Dzisiaj odlatuję.

Spojrzałyśmy na siebie, wiedząc, że oto znowu coś przechodzi do historii. Mogło upłynąć wiele wody w rzece, zanim się ponownie zobaczymy...

Wyszłam z pokoju.

Na recepcji poinformowałam jednego z pracowników hotelu, co zrobić z Ten Ten. Opłaciłam, co było trzeba, nową kartą znaną w kopercie i wyszłam na zewnątrz.

Zadzwoniłam.

– Spotkajmy się na krakowskim Rynku za godzinę.

– Myślisz, że nie mam innej pracy na głowie i znajdę czas, żeby za tobą latać?

– Będę stała pod Adasiem.

Dokładnie w tej samej chwili pod wejście podjechała czarna furgonetka.

Wsiadłam do środka. Dwadzieścia minut później parkowaliśmy przed wejściem do największego w Polsce domu pogrzebowego. Weszłam do środka. Pracownicy zaczęli się kłaniać, biegać, nagle zrobiła się wrzawa. Ktoś mi podawał kawę, otwierał drzwi, pytał o samopoczucie. Kiwałam głową, uśmiechałam się do nich jak matka. Weszłam do kancelarii. Wyciągnęłam z sejfu inny telefon i ułożyłam się wygodnie w skórzanym fotelu, zakładając nogę na nogę. Popijałam kawę i wdychałam powietrze, którego brakowało mi od tak dawna. Byłam kobietą interesu. Już nigdy więcej nie zrobię takiego błędu jak z tym dziwnym cmentarzem. To kasa sprawiła, że postanowiłam się zabawić z moim mężem. Według starego planu pewnego dnia miałam stanąć przed nim i rozpętać piekło. Moim zadaniem było przejęcie jego organizacji, bo warszawska mafia pod jego rządami okazała się wręcz infantylna. W końcu musiałam przyznać, że mój mąż nie miał jaj i nie potrafił zarządzać Firmą, jak ją nazywaliśmy, w sposób odpowiedzialny i zadowolający. Tamtego feralnego dnia nie omieszkałam poinformować go o tym. Wpadł w szal. Groził, że mnie zabije. Stałam i śmiałam się z niego. Nie mógł znieść mojej siły i potęgi, w którą obrosłam z czasem. Byłam jak napychana kluskami gęś przed ubojem. I nie mógł mi zapomnieć mojego ojca. Zaczęliśmy ze sobą rywalizować.

A co do biednej Pameli... Żał mi było tej naiwnej

kobiety, myślącej, że pociąga za sznurki i pewnego dnia postawi na swoim. Tak naprawdę nie miała o niczym pojęcia. Dla Norberta była zwykłą zabawką. Przykrywką dla jego podwójnego życia.

Zrobiła jednak jeden poważny błąd: stanęła mi na drodze.

Po chwili w biurze pojawił się mężczyzna w czapce z daszkiem. Wymieniliśmy pozdrowienia i koperty. Odszedł.

Otworzyłam swoją. Było w niej pięć zdjęć. Pokręciłam głową. Vaclav wyglądał tak młodo i niewinnie...

Wkrótce wstałam i przeszłam się po firmie. Ponad tysiąc metrów kwadratowych. Praca na trzy zmiany. Dystrybucja na całą Polskę i zagranicę. Zapach trumien działał na mnie uspokajająco. Dotykałam ich z uczuciem zadowolenia. Niektóre były luksusowe i kosztowały fortunę. Z chęcią bym się w nich położyła. Pogrążeni w smutku milionerzy byli w stanie zapłacić każdą cenę za trumnę idealną. Trzeba było tylko wiedzieć, jak znaleźć takiego kontrahenta.

Wydałam kilka rozkazów.

W pewnym momencie usłyszałam strzały. A więc mój mąż nie zamierzał dać za wygraną.

– Proszę uciekać! Napadnięto nas! – wykrzyknął jeden z ochroniarzy.

Otworzyłam tajne przejście i zniknęłam w nim. Po chwili opuszczałam garaż, ukryta w furgonetce. Strzelano do nas, ale na niewiele się to zdało.

Dziesięć minut później znajdowałam się nieopodal krakowskiego Rynku.

Pojazd odjechał. Zaczęłam się spokojnie przechadzać pomiędzy kamienicami na mieście. Ludzie mi się przyglądali, ale byłam do tego przyzwyczajona, przecież wszyscy mnie znali nie od dziś.

Zadzwonił telefon. Odebrałam.

– Wszystko gotowe. Wybuchł skandal. Nie ma stacji telewizyjnej, która by nie emitowała twojego materiału.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Zabawa się zaczyna.

Szłam dalej w stronę Rynku. W pewnym momencie z naprzeciwka wyłonił się z tłumu mężczyzna ubrany w czarny garnitur. Buty błyszczały mu w słońcu wyglądającym zza chmur, dzień bowiem nie należał do słonecznych.

Przeszedł bardzo blisko mnie.

Wymieniliśmy spojrzenia.

Zniknął w tłumie. W ręce trzymałam czarne, zapakowane pudełko.

Nie zatrzymałam się ani na chwilę, nie odwróciłam. Wszystko grało. Raz uruchomiona zapadnia wprawiła w ruch wcześniej przygotowany plan.

Zadzwonił telefon. Spojrzałam na wyświetlacz. Mama.

– Słucham.

– Jak mogłaś! – wysapała. – Jak mogłaś mi to zrobić?!

– Nic nie zrobiłam.

– Cała Polska już wie! Mówią o tym wszędzie.

Uśmiechnęłam się.

– Życie jest krótkie, za jakiś czas ludzie zapomną – powiedziałam.

– Ale ja nie zapomnę! Wpędziłaś mnie do grobu i dobrze

o tym wiesz!

– Jesteś jeszcze młoda, przeżyjesz mnie.

– Gdybym wiedziała, kim jesteś, zadusiłabym cię już w kołysce.

– To już twój błąd. Za późno na naprawę.

– Myślałam, że masz chociaż trochę szacunku dla rodziny, ale nie, musiałaś wszystko zniszczyć, łajdaczko jedna.

– Czego chcesz?

– Powiedzieć ci, że nie chcę cię już nigdy widzieć. Nigdy! Cokolwiek się zdarzy, pamiętaj, matki już nie masz. Dla ciebie umarłam.

– Zrobiłaś to dawno temu, a już na pewno parę dni temu, chcąc mnie zabić w szpitalu – warknęłam i rozłączyłam się.

Czy byłam zdziwiona jej reakcją? Nie. Matka zawsze stała po stronie mojego męża.

Odkąd pamiętam, uważała mnie za kogoś gorszego tylko z tego powodu, że według niej ukradłam jej męża. Ojciec kochał mnie z całych sił, przelewał na mnie swoją miłość, ją równocześnie odtrącając i broniąc jej dostępu do swojego serca. Czy naprawdę ja byłam za to odpowiedzialna? Przecież byłam małym dzieckiem, kiedy wsadziła go do więzienia, podając policji niezbędne do tego informacje. Zrobiła to ze złości i z zazdrości. Nie chcesz mnie, nie będziesz miał jej. Coś za coś. Za swoje błędy trzeba płacić.

Odwiedzałam ojca przez wszystkie te lata. Opowiadał mi, kim był i czym się zajmował przez całe życie. Z roku

na rok zaczął mnie wprowadzać w swoje interesy. To dzięki niemu założyłam firmę pogrzebową. Musisz mieć jakąś przykrywkę, mówił mi. Coś, co cię będzie chroniło w razie problemów. Potrzebujesz też pomysłu. Zarabiając wielkie pieniądze, nie będziesz wzbudzała podejrzeń tym, że je masz. Ich ilość będzie oczywiście przekraczała granice, ale tego nikt nie musi już wiedzieć. Są sposoby, by omijać prawo. A co najważniejsze, są możliwości, by je nagiąć i wykorzystać tak, by działało na twoją korzyść, kiedy ty staniesz po przeciwnej stronie.

Matka doskonale zdawała sobie sprawę z naszych spotkań. Nie obchodziło mnie to jednak. Gdyby tylko wiedziała, jak dobrze zostałam przygotowana do wejścia w dorosłe życie. A wkroczyłam w nie z wielką pompą, ale o tym nie muszę tu wspominać. Leonardo mógłby coś powiedzieć, ale kto wie, gdzie on teraz jest...

Tata siedział w pace. Dzięki mojej interwencji dostał przepustkę na wolność. Był gangsterem. Wyłudzał, prał brudne pieniądze, kradł, groził, zabijał. Ale niestety, był też tylko ZWYKŁYM mafiosem.

Chciał, żeby jego córka stała się kimś ważniejszym.

I tak się stało. Najpierw zamierzałam sfingować jego śmierć i umożliwić mu przedostanie się do Włoch. Mój kochany mąż okazał się szybszy niż ja. I tym samym podpisał na siebie wyrok.

ROZDZIAŁ 24

Pożegnanie



Pamela siedziała w jednej z krakowskich knajp. Największa zdzira świata piła kawę i niecierpliwie podrygiwała nogą założoną na nogę. Czeka na zakończenie, pomyślałam, obserwując ją z góry. I zaraz stanie się jego główną bohaterką.

Z początku chciałam zabawić się z nią w kotka i myszkę, ale zrezygnowałam z tego. Pomysł z pobytem w grobie, kiedy to miałam przechytrzyć wszystkich, nie powiódł się i o mało nie przypłaciłam go życiem. Nie żebym przeceniła swoje możliwości, o nie. Po prostu czasem jeden mały szczegół potrafi wszystko zniweczyć. Teraz nie było miejsca na żadne sentymenty i zabawy. Musiałam wracać do rzeczywistości. Zabawa będzie z Leonardem. Zamierzałam do niego dotrzeć, choćbym miała go wygrzebać spod ziemi.

Ściągnęłam woalkę z głowy. Pamela dostrzegła mnie

i zastygła w bezruchu. Widziałam, jak jej twarz się wykrzywia, a oczy otwierają szeroko. Następnie zaczęła się rozglądać w panice po pomieszczeniu. Niepotrzebnie. Była tu sama. Tym razem przeceniła swoje możliwości. Powinna była się zająć sprowadzaniem na świat dzieci, a nie zadzierać ze mną.

Pomachałam jej ręką na pożegnanie. Wyszeptałam też, bardzo powoli i starannie układając usta w słowo: „żegnaj”. Jak dobra matka obdarzyłam ją uśmiechem. Wstała pospiesznie, a wtedy padł strzał. Trafił prosto w jej serce. Pamela chwyciła się za pierś i zaczęła osuwać się na podłogę. Odwróciłam się i wyszłam, słysząc dobiegające ze środka krzyki panikujących ludzi.

Chwilę później stałam już na krakowskim Rynku obok milczącego Mickiewicza. Wielu ludzi siedziało na cokole, zdecydowanie za młodych na to, by umierać, ale cóż miałam na to poradzić?

Mój mąż, ubrany w markowy garnitur i w kapeluszu na głowie, pojawił się dokładnie dwie minuty później. Zatrzymał się na wprost mnie. Zaciągał się cygarem.

– Gdzie jest ten przeklęty sejf?

– Chyba nie sądzisz, że go tu z sobą przytaszczyłam?

– Nie obchodzi mnie to. Gdzie jest?

Gdzieś w oddali rozległo się wycie syren policyjnych aut.

– Mam wszystko w pudełku. W środku znajdowały się dokumenty. Oddam ci je, jeśli przyrzekniesz, że zakończymy już tę wojnę. Na dłuższą metę to nie ma sensu.

– Dawaj! – Próbował mi wyrwać pakunek.

Włożyłam mu do rąk pudełko.

– Dziwka!

Uśmiechnęłam się.

– Naprawdę myślałaś, że uda ci się mnie przechytrzyć?
Zawsze byłaś głupia i naiwna. Tak samo jak twój ojciec...

Moje oczy pociemniały. Uśmiech zbladł.

– ...nieudacznik – dokończył. – Zwariowana baba, która myśli, że potrafi się bawić w zakazane gry. Głupiutka dziewczynka swojego tatusia.

– Zapominasz o czymś.

– O czym?

– W naszym związku ty byłeś facetem – powiedziałam, a on prychnął głośno, słysząc moje słowa. – Ale to ja zawsze miałam jaja. Tylko ich nie dostrzegałeś przez to swoje wielkie ego. I to właśnie pewnego dnia doprowadzi cię do zguby.

– Jesteś żałosna. Nie potrafisz pogodzić się z myślą, że cię nie kocham.

Roześmiałam się na głos. Bawił mnie ten człowiek.

– Słyszysz te syreny? Powinieneś pójść ich śladem. Przed chwilą podarowałam ci prezent... Przedślubny.

Popatrzył na mnie groźnie.

– Idź, idź. A co do Pameli... Pozwalam wam być razem. Życzę wam szczęścia.

Odwrociłam się i zaczęłam się oddalać.

– I nie wchodź mi więcej w drogę. Zapomnij o Warszawie. Twój czas dobiegł końca. Tak to już w życiu bywa.

– Nie przegrałem! Jeszcze pokażę ci, kim jestem.

– W innym życiu!

Zniknęłam w tłumie.

Nie minęła minuta, kiedy usłyszałam wybuch. Z mojego kochanego męża pozostały już tylko kawałki mięsa, porzucane po krakowskim Rynku.

Piękna śmierć, pomyślałam, wystawiając twarz do słońca, ponieważ tak przyjemnie grzało. Umrzeć w tym miejscu – to takie romantyczne...

Gdyby tylko Vaclav mógł to zobaczyć...

Wydaje mi się, że mój mąż nawet się nie spodziewał, jak wielką przysługę mu wyświadczyłam. Gdyby żył jeszcze godzinę dłużej, zgarnęłaby go policja. W całej Polsce wybuchł skandal związany z łowcami skór. Kiełbasa był w to oczywiście zamieszany, to on był głównym mózgiem całej sprawy. Jego firma, konkurując z moją, a rywalizowaliśmy ze sobą od wielu lat, musiała przecież mieć lepsze wyniki w sprzedaży trumien niż moja. Byłam tylko głupią, słabą kobietą, żaden mężczyzna nie przyznałby się do porażki na tym froncie. Mój mąż niestety należał do ludzi idących przed siebie po trupach. A ja go zniszczyłam. Był ku temu powód.

Mój ojciec...

W więzieniu Kiełbasa również rozwiesił swoją pajęczynę śmierci. Szpital, o którym była mowa, nie był wyjątkiem. Mój ojciec miał mocne zdrowie, a tego dnia, kiedy umarł, rozmawiałam z nim, obmyślając plan, jak się urządzi, kiedy wyjdzie z kicia.

Mężowi nigdy nie wchodziłam w drogę, robił, co chciał.

Niestety, pragnął coraz więcej i nieustannie miał potrzebę, żeby mi coś udowodniać. Wiedziałałam oczywiście, czym się zajmuje, jednakże była to jego praca. Ja miałam swoje problemy na głowie. Każdy z nas na drodze zostawiał swoje trupy.

Ojciec umarł tamtego dnia. Od razu wiedziałam, kto za tym stoi. Ludzie Kiełbasy pałętali się po więzieniu nie pierwszy raz, było to miejsce idealne do zdobywania ciał. Szybko zaczęłam dochodzić prawdy. Znalazłam niezbite dowody: podpisane umowy zlecające śmierć pacjentów, umowy o dostarczaniu trumien i odprawianiu pogrzebów, zdjęcia ujawniające jego prawdziwą twarz i kompromitujące go na każdym etapie działalności.

Dziś dostał, co chciał. On, cały ten Pinokio i wataha innych ludzi wplątanych w zabijanie na zamówienie. Tym samym po wybuchu skandalu i odciążeniu uwagi mediów od mojej osoby mogłam zacząć realizować swoje wielkie plany.

Teraz wszystko się zmieni.

Ten Ten otrzyma nową twarz, zasłużyła sobie na to.

Wanda zobaczy mnie za parę lat, jeżeli w ogóle do tego dojdzie.

Matka z bratem byli dla mnie już zamkniętym rozdziałem.

Firma pogrzebowa właśnie została sprzedana, bo na cóż mogłaby mi się teraz przydać. Zacznę wszystko od nowa. Na początku trzeba będzie zająć się zmianą tożsamości.

Dom w Warszawie trafił już w ręce nowej właścicielki, spojrzałam na zegarek, całe pięć minut temu. Wszystkie

pieniądze z mojego konta zostaną jeszcze dziś wieczorem wybrane z banku.

Marlena Kiełbasa umrze dzisiejszej nocy w wypadku samochodowym. Jej ciało znajdą oczywiście policyjne niedorajdy, ale będzie tak zmasakrowane, że choćby nie wiem, jak się starali, nikt nie dojdzie do tego, czy to naprawdę ona. Wszyscy uznają mnie za zmarłą. Oczywiście znajdą ciało, które postanowiłam sobie wypożyczyć do tego celu. Ciało, którego nie da się zidentyfikować.

Tymczasem już niedługo wstanie nowy dzień. Czarna limuzyna podwiezie mnie pod nowy dom. Tam zbierze się mój team, dzięki któremu wszystko potoczyło się tak, jak miało.

Każdy, kto stanie mi na drodze, pozna moją prawdziwą twarz. Mafia pod moimi rządami przeżyje renesans. Okres ten w myślach nazywałam wskrzeszeniem. I nie będzie żadnej taryfy ulgowej. Dla nikogo.

Zakończenie



Vaclav zadzwonił do mnie jeszcze tego samego wieczora. Przyjechał do Krakowa od razu, kiedy dowiedział się, co się dzieje w Polsce.

Nie rozumiał, dlaczego umówiliśmy się pod lasem, ale ja musiałam doprowadzić tę sprawę do końca.

Wysiadł z auta i podszedł do mnie. Otworzył ze zdziwienia usta, widząc broń, którą trzymałam w ręku.

– Dlaczego? – wyszeptał.

Strzeliłam. Bezwładne ciało upadło na liściaste podłoże i zielonkawy gdzieniegdzie mech. Świat jest pełen drani, myślałam, spoglądając w oczy, z których uchodziło życie. Nie wiem, czego się spodziewałeś, spędzając czas w łóżku z moim zmarłym mężem. Żaden facet nie będzie mnie zdradzał.

Wsiadłam do samochodu i odjechałam. Dokładnie to samo auto parę godzin później uległo „wypadkowi”.

A ja ruszyłam, by przywitać nowy dzień.

Parę godzin później postawiłam stopę na sycylijskiej

ziemi. Przywitało mnie słońce i ciepło. Jak miło, rozmarzyłam się, wyglądając przez okno wiozącego mnie do celu pojazdu. Zaczynałam nowe życie.

Ten Ten była w drodze do najlepszego chirurga plastycznego. Czekala ją operacja, i to nie jedna, ale kiedyś również ona będzie się ogrzewać w blasku tego samego słońca.

Zaś Wanda... No cóż, nie kupiła sobie mieszkania. Za podarowaną kasę wolała pojechać na wakacje i chyba nikogo nie zdziwi, że na swoją wymarzoną podróż wybrała... Sycylię.

To już jednak zupełnie inna historia.

PS Zanim opuściłam kraj, zniszczyłam również wszystkie dowody świadczące przeciwko mnie, znajdujące się w sejfie, który wcześniej ukradłam mojemu mężowi. Oj, przepraszam, byłemu mężowi. Trzymał w nich, biedak, dokumenty, dzięki którym, gdybym odpowiednio wcześniej nie zareagowała, posłałby mnie na dno. Jak widać, nie udało mu się to...